

Philip K. Dick

Oko na Niebie

(Eye in the Sky)

Przekład Katarzyna Miodusiewicz

1

Deflektor wiązki protonowej bewatronu w Belmont zawiódł swoich twórców drugiego października 1959 roku o czwartej po południu. Wszystko trwało zaledwie moment. Niedostatecznie odchylona – i tym samym wymykająca się spod kontroli – wiązka o sile sześciu miliardów woltów została wyemitowana ku sklepieniu komory, zamieniając w popiół platformę obserwacyjną wznoszącą się nad pierścieniami magnesu.

Znajdowało się na niej w tym czasie osiem osób – grupa turystów z przewodnikiem. Pozbawieni oparcia runęli na podłogę komory. Ranni, leżeli tam w stanie ciężkiego szoku, aż do chwili, gdy pole magnetyczne zostało usunięte, a twarde promieniowanie częściowo zneutralizowane.

Z tej ósemki czworo wymagało pobytu w szpitalu. Dwoje, nieco mniej poparzonych, poddano obserwacji, zaś pozostałą dwójkę przebadano, opatrzone i wypuszczone. Lokalne gazety w San Francisco i Oakland opisały dokładnie wypadek. Prawnicy reprezentujący ofiary wszczęli postępowanie sądowe. Paru pracowników związanych z bewatronem wylądowało na bruku, tak jak i sam układ odchylenia Wilcoxa-Jonesa wraz ze swymi rozentuzjasmowanymi twórcami. Pojawili się robotnicy i przystąpili do usuwania szkód.

Incydent trwał jedynie kilka chwil. Nieprawidłowe odchylenie wiązki zaczęło się o 16.00, a o 16.02 ośmioro ludzi spadając z wysokości sześćdziesięciu stóp zanurzyło się w silnie naładowanej wiązce protonów tryskającej z kolistego wnętrza komory magnetycznej. Przewodnik, młody Murzyn, obsunął się pierwszy i jako pierwszy uderzył o podłogę. Ostatni spadł młody inżynier z pobliskiego zakładu produkującego kierowane pociski rakietowe. Kiedy grupa wchodziła na platformę, oddalił się trochę i ruszając w kierunku korytarza, wsunął rękę do kieszeni po papierosy.

Być może, gdyby nie usiłował ratować żony, nie spadłby z resztą grupy. W ostatnim przeblysku świadomości upuścił papierosy i na oślep starał się pochwycić trzepoczący rękaw płaszcza Marshy...

Cały ranek Hamilton siedział w laboratorium badawczym, pocąc się ze strachu i nie robiąc nic poza temperowaniem ołówków. Wokół niego personel kontynuował swoje badania, korporacja działała. W południe zjawiła się Marsha, jak zwykle promienna i śliczna. Natychmiast został wyrwany z zamyślenia przez tę słodko pachnącą i bardzo kosztowną istotę, którą udało mu się złapać w sidła. Tę zdobycz cenił bardziej niż swój zestaw hi-fi czy kolekcję dobrej whisky.

– Co się stało? – spytała Marsha, przysiadając na skraju jego metalowego biurka.

Splotła dłonie w szykownych rękawiczkach i niespokojnie machała nogami.

– Pospieszmy się i zjedzmy coś, wtedy będzie można stąd wyjść. Czyżbyś zapomniał, że dziś jest pierwszy dzień pracy deflektora, tej części, którą chciałeś obejrzeć? Jesteś gotów?

– Jestem gotów, ale do komory gazowej – odparł tępo Hamilton. – Już się szykuje na moje przyjęcie.

Brazowe oczy Marshy powiększyły się. Ożywiła się, przybierając poważny, dramatyczny ton.

– O co chodzi, kochanie? Znów tajemnica służbowa, o której nie wolno ci mówić? Dlaczego nie powiedziałeś mi, że dzieje się dziś coś ważnego. Przy śniadaniu byłeś rozbawiony i zupełnie beztrojski.

– Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

Spojrząwszy na zegarek, Hamilton ociężale wstał z miejsca.

– Zjedzmy jakiś dobry obiad, być może ostatni – powiedział i dodał: – Ta wycieczka również może być ostatnia.

Lecz nie dotarł do bramy wyjściowej California Maintenance Laboratory, nie zdążył nawet dojść do restauracji znajdującej się poza kontrolowanym obszarem zabudowań i urządzeń. Zatrzymał go umundurowany posłaniec podając starannie złożoną kartkę papieru.

– Panie Hamilton, to dla pana. Pułkownik T.E. Edwards polecił mi wręczyć to panu.

Hamilton rozwinął papier trzęsącymi się rękami.

– Tak – powiedział do żony. – To jest to. Idź do klubu. Jeśli nie wrócę w ciągu godziny, jedź do domu i otwórz puszkę wieprzowiny z fasolą.

– Ale... – zaczęła zaniepokojona. – Jesteś taki wzburzony. Wiesz o co chodzi?

Tak, wiedział. Pochylił się i pocałował jej czerwone, wilgotne, lekko drżące usta. Potem ruszył szybko za gońcem w głąb korytarza i dotarł do biur pułkownika Edwardsa, pokoi konferencyjnych o wysokim standardzie, w których zebrały się grube ryby korporacji odbywając pełne powagi obrady.

Gdy usiadł, poczuł silną woń będącą kompozycją dymu z cygar, dezodorantów i czarnej pasty do butów. Jednostajny pomruk unosił się wokół długiego stołu konferencyjnego. Na jego końcu siedział sam stary T.E. obwarowany potężnym stosem formularzy i raportów. W zasadzie każdy z urzędników miał własną stertę papierów, otwartą aktówkę, popielniczkę i szklanekę letniej wody. Naprzeciw pułkownika Edwardsa siedział przysadzisty, umundurowany kapitan sekcji bezpieczeństwa, Charley McFeyffe, który wyławiał w fabryce sowieckich agentów.

– Jesteś – mruknął pułkownik T.E. Edwards, surowo spoglądając znad okularów. – To nie zajmie dużo czasu. W porządku dziennym jest przewidziany tylko jeden punkt, nie będziesz musiał siedzieć dłużej.

Hamilton nic nie odpowiedział. Spięty, oczekiwał dalszego biegu zdarzeń.

– Chodzi o twoją żonę – zaczął Edwards, śliniąc tłusty kciuk i kartkując raport. – Rozumiem,

że od czasu gdy Sutherland zrezygnował, jedynie ty byłeś odpowiedzialny za nasze laboratorium badawcze. Prawda?

Hamilton skinął głową. Jego spoczywające na stole dłonie wyraźnie zbieleły. Jak gdybym był już martwy, ze stryczkiem na szyi – pomyślał cierpko. Wiszący jak jedna z szynek Hormela w mrocznych czeluściach rzeźni.

– Twoją żonę uznano za osobę niepewną – zagrział Edwards. Jego pokryte wątrobowymi plamami dłonie podniosły się i opadły, gdy rzucał plik kartek.

– Mam tutaj raport. Przyniósł mi go McFeyffe – wskazał na milczącego kapitana z ochrony zakładu. – Powiniennem dodać, że niechętnie.

– Diabło niechętnie – wtrącił McFeyffe, patrząc na Hamiltona. Jego szare twarde oczy błagały o wybaczenie. Hamilton zignorował go, przybierając kamienny wyraz twarzy.

– Oczywiście – Edwards zmienił temat – znasz sytuację. Jesteśmy koncernem prywatnym, ale naszym klientem jest rząd. Nikt nie kupuje pocisków poza Wujem Samem. Musimy się więc pilnować. Zwracam ci na to uwagę, chociaż będziesz mógł zdecydować sam. Sprawa dotyczy przede wszystkim ciebie. Dla nas ważny jest jedynie fakt, że kierujesz laboratorium badawczym. Tylko to nas interesuje.

Spojrzał na Hamiltona jak na obcego człowieka, mimo że zatrudnił go dziesięć lat temu, w 1949 roku, kiedy ten był jeszcze młodym, inteligentnym zapalonym inżynierem elektroniki, świeżo upieczonym absolwentem MIT.

– Czy to oznacza – zapytał ochryple Hamilton, obserwując swoje zaciskające się konwulsyjnie dłonie – że Marsha nie ma prawa wstępu do zakładu?

– Nie – odparł Edwards – to oznacza, że ty będziesz pozbawiony dostępu do poufnych materiałów dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

– Ale to przekreśla... – Hamilton usłyszał swój brzęczyący w kamiennej ciszy głos – cały sens mojej pracy.

Nikt się nie odezwał. Zgromadzeni na sali urzędnicy milczeli, obwarowani stosami papierów i aktówek. Gdzieś w kącie brzęczał klimatyzator.

– A niech to wszyscy diabli – powiedział nagle głośno i wyraźnie Hamilton.

Zaszeleściło kilka druków. Edwards zerknął na niego kątem oka z wyraźną ciekawością. McFeyffe zapalił cygaro i nerwowo przesunął ciężką ręką po przerzedzonych włosach. W swoim zwykłym, brązowym mundurze wyglądał jak brzuchaty policjant z patrolu drogowego.

– Przedstaw mu zarzuty – powiedział. – Daj mu szansę obrony, T.E. Ma do tego prawo.

Przez chwilę pułkownik Edwards usilnie zastanawiał się nad raportem sekcji bezpieczeństwa. Jego twarz pociemniała z wściekłości. Cisnął dokumenty przez stół do McFeyffe'a.

– Twój departament to wysmażył – mruknął, umywając ręce od sprawy. – Ty mu powiesz.

– Czy macie zamiar czytać to tutaj? – zaprotestował Hamilton. – W obecności trzydziestu urzędników firmy?

– Wszyscy widzieli raport – powiedział spokojnie Edwards. – Został sporządzony miesiąc temu i krążył odtąd wśród personelu. W końcu, mój chłopcze, jesteś ważną osobą. Nie potraktowalibyśmy twojej sprawy lekko.

– Po pierwsze – odezwał się wciąż zakłopotany McFeyffe – sprawę przejęliśmy od FBI. Oni ją nam zlecili.

– Zażądałeś tego? – zgryźliwie dopytywał się Hamilton. – Czy też tak po prostu zdarzyło się, że dane krążyły sobie po całym kraju?

McFeyffe poczerwieniał.

– Wychodzi na to, że o nie poprosiliśmy. Jak o rutynowe informacje. Mój Boże, Jack, ja też mam swoją teczkę, istnieje nawetteczka Nixona.

– Nie musisz czytać tych śmieci – powiedział drżącym głosem Hamilton. – Marsha wstąpiła do Partii Postępowej w 1948 roku, kiedy była studentką pierwszego roku college’u. Wspomagała finansowo Komitet do Spraw Uchodźców Hiszpańskich. Prenumerowała „In Fact”. Słyszałem o wszystkim już wcześniej.

– Przeczytaj materiały bieżące – polecił Edwards. Dokładnie przeglądając raporty, McFeyffe znalazł ostatnie informacje.

– Pani Hamilton wystąpiła z Partii Postępowej w 1950 roku. „In Fact” nie jest już wydawane. W 1952 roku uczęszczała na spotkania California Arts Sciences and Professions, czołowej organizacji o prokomunistycznych skłonnościach. Podpisała Apel Sztokholmski. Przyłączyła się do Civil Liberties Union, uważanej przez niektórych za prolewicową.

– Co oznacza „prolewicową”? – zapytał Hamilton.

– Popierająca grupy lub osoby sympatyzujące z ruchem komunistycznym – beznamiętnie kontynuował McFeyffe. – Ósmego maja 1953 roku pani Hamilton napisała list do „Chronicle” w San Francisco, protestując przeciw wydaleni z Stanów Charlie Chaplina, notorycznego włóczęgi. Podpisała petycję o rewizję procesu jawnych zdrajców – Rosenbergów. W 1954 w Almedzie na zebraniu League of Women Voters opowiedziała się za przystąpieniem do ONZ Chin – kraju komunistycznego. W 1955 wstąpiła w Oakland do oddziału organizacji Międzynarodowa Współpraca albo Śmierć, działającej też w krajach za żelazną kurtyną. W 1956 wpłaciła pieniądze na rzecz Towarzystwa Rozwoju Ludności Kolorowej. – Podał sumę: – Czterdzieści osiem dolarów, pięćdziesiąt pięć centów.

Zapadła cisza.

– To już wszystko? – zapytał Hamilton.

– Tak, to materiały dotyczące sprawy.

– Czy wspomina się w nich także – Hamilton usiłował mówić spokojnym tonem – że

Marsha prenumerowała chicagowską „Tribune”, prowadziła kampanię na rzecz Adlai Stevensona w 1952, a w 1953 przekazała pieniądze Towarzystwu Opieki nad Zwierzętami?

– Nie widzę związku – stwierdził z irytacją Edwards.

– To dopełnia obrazu! Rzeczywiście, Marsha prenumerowała „In Fact”, a także „New Yorkera”. Wystąpiła z Partii Postępowej, kiedy uczynił to Wallace, przyłączyła się do Młodych Demokratów. Czy mówi się o tym w raporcie? Oczywiście, była ciekawa komunizmu, ale czy to znaczy, że jest komunistką? Wszystko, co tutaj powiedzieliście, sprowadza się do tego, że Marsha czyta pisma lewicowe i słucha lewicowych mówców, co wcale nie dowodzi, że aprobuje komunizm, należy do partii, dąży do obalenia rządu, czy też...

– Nie twierdzimy, że twoja żona jest komunistką – powiedział McFeyffe. – Uważamy natomiast, iż jest politycznie niepewna, a więc taka możliwość istnieje.

– Dobry Boże – odezwał się bezradnie Hamilton. – Czyżbyście spodziewali się po mnie, że udowodnię, iż to nieprawda? Czy tak?

– Taka możliwość istnieje – powtórzył Edwards. – Jack, spróbuj pomyśleć rozsądnie, nie denerwuj się i przestań wrzeszczeć. Może Marsha jest czerwona, może nie. Nie w tym rzecz. Zgromadzony materiał pokazuje, że twoja żona interesuje się polityką, i to na dodatek radykalną. A to nie jest dobrze widziane.

– Marsha interesuje się wszystkim, jest inteligentną, wykształconą osobą. Ma całe dnie na zajmowanie się różnymi sprawami, czy powinna jedynie siedzieć w domu... – Hamilton szukał słów – i ścierać kurze z parapetów? Zajmować się obiadami, gotowaniem i szyciem?

– Mamy tutaj próbkę zainteresowań twojej żony – powiedział McFeyffe. – Naturalnie żaden z punktów tej listy nie jest ostatecznie obciążający. Ale kiedy się je zsumuje, weźmie średnią statystyczną... po prostu wygląda to parszywie, Jack. Twoja żona jest zamieszana w zbyt wiele działań prolewicowych.

– Winna z powodu waszych urojeń. Marsha jest aktywna, ciekawa życia. Ale czy dowodzi to tego, że zgadza się ze wszystkim, co tamci mówią?

– Nie możemy poznać jej myśli. Ty także nie. Ocenić możemy tylko to, co robi: grupy, do których należy, petycje, które podpisuje, pieniądze, które zbiera. To jedyny dowód, jakim dysponujemy – i właśnie to musimy rozważyć. Mówisz, że Marsha chodzi na te spotkania, ale nie popiera poglądów tam głoszonych. Wyobraźmy sobie sytuację, że policja rozpędza jakąś nieprzyzwoitą imprezkę, aresztuje dziewczynki i ich opiekunów, a widzowie uchylają się przed odpowiedzialnością, twierdząc, że ich to tak naprawdę nie interesowało. – McFeyffe rozłożył ręce. – Czy znaleźliby się tam, gdyby nie sprawiało to im przyjemności? Raz... być może. Z ciekawości... ale nie systematycznie. Twoja żona jest związana z grupami lewego skrzydła od dziesięciu lat. Zaczęła się nimi interesować będąc osiemnastolatką. Miała dużo czasu, aby wyrobić sobie poglądy na temat komunizmu. Jednak ciągle powraca do tych spraw. Pojawia się,

gdy są organizowane jakieś komunistyczne grupy protestujące przeciwko linczowi na Południu, czy też podnoszące krzyk przeciwko wydatkom zbrojeniowym. Fakt, iż Marsha czyta chicagowską „Tribune”, wydaje mi się nie bardziej istotny niż to, że człowiek lubiący rozpustę chodzi do kościoła. Dowodzi tylko, że ma wiele wcieleń, niekiedy nawet sprzecznych ze sobą, ale fakt pozostaje faktem: w jednym z wcieleń akceptuje sprośności. Nie jest bez zasad, ponieważ uczęszcza do kościoła, ale jest rozpustny. Twoja żona w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach może być przeciętną Amerykanką z krwi i kości. Może dobrze gotować, ostrożnie prowadzić wóz, płacić podatek dochodowy, dawać pieniądze na cele dobroczynne, piec ciasteczka na akcje charytatywne. Ale w jednym procencie może być związana z Partią Komunistyczną. I w tym rzecz!

– Jasno postawiłeś sprawę – przyznał po chwili z niechęcią Hamilton.

– Wierzę, że tak jest. Znam ciebie i Marszę od czasu, gdy zacząłeś tu pracować. Lubię was oboje, Edwards podobnie. Wszyscy was lubią. Ale to nie ma znaczenia. Dopóki nie będziemy mogli posługiwać się telepatią, by przejrzeć czyjeś myśli, będziemy musieli polegać na danych statystycznych. Nie możemy udowodnić, że Marsha jest agentem obcego wywiadu, a ty nie możesz udowodnić, że tak nie jest. W takiej sytuacji jesteśmy zmuszeni powątpiewać w jej lojalność. Po prostu na inną postawę nie możemy sobie pozwolić.

Pocierając obwisłą wargę McFeyffe spytał:

– Zdarzyło ci się kiedyś zastanawiać nad tym, czy ona jest komunistką?

Oblany nerwowym potem Hamilton w milczeniu patrzył na błyszczący blat stołu. Zawsze zakładał, że Marsha mówi prawdę; komunizm tylko ją zaciekawiał. Lecz teraz po raz pierwszy obudziło się w nim bolesne i dręczące podejrzenie. Statystycznie rzecz biorąc, wszystko było możliwe.

– Zapytam ją – powiedział głośno.

– Zapytasz? – rzucił McFeyffe. – I co ona ci odpowie?

– Odpowie, że nie, oczywiście.

Edwards potrząsając głową wtrącił:

– To na nic, Jack. Gdy wszystko przemyślisz, przyznasz nam rację.

Hamilton wstał.

– Ona czeka w klubie. Moglibyście przyprowadzić ją tutaj i sami zadawać pytania.

– Nie zamierzam z tobą dyskutować – powiedział Edwards. – Twoja żona została uznana za osobę niepewną i aż do odwołania jesteś zawieszony w czynnościach. Albo dostarczysz przekonujący dowód, że Marsha nie jest komunistką, albo pozbędziesz się jej. – Wzruszył ramionami. – Chodzi o twój zawód, chłopcze. To praca całego twojego życia.

McFeyffe wstał i ciężkim krokiem przeszedł na drugą stronę stołu. Spotkanie mające oczyścić Hamiltona z zarzutów zakończyło się. Wziąwszy go pod ramię, ruszył zdecydowanie

w kierunku drzwi.

– Wyjdźmy stąd gdzieś, gdzie będziemy mogli odetchnąć. Co myślisz o drinku? W trójkę: ty, Marsha i ja. Whisky kwaśniej tam w dole przy Safe Harbor. Może wstąpimy na jednego?

2

– Nie mam ochoty na drinka – powiedziała Marsha łamiącym się głosem. Była roztrzęsiona, lecz stanowczo zwróciła się do McFeyffe’a ignorując urzędników firmy, którzy defilowali przez klub.

– Teraz Jack i ja jedziemy do bewatronu, aby obejrzeć nową aparaturę, która dzisiaj zostanie uruchomiona. Planowaliśmy to już od dawna.

– Mój samochód stoi na parkingu – powiedział McFeyffe, a potem dodał ironicznie: – Zawiozę was tam. W końcu jestem gliną, mogę zrobić to raz, dwa.

Gdy zakurzony plymouth wspinał się na zbocze, gdzie znajdowały się budynki bewatronu, Marsha przerwała milczenie.

– Nie wiem, czy śmiać się czy płakać. Nie mogę uwierzyć. Czy naprawdę traktujecie to tak poważnie?

– Pułkownik Edwards sugerował, że Jack pozbędzie się ciebie jak starego płaszcza.

Marsha siedziała oszołomiona, kurczowo trzymając rękawiczki i torebkę.

– Zrobiłbyś to? – zapytała męża.

– Nie – odparł Hamilton. – Nawet gdyby okazało się, że jesteś zboczoną komunistką i alkoholizką w jednej osobie.

– Słyszysz? – mruknęła do McFeyffe’a.

– Słyszę.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że oboje jesteście wspaniałymi ludźmi. Jack byłby sukinsynem, gdyby zrobił inaczej. Powiedziałem to pułkownikowi Edwardsowi – skończył McFeyffe.

– Kogoś z was nie powinno tutaj być – odparł Hamilton. – Można by jedno wykopać za drzwi. Wystarczy rzucić monetę.

Poruszona tym stwierdzeniem Marsha wpatrywała się w męża, a jej palce bezwiednie skubały rękawiczki.

– Nie rozumiem – szepnęła. – To straszne, to spisek przeciwko tobie i mnie. Przeciw nam wszystkim.

– Ja również czuję w tym większe świństwo – przyznał McFeyffe.

Skręcił z głównej drogi i mijając punkt kontrolny, wjechał na tereny bewatronu. Gliniarz przy wjeździe zasalutował i pomachał ręką. McFeyffe odwzajemnił pozdrowienie.

– Mimo wszystko jesteście moimi przyjaciółmi... to obowiązki zmusiły mnie do sporządzenia tego raportu. Czy myślicie, że bawi mnie przeglądanie uwłaczających komuś materiałów, sprawdzanie plotek?

– Wykonujesz swoje obo... – zaczął Hamilton, lecz Marsha przerwała mu.

– On jest w porządku, to nie jego wina. Jesteśmy w to zamieszani wszyscy, wszyscy troje.

Samochód zatrzymał się przed głównym wejściem. McFeyffe zgasił silnik, wysiedli, a potem w milczeniu weszli na górę po betonowych schodach.

Widać było grupkę inżynierów zgromadzonych na stopniach, Hamilton obejrzał się za nimi. Dobrze ubrani, krótko ostrzyżeni, w krawatach, gawędzący bez troski. Obok nich znajdowała się garstka turystów, którzy skontrolowani już przy bramie, szli zobaczyć bewatron w akcji. Ale to inżynierowie zwrócili uwagę Hamiltona. Pomyślał. Oto ja... Taki byłem do tej pory.

– Wróć za chwilę – powiedziała cicho Marsha, ocierając załzawione oczy. – Idę do przebieralni doprowadzić się do porządku.

– Okay – mruknął zamyślony.

Pobiegła, a Hamilton i McFeyffe stali na korytarzu, patrząc na siebie.

– Może dobrze się stało – stwierdził Hamilton. – Dziesięć lat to szmat czasu, wystarczająco dużo w każdym zawodzie. Co one mi dały? Dobre pytanie.

– Masz prawo czuć się dotknięty – powiedział McFeyffe.

– Zgadza się – odparł Hamilton.

Odszedł kawałek i stanął z rękami w kieszeniach.

Naturalnie, że go bolało. I będzie bolało, aż do chwili kiedy nie osądzi całej sprawy z dystansu. Ale nie... to był cios dla jego światopoglądu, podważenie dotychczasowego systemu wartości, wszystkiego w co wierzył i co przyjmował za pewne. McFeyffe wtargnął w najbardziej intymne sfery jego życia, w małżeństwo z kobietą, która znaczyła dla niego więcej niż ktokolwiek na świecie. Więcej niż ktokolwiek i cokolwiek. Więcej niż jego praca... Dręczył go nie problem lojalności, lecz myśl, że on i Marsha zostali odcięci od siebie, rozdzieleni przez to, co zaszło.

– Tak... – odezwał się do McFeyffe'a – boli mnie jak diabli.

– Możesz znaleźć inne zajęcie. Z twoim doświadczeniem...

– Moja żona – odparł. – O niej mówię. Sądysz, że będę miał szansę wrócić tam za twojej kadencji? Chciałbym...

Pomyślał, że zabrzmiało to dziecinnie.

– Jesteś niepoczytalny – kontynuował. – Niszczysz niewinnych ludzi. Twoje paranoiczne iluzje...

– Skończ już – powiedział stanowczo McFeyffe. – Miałeś szansę, Jack. Przez lata. Zbyt długo.

Kiedy Hamilton myślał nad odpowiedzią, powróciła Marsha.

– Wpuszczają zorganizowaną grupę turystów. Grube ryby już zdążyły wszystko obejrzeć.

Była teraz nieco spokojniejsza.

– Ten element, nowy deflektor, już prawdopodobnie działa.

Hamilton wolno odwrócił się od zwałistego pracownika służby bezpieczeństwa.

– Więc chodźmy.

McFeyffe podążył za nimi.

– Powinno być interesująco – rzucił jakby w powietrze.

– Fakt – przyznał chłodno Hamilton czując, że cały drży.

Wziąwszy głęboki oddech wszedł za Marshą do windy i natychmiast się odwrócił. McFeyffe uczynił to samo. Gdy winda ruszyła, Hamilton musiał patrzeć na czerwony kark McFeyffe'a. Widać i on był zdenerwowany.

Na drugim piętrze spotkali młodego Murzyna z opaską na rękawie, który oprowadzał właśnie grupę turystów. Przyłączyli się do niej. Z tyłu następni goście cierpliwie czekali na swoją kolej. Była 15.50. Układ Odchylania Wilcoxa-Jonesa został już wyregulowany i uruchomiony.

– Oto jesteśmy – powiedział młody przewodnik spokojnym głosem, prowadząc ich po hallu w kierunku platformy widokowej. – Musimy się pospieszyć. Inni czekają. Jak wiadomo, bawatron w Belmont został zbudowany przez Komisję Energii Atomowej w celu prowadzenia zaawansowanych badań nad zjawiskami promieniowania kosmicznego sztucznie generowanego w kontrolowanych warunkach. Centralnym elementem bawatronu jest ogromny magnes, którego pole przyspiesza wiązkę protonów i powoduje wzrastającą jonizację. Dodatkowo naładowane protony są wprowadzane do rezonatora liniowego akceleratora z rury Cockrofta-Waltona.

Używane przez przewodnika terminy wywoływały wśród zwiedzających odmienne reakcje. Wysoki, chudy dżentelmen stał sztywno jak słup, założywszy ręce do tyłu, promieniował wzgardą dla nauki jako takiej. Oficer, zawyrokował Hamilton. Mężczyzna nosił przypięty do bawelnianego swetra zmatowiały kawałek metalu. Diabli z nim, pomyślał gorzko. Do diabła z patriotyzmem w ogóle. Ciągnie swój do swego: żołnierze i gliniarze, antyintelektualiści i rasiści. Przeciwnicy wszystkiego oprócz piwa, psów, samochodów i broni.

– Czy macie jakiś prospekt? – dopytywała się łagodnie, lecz natarczywie pulchna, kosztownie ubrana matrona. – Chcielibyśmy otrzymać coś, co można przeczytać i wziąć do domu. Do szkolnego użytku.

– Ile tam jest woltów? – krzyknął do przewodnika jej syn. – Ponad miliard?

– Nieco ponad sześć miliardów elektronowoltów zrywu otrzymują protony, zanim zostaną odchylone z orbity i wyrzucone z kolistej komory – wyjaśniał cierpliwie Murzyn. – Za każdym obiegiem wiązki protonowej jej ładunek i prędkość ulegają zwiększeniu.

– Jak szybko się poruszają? – zapytała smukła, wyglądająca na kompetentną w tej dziedzinie kobieta około trzydziestki.

Ubrana była w grubo tkany, typowy dla urzędniczki kostium i nosiła okulary.

– Trochę poniżej prędkości światła.

– Ile razy obiegają komorę?

– Cztery miliony razy – odparł przewodnik. – Przebywają drogę trzystu tysięcy mil w ciągu 1,85 sekundy.

– Nie do wiary! – wykrzyknęła piskliwym głosem dostatnio ubrana matrona.

– Protony opuszczające akcelerator liniowy – kontynuował przewodnik – mają energię dziesięciu milionów woltów albo, jak mówimy, dziesięciu megaelektronowoltów. Kolejnym problemem jest wprowadzenie ich na orbitę kołową w ściśle określonym miejscu i pod ściśle określonym kątem tak, aby mogły być zogniskowane przez pole dużego magnesu.

– Czy nie może zrobić tego jakiś duży magnes? – dopytywał się chłopiec.

– Obawiam się, że nie. Do tego celu używa się modulatora. Wysoko naładowane protony bardzo łatwo opuszczają wyznaczony tor i rozbiegają się we wszystkich kierunkach. Dlatego konieczny jest skomplikowany układ modulacji częstotliwości. Uniemożliwia on ruch cząstek po rozszerzającej się spirali. Kiedy wiązka osiągnie żądany ładunek, pozostaje podstawowy problem wydostania jej z komory.

Wskazał za barierkę balustrady na leżący pod nimi magnes. Imponujący, kolosalnych rozmiarów, kształtem przypominał obwarzanek. Słysząc było jego głośnie brzęczenie.

– Komora przyspieszająca znajduje się wewnątrz magnesu. Ma czterysta stóp wysokości. Niestety, chyba nie można jej stąd zobaczyć.

– Zastanawiam się – zaczął refleksyjnie siwowłosy weteran – czy twórcy tego osobliwego urządzenia zdają sobie sprawę, że zwykła nawałnica dana od Boga daleko przewyższa całą wytwarzaną przez człowieka moc, moc tej maszyny i innych urządzeń tego typu razem wziętych.

– Jestem pewna, że wiedzą o tym – wtrąciła łobuzersko poważna, młoda kobieta. – Mogą powiedzieć panu, z dokładnością do dzuła, jaka jest moc huraganu.

Weteran obserwował ją z pełną rezerwy powagą.

– Czy jest pani naukowcem? – zapytał łagodnie. Przewodnik wprowadził teraz część grupy na platformę.

– Idę z tobą – powiedział McFeyffe do Hamiltona. Marsha obojętnie przesuwiała się do przodu, za nią podążał mąż. McFeyffe, udając zainteresowanie wykresami informacyjnymi przyklejonymi do ściany wznoszącej się nad platformą, przystanął z tyłu.

Hamilton chwycił rękę żony i ściskając ją mocno, szepnął do ucha:

– Myślisz, że wyrzeknę się ciebie? Nie żyjemy w faszystowskich Niemczech.

– Jeszcze nie – odparła przygnębiona Marsha.

Była wciąż blada i zgaszona. Spod dyskretnego makijażu wyglądały sine, bezkrwiste usta.

– Kochanie, kiedy pomyślę o tych ludziach zapoznających się z materiałami dotyczącymi mnie i mojej działalności, to czuję się tak, jakbym była kimś w rodzaju... jakbym była

prostytutką albo uprawiała sekretne stosunki z końmi... Mogłabym ich zabić. A Charlie – zachnęła się – myślałam, że jest naszym przyjacielem. Sądziłam, że możemy na nim polegać. Tyle razy był u nas na obiedzie.

– Nie żyjemy również w Arabii – przypomniał jej Hamilton. – To, że go gościmy, nie oznacza, iż jest naszym bratem.

– To ostatni raz, kiedy upiekłam bezy cytrynowe lub cokolwiek innego, co lubi. On i te jego pomarańczowe podwiązki! Obiecuj, że nigdy ich nie założysz.

– Noszę tylko elastyczne skarpety – szepnął, przytulając ją do siebie. – Wepchnijmy tego sukinsyna do magnesu.

– Sądziś, że strawiłby go? – Marsha uśmiechnęła się słabo.

– Prawdopodobnie wypłułby z powrotem.

Za nimi kręcili się mamusia i synek. McFeyffe włókł się z tyłu, wepchnąwszy ręce do kieszeni. Muskularną twarz wykrzywił grymas zniechęcenia.

– Nie wygląda na zbyt szczęśliwego – zauważyła Marsha. – Trochę mi go żal. To nie jego wina.

– A czyja w takim razie? – Hamilton wpadł w żartobliwy ton. – Tych pijawek, kapitalistycznych bestii z Wall Street?

– Zabawny sposób myślenia – skomentowała zmartwiona Marsha. – Nigdy nie słyszałam u ciebie takich słów. – Nagle uściśnęła go mocno. – Nie myślisz tak naprawdę... – wyrwała się gwałtownie i odsunęła od niego. – Ależ tak... myślisz, że to prawda?

– Co takiego? To, że należałaś do Partii Postępowej, a ja wozilem cię na spotkania moim chewy coupe, pamiętasz? Przecież wiem o tym od dziesięciu lat.

– Nie, nieważne co robiłam. Istotne jest, co oni o tym sądzą. Ty też tak myślisz, prawda?

– No... – zaczął niezręcznie – nie masz krótkofalowego nadajnika w piwnicy. Nic takiego nie zauważyłem.

– Sprawdzałeś? – Jej głos był chłodny i oskarżający. – Być może mam, nie bądź tego pewien. Może jestem tu po to, aby sabotować ten bewatron czy jakiegokolwiek inne diabelstwo.

– Mów ciszej – mruknął ostrzegawczo Hamilton.

– Nie będziesz mi rozkazywał. – Wściekła, nieszczęśliwa, odwróciła się od niego, wpadając na groźnie wyglądającego starszego oficera.

– Proszę uważać, młoda damo – ostrzegł ją i stanowczym ruchem odciągnął od balustrady. – Chyba nie chce pani wypaść za burtę?

– Największy problem konstrukcyjny – kontynuował przewodnik – leży w opracowaniu układu odchylenia służącego do wyprowadzania wiązki protonów z komory i zderzenia ich z tarczą. Zastosowano kilka metod. Początkowo oscylator był wyłączany w momencie krytycznym, co pozwalało protonom rozchodzić się na zewnątrz po spirali. Ale takie odchylenie

było za mało dokładne.

– Czy to prawda – zapytał szorstko Hamilton – że kiedyś w starym berkeleyowskim cyklotronie uciekła im cała wiązka?

Przewodnik spojrział na niego z zainteresowaniem.

– Tak mówią.

– Słyszałem, że przedarła się przez pomieszczenia biurowe. Jeszcze dziś można zobaczyć ślady. A nocą, gdy światła są pogaszone, promieniowanie jest wciąż widoczne.

– Twierdzą, że wisi wokół jak błękitna chmura – dodał przewodnik. – Czy pan jest fizykiem?

– Elektronikiem – poinformował go Hamilton. – Interesuje mnie deflektor, znam trochę Wilcoxa.

– Dziś jest jego wielki dzień – zauważył przewodnik. – Właśnie uruchomili ten zespół, tam w dole.

– Który? – spytał Hamilton.

Pochylając się, przewodnik wskazał skomplikowany aparat po jednej ze stron magnesu. Warstwy tarcz ekranujących podtrzymywały grubą ciemnoszarą rurę, nad którą zamontowane zostały skomplikowane, wypełnione cieczą przewody.

– Oto dzieło pańskiego przyjaciela. Jest gdzieś tutaj i przygląda się.

– Jak to działa?

– Za wcześnie, żeby o tym mówić.

Stojąca za Hamiltonem Marsha cofnęła się na brzeg platformy. Ruszył za nią.

– Spróbuj zachowywać się dorośle – szepnął cicho, rozzłoszczony. – Póki jesteśmy tutaj, chcę widzieć, co będzie dalej.

– Ty i ta twoja nauka. Druty i rury. Żelastwo jest więcej warte dla ciebie niż moje życie.

– Przyszedłem tutaj, aby zobaczyć ten deflektor i koniec. Nie przeszkadzaj mi, nie rób scen.

– To ty robisz sceny.

– Nie dosyć już szkód narobiłaś?

Odwrócił się, przeszedł obok urzędniczki i McFeyffe'a w kierunku rampy łączącej platformę obserwacyjną z korytarzem. Szperał właśnie w kieszeniach szukając papierosów, kiedy pierwszy, złowieszczy głos syren alarmowych przebił się przez cichy szum magnesu.

– Zawracać! – krzyknął przewodnik, a jego chude, ciemne ramiona uniosły się, zatrzepotały.

– Ekran radiacyjny...

Rozszalały, brzęczący ryk grzmiał ponad platformą. Chmury rozżarzonego pyłu eksplodowały buchając płomieniem i opadły na przerażonych ludzi. Poraził ich odrażający odór spalenizny. W dzikim pośpiechu ruszyli ku brzegowi platformy. Trzasnęło. Metalowa podpórka, przepalana twardym promieniowaniem, stopiła się, wygięła i odpadła. Matka chłopaka piszczała

głośno i przenikliwie. McFeyffe usiłował wydostać się z kompletnie zniszczonej platformy, rozpaczliwie uciekając od oślepiającej wiązki twardego promieniowania niemal syczącego wokół. Zderzył się z Hamiltonem. Ten odepchnął przerażonego gliniarza i desperacko usiłował pochwycić Marszę.

Jego ubranie stało w ogniu. Płonący ludzie prac na siebie, próbowali utrzymać równowagę na platformie, która chyliła się powoli, ociążale, zawisła jeszcze na moment i w końcu runęła.

W całym budynku bewatronu zaskowyczały dzwonki alarmowe. Ludzkie i mechaniczne jęki trwogi mieszały się ze sobą, tworząc istną kakofonię dźwięków. Podłoga pod Hamiltonem zarwała się. Odkształcająca się stal, beton, plastik i zbrojenia stawały się przypadkowym zlepkiem strzępów materii. Hamilton instynktownie uniósł ręce, spadał twarzą ku majaczącemu niżej zarysowi maszynierii. Chrapliwy świst wyrwał się z jego płuc. Zawiesina migoczących i rozpalonych cząstek opadła na niego. Potem, w okamgnieniu, rozerwał splątana, metalową sieć, która osłaniała magnes. Zgrzyt rwanego materiału i furia prześlizgującego się nad nim twardego promieniowania...

Uderzył z całą siłą. Ból wzmagął się, rozrastał. Otaczał go niczym radioaktywna, stalowa wełna. Falował, rósł i wolno zaćmiewał jego umysł. W swej agonii czuł się na podobieństwo zbitka żywej materii startej wielkim kawałkiem gęstej, metalicznej tkaniny.

Potem nawet to zgasło. Świadom groteskowej bezsilności swego ciała, leżał zwinięty w kłębek, próbując bezskutecznie wstać. Ale w tym samym momencie pojął, że nikt z nich się nie podniesie. W każdym razie nie teraz.

3

W ciemnościach coś się poruszyło. Długo leżał nasłuchując. Oczy miał zamknięte, ciało bezwładne. Wstrzymując się od ruchu stawał się, na tyle, na ile mógł, jednym, gigantycznym uchem. Dźwięk brzmiał rytmicznie, tak jakby coś wpadło w ciemność i na oślep obijało się o ściany. Nieskończenie długo, on – gigantyczne ucho – badał to, aż w końcu on – gigantyczny umysł z zażenowaniem zdał sobie sprawę, że po prostu żaluzje uderzają o okno, on sam zaś znajduje się na sali szpitalnej.

Już za pomocą normalnego oka, nerwu wzrokowego i ludzkiego mózgu dostrzegł, kilka stóp od łóżka, zamglony kształt ciała swojej żony, który falował i oddalał się. Owładnęło nim uczucie wdzięczności, że twarde promieniowanie nie spaliło Marshy. Dzięki za to Bogu. Pełen wielkiej radości odprężył się, wyrażając swą wdzięczność w niemej modlitwie.

– Dochodzi do siebie – basowym, autorytatywnym głosem stwierdził lekarz.

– Tak sędzę – powiedziała Marsha.

Jej głos zdawał się docierać ze znacznej odległości.

– Kiedy będziemy pewni?

– Czuję się dobrze – wydusił ochryple Hamilton. Momentalnie kształty rozdzieliły się i odpłynęły.

– Kochanie – czule szepnęła przejęta Marsha. – Nikt nie zginął. Wszystko w porządku. Z tobą także.

Jak ogromne słońce promieniowała ciepłem i szczęściem.

– McFeyffe skręcił kostkę, ale mu ją nastawią. Natomiast ten chłopiec miał prawdopodobnie wstrząs mózgu.

– A co z tobą? – zapytał słabym głosem.

– W porządku.

Podeszła do niego obracając się tak, aby mógł zobaczyć ją całą. Zamiast szykownego płaszczyka i eleganckiej sukienki miała na sobie zwykłą, białą koszulę szpitalną.

– Promieniowanie spaliło moje ubranie, dali mi to.

Zakłopotana, przyglądała swoje brązowe włosy.

– Spójrz, są krótsze. Były spalone, więc je ścięłam, ale odrosną.

– Czy mogę wstać? – spytał Hamilton, usiłując przyjąć pozycję siedzącą.

Zakręciło mu się w głowie, pociemniało w oczach. Opadł na łóżko, z trudem łapał oddech. Przymknął oczy czekając, aż to minie.

– Będzie pan przez jakiś czas osłabiony – wyjaśnił lekarz. – Doznał pan szoku i stracił dużo krwi.

Dotknął ramienia Hamiltona.

– Poraniły pana kawałki metalu: usunęliśmy je.

– Kto jest najbardziej poszkodowany? – spytał przymykając oczy.

– Ten stary oficer, Arthur Silvester. Nie stracił wprawdzie przytomności, ale wolałbym, żeby tak było. Najwyraźniej ma złamany kręgosłup. Jest na dole, na chirurgii.

– Złamane, jak sędzę – stwierdził Hamilton badając ramię.

– Ja najmniej ucierpiałam – odezwała się niepewnie Marsha. – Ale przemarzłam... Sędzę, że z powodu promieniowania. Wpadłam prosto w główną wiązkę. Wszystko co widziałam, to iskry i światło. Naturalnie wyłączyli ją od razu. Nie trwało to dłużej niż ułamek sekundy, a wydawało się, że upływają miliony lat – dodała płaczliwie.

Lekarz, schludnie wyglądający młody mężczyzna, odsunął na bok kołdrę i zmierzył puls chorego. Przy brzegu łóżka krzątała się zwawo wysoka pielęgniarka. Obok, w zasięgu ręki Hamiltona znajdowała się aparatura. Wydawało się, że wszystko jest przez nią kontrolowane.

Wydawało się... a jednak coś było nie w porządku. Czuł to. Utkwiło w nim dręczące przeświadczenie, że coś istotnego uległo zmianie.

– Marsha – powiedział nagle. – Czujesz to?

Ociągając się podeszła do niego.

– Czy czuję co, kochanie?

– Nie wiem co, ale to jest.

Marsha wahała się przez chwilę, a potem zwróciła się do lekarza.

– Mówiłam panu, że coś się dzieje, prawda? Wtedy, kiedy oprzytomniałam.

– Każdy wychodząc z szoku ma poczucie nierealności – poinformował ją lekarz. – To normalne uczucie. Powinno zniknąć za dzień lub dwa. Proszę pamiętać, że oboje państwo otrzymaliście zastrzyki uspokajające. Przeszliście ciężką próbę; wiązka, która w was uderzyła, była silnie naładowana.

Ani Hamilton, ani jego żona nie odzywali się. Spoglądali na siebie, każde próbowało wyczytać myśli z twarzy drugiego.

– Sędzę, że mieliśmy szczęście – zaczął Hamilton.

Jego radość ustąpiła miejsca zwątpieniu. Co to było? Chociaż odczucie było irracjonalne, nie mógł się go pozbyć. Popatrzył wokoło, lecz nie zauważył niczego niepokojącego.

– Wielkie szczęście – wtrąciła z dumą pielęgniarka, tak jakby to była jej osobista zasługa.

– Jak długo tutaj zostanę?

Lekarz zastanawiał się przez moment.

– Sędzę, że może pan wrócić do domu dziś wieczorem. Ale powinien pan pozostać jeszcze kilka dni w łóżku. Oboje państwo potrzebujecie dużo odpoczynku, tydzień, dwa. Proponowałbym wykwalifikowaną pielęgniarkę.

– Nie stać nas – odpowiedział w zamyśleniu Hamilton.

– Koszty zostaną naturalnie pokryte – zauważył nieco urażony lekarz. – Rząd federalny zapewnił to. Na państwa miejscu spędziłbym ten czas myśląc wyłącznie o powrocie do zdrowia.

– Może ja wolę spędzać go inaczej – odparł cierpko Hamilton. Zatopił się znowu w ponurych rozmyślaniach dotyczących sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Wypadek czy też nie, nic to nie zmieniało. Chyba że kiedy leżał nieprzytomny, pułkownik Edwards zmarł na atak serca. Nie wydawało się to jednak zbyt prawdopodobne.

Kiedy wreszcie lekarze i pielęgniarka wyszli, Hamilton odezwał się do żony.

– Mamy teraz wytłumaczenie dla sąsiadów, dlaczego nie jestem w pracy.

Marsha pokiwała głową bez przekonania.

– Zapomniałam o tym.

– Mam zamiar znaleźć coś, co nie wymaga sprawdzenia lojalności. Coś nie związanego z obroną narodową – dodał ponuro – jak powiedział Einstein w pięćdziesiątym czwartym. Może zostanie instalatorem albo konserwatorem telewizorów – to jeszcze lepsze.

– Pamiętasz, o czym zawsze marzyłeś? – Marsha przysiadła na skraju łóżka, uważnie przyglądając się swoim skróconym, cokolwiek postrzępionym włosom. – Zamierzałeś projektować nowe układy magnetofonowe. Obwody FM. Chciałeś zostać wielką postacią w hi-fi, jak Bogen, Thorens i Scott.

– Prawda – zgodził się z wielkim przekonaniem. – Hamilton Trinaural Sound System. Obmyślaliśmy to po nocach. Trzy nagrania, gramofony, wzmacniacze, głośniki. Zamontowane w trzech pokojach. W każdym człowiek słuchający aparatury. Każda gra inny utwór.

– Pierwsza koncert Brahmsa – dodała Marsha z odrobiną entuzjazmu.

– Następna „Święto Wiosny” Strawińskiego. Ostatnia, to utwory Dowlanda na lutnię. Potem produkty umysłów tych trzech ludzi zostają zebrane i spięte razem przez rdzeń trójakustycznego układu Hamiltona, standardowego obwodu muzycznego Hamiltona. Efekty pracy trzech umysłów zostały połączone w dokładnych matematycznych proporcjach opartych na stałej Plancka.

Nagle zaczęło go znowu rwać ramię i dokończył już szorstko:

– Wynik tej kombinacji jest zapisywany na taśmie magnetofonowej i odtwarzany w trzech czwartych oryginalnej prędkości.

– I wysłuchiwany na odbiorniku kryształowym. – Marsha pochyliła się szybko i objęła go. – Kochanie, kiedy odzyskałam przytomność, myślałam, że nie żyjesz. Boże, wyglądałeś jak trup, cały biały, cichy i nieruchomy. Myślałam, że pęknie mi serce.

– Jestem ubezpieczony – odparł poważnie. – Byłabyś bogata.

– Nie chcę być bogata. – Kołysząc się i wciąż go obejmując szepnęła: – Popatrz, co ci zrobiłam. Przez to, że się nudzę, jestem ciekawska, a może nawet zbzikowana na punkcie

wybryków politycznych, straciłeś pracę. Mogłam stuknąć się w głowę. Powinnam wiedzieć, że nie wolno mi podpisać Apelu Sztokholmskiego, kiedy ty pracujesz nad zdalnie kierowanymi raketami. Ale zawsze gdy ktoś wręcza mi petycję, daję się ponieść emocjom. Nieszczęsne, uciskane masy.

– Nie przejmuj się – odparł krótko. – Gdybyśmy wrócili do roku 1943, ty byłabyś normalna, a McFeyffe znalazłby się na bruku. Jako niebezpieczny faszysta.

– On nim jest – żarliwie potwierdziła Marsha. – Jest niebezpiecznym faszystą.

Hamilton odsunął ją od siebie.

– McFeyffe jest wściekłym patriotą i reakcjonistą. Ale to jeszcze nie czyni z niego faszysty. Dopóki nie uwierzysz, że ktoś, kto nie jest...

– Nie rozmawiajmy już o tym – przerwała. – Spodziewam się, że nie będziesz tego rozpowiadał.

Pocałowała go gorąco.

– Zaczekaj, aż wrócimy do domu.

Odsunęła się, lecz chwycił ją za ramię.

– Co się dzieje? Co tutaj jest nie tak?

Sztywno pokręciła głową.

– Nie jestem w stanie tego określić, nie mogę skonkretyzować. Od czasu gdy odzyskałam przytomność, to coś zawsze wydaje się być tuż za mną. Mam przeczucie. Gdybym... – gestykulowała – odwróciła się, zobaczyłabym, nie wiem co. Coś ukrywającego się. Coś okropnego.

Zadrżała bojaźliwie.

– To mnie przeraża.

– Mnie również.

– Być może w końcu dowiemy się – stwierdziła niepewnie.

– A może niczego nie ma... po prostu szok i leki uspokajające, tak jak powiedział lekarz.

Hamilton nie wierzył w to, Marsha również.

Jechali do domu razem z lekarzem i młodą, poważnie wyglądającą urzędniczką. Ona także miała na sobie zwykłą, szpitalną koszulę. Siedzieli cicho we trójkę na tylnym siedzeniu, gdy packard sunął wzdłuż ciemnych ulic Belmontu.

– Twierdzą, że złamałam dwa żebra – stwierdziła beznamiętnie młoda kobieta. Po chwili dodała: – Nazywam się Joan Reiss. Widziałam państwa wcześniej... byliście w moim sklepie.

– Co to za sklep? – spytał Hamilton, przedstawivszy krótko siebie i swoją żonę.

– Z książkami i dziełami sztuki, w El Camino. W sierpniu tego roku kupiła pani reprodukcję Chagalla.

– Tak było – przyznała Marsha. – Na urodziny Jacka... powiesiliśmy ją na ścianie. Na dole,

w pokoju muzycznym.

– W piwnicy – wyjaśnił Hamilton.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – powiedziała Marsha nerwowo, szperając w torebce. –

Zwróciłeś uwagę na doktora?

– Czy zwróciłem uwagę? – Był zaintrygowany. – Nie, nie bardzo.

– Zastanawia mnie. Był... bez skazy. Jak lekarz na reklamie pasty do zębów.

Joan Reiss słuchała uważnie.

– O co chodzi?

– Nic – odparł szorstko Hamilton. – To rozmowa prywatna.

– Pielęgniarka. Była tak samo typowa. Taka jak wszystkie pielęgniarki, które kiedykolwiek widziałeś.

Zamyślony wyjrzał przez szybę samochodu.

– To rezultat działania mass mediów – snuł domysły. – Ludzie wzorują się na reklamach.

Nieprawdaż, panno Reiss?

– Chciałabym państwa o coś zapytać. Zauważyłam coś, co mnie zastanawia.

– Co takiego? – spytał podejrzliwie Hamilton.

Było mało prawdopodobne, aby panna Reiss mogła wiedzieć, o czym rozmawiali.

– Ten policjant na platformie... chwilę przed tym, jak runęła. Dlaczego tam był?

– Przyszedł z nami – odparł zirytowany. Panna Reiss bacznie mu się przyjrzała.

– Naprawdę? Myślałam... – Jej głos brzmiał niezdecydowanie. – Wydawało mi się, że odwrócił się i ruszył z powrotem chwilę przed wypadkiem.

– Tak – zgodził się Hamilton. – Wyczuł, że to się stanie. Tak samo jak i ja, lecz ja pospieszyłem w przeciwną stronę.

– Mówi pan, że umyślnie zawrócił wiedząc, że może się pan uratować?

– Moja żona – mruknął wyjaśniająco.

Panna Reiss pokiwała głową, wyraźnie usatysfakcjonowana.

– Przepraszam... cały ten szok i napięcie. Mieliliśmy szczęście.

– Niektórzy nie mieli. Czy to nie dziwne, że część z nas nie odniosła prawie żadnych obrażeń, a ten biedny oficer, pan Silvester, ma złamany kręgosłup? To może dziwić.

– Miałem to państwu powiedzieć – odezwał się lekarz prowadzący pojazd. – Arthur Silvester nie ma złamanego kręgosłupa. Wygląda to na pęknięcie kręgów i uszkodzenie śledziony.

– Dzięki Bogu – chrząknął Hamilton. – A co z przewodnikiem? Nikt nic o nim nie mówił.

– Parę uszkodzeń wewnętrznych – odparł lekarz. – Nie ustalono jeszcze diagnozy.

– Czyżby wciąż czekał w izbie przyjęć? – zapytała Marsha. Doktor zaśmiał się.

– Bill Laws? Był pierwszym, którego wynieśli. Ma przyjaciół wśród sanitariuszy.

– I jeszcze jedno – przerwała mu Marsha. – Biorąc pod uwagę wysokość, z jakiej spadliśmy,

i całe promieniowanie, żadne z nas nie zostało tak naprawdę ranne. A teraz nasza trójka zachowuje się tak, jakby nic nie zaszło. To niemożliwe, zbyt proste.

– Prawdopodobnie spadliśmy na układ zabezpieczający. Przeklęty... – odezwał się zirytowany Hamilton.

Chciał powiedzieć coś jeszcze; lecz nie zdążył. W tym momencie ostry, przenikliwy ból przeszył jego prawą nogę. Podskoczył z okrzykiem, uderzając głową o dach samochodu. Wierzgając jak szalony, podwinął nogawkę spodni i zdołał zobaczyć uciekające, skrzydlate stworzonko.

– Co to? – dopytywała się niespokojnie Marsha. Chwilę później zobaczyła je również.

– Pszczoła.

Hamilton z wściekłością nadepnął owada, miażdżąc go butem.

– Ukłuła mnie w samą łydkę.

Pojawił się już brzydki, czerwony obrzęk.

– Jakby nie dość było zmartwień.

Lekarz skręcił szybko na skraj drogi.

– Zabił ją pan? Dostają się do środka, kiedy samochód stoi na parkingu. Przykro mi. Czy wszystko w porządku? Mam jakieś maści, możemy posmarować opuchliznę.

– Przeżyję... – mruknął Hamilton, delikatnie masując łydkę.

– Pszczoła. Jeszcze tego brakowało.

– Zaraz będziemy w domu – odezwała się cicho Marsha, wyglądając przez okno. – Panno Reiss, proszę wstąpić do nas na drinka.

– Tak... Wypiłabym filiżankę kawy, jeśli nie sprawi to państwu kłopotu – odparła wymijająco, przesuwając cienkim kościstym palcem po wardze.

– Oczywiście, że nie – zapewniła ją szybko Marsha. – Powinniśmy trzymać się razem, wszyscy ośmioro. Przeżyliśmy taki straszny wypadek.

– Miejmy nadzieję, że to koniec – zauważyła z niepokojem panna Reiss.

– Amen – dodał Hamilton.

Chwilę później samochód zahamował. Byli w domu.

– Jakie miłe miejsce – zachwyciła się panna Reiss, kiedy wydostali się z samochodu.

Otoczony ciszą dom w stylu kalifornijskiego rancho stał w wieczornym zmierzchu. Czekał, aż wejdą na ścieżkę i dojdą do werandy. Tam zaś, z podwiniętymi pod siebie łapami, siedział, również czekając na gospodarzy, ogromny żółty kocur.

– To kot Jacka – powiedziała Marsha zanurzając dłoń w torebce w poszukiwaniu kluczy. – Chce, żeby go nakarmić.

– Wejdz do środka, kiciusiu Matołku. Nie dostaniesz jeść tutaj – poinstruowała kota.

– Osobliwe imię – zauważyła z odrobiną niechęci panna Reiss. – Dlaczego państwo go tak

nazwali?

– Ponieważ jest głupi – odparł krótko Hamilton.

– Jack wymyśla takie imiona dla wszystkich swoich kotów – wyjaśniła Marsha. – Poprzedni nazywał się Parnassus Sztyniak.

Wielki, opasły kocur zeskoczył na drogę. Przesunął się w kierunku Hamiltona i otarł o jego nogę.

Panna Reiss odsunęła się z nie ukrywanym niesmakiem.

– Nigdy nie przyzwyczaję się do kotów – wyjawiała. – Są takie fałszywe i skryte.

W normalnej sytuacji Hamilton wygłosiłby krótkie kazanko na temat stereotypów. Ale w tej chwili nie zwracał specjalnej uwagi na to, co myśli o kotach panna Reiss. Wetknął klucz w zamek, otworzył frontowe drzwi, zapalił światło w pokoju gościnnym. Mały domek ożył i panie weszły do środka. Za nimi wkroczył kiciuś Matolek, kierując się prosto do kuchni. Jego postrzępiony ogon sterczał jak żółty wycior.

Ciągle w szpitalnej koszuli, Marsha otworzyła lodówkę i wyjęła plastikowe naczynie z gotowanymi sercami wołowymi. Krojąc mięso i rzucając je kotu, bez przerwy mówiła.

– Większość geniuszy elektroniki ma mechanicznych ulubieńców. Czułe na światło ćmy i temu podobne rzeczy biegające po pokojach i wpadające na ściany. Jack skonstruował coś takiego tuż po naszym ślubie. Łapało muchy i myszy. Ale nie było zbyt dobre, więc musiał zbudować następne.

– Sprawiedliwość dziejowa – powiedział Hamilton, zdejmując kapelusz i płaszcz. – Nie chciałem, aby zaludniły świat.

Gdy kocur łączywie kończył swój obiad, Marsha poszła do sypialni się przebrać. Panna Reiss myszkowała po pokoju, ze znużeniem oglądając wazon, reprodukcje, meble.

– Koty nie mają dusz – stwierdził niezyczliwie Hamilton, obserwując łączywie obżerającego się kota. – Najwspanialszy z kotów w całym wszechświecie tańczyłby z marchewką na głowie za kawałek wątroby wieprzowej.

– To w końcu zwierzęta – oświadczyła panna Reiss z livingroomu. – Czy tę reprodukcję Paula Klee kupiliście państwo u nas?

– Prawdopodobnie.

– Nigdy nie byłam w stanie dociec, co Klee próbuje powiedzieć.

– Może nic nie próbuje. Być może po prostu dobrze się bawi.

Zaczęło boleć go ramię. Zastanawiał się, jak wyglądało pod bandażem.

– Napije się pani kawy?

– Z chęcią, i to mocnej – potwierdziła panna Reiss. – Czy pomóc ją przygotować?

– Proszę sobie odpocząć – odparł mechanicznie, szukając Silexu. – Kieszonkowe wydanie „Historii” Toynbee’ego leży na półce z czasopismami obok tapczanu.

– Kochanie – z sypialni dobiegł ostry i niecierpliwy głos Marshy. – Czy możesz przyjść tutaj?

Pobiegł z Silexem w ręce, rozlewając w pośpiechu wodę. Marsha stała przy oknie zamierzając zasunąć zasłony. Spoglądała w noc. Głęboka zmarszczka przecinała jej czoło.

– O co chodzi? – spytał.

– Spójrz tam.

Spojrzał, lecz zobaczył jedynie mrok i niewyraźne kontury domów. Tu i ówdzie błyszczało słabo kilka świateł. Niebo było zachmurzone, a niska warstwa mgły dryfowała cicho nad dachami domów. Nic się nie poruszało. Żadnego życia, ruchu, obecności ludzi.

– Jak w średniowieczu – powiedziała cicho Marsha.

Dlaczego to tak wygląda? Obiektywnie rzecz biorąc wszystko wyglądało normalnie. Zwykły widok z okna sypialni o wpół do dziesiątej wieczorem w chłodną październikową noc.

– I my rozmawiamy tak dziwnie – zastanawiała się Marsha, drżąc cała. – Powiedziałeś coś o duszy kotów. Nie mówiłeś tak nigdy przedtem.

– Przed czym?

– Zanim tu wróciliśmy – odwracając się od okna sięgnęła po kraciastą koszulę wiszącą na oparciu krzesła. – To oczywiście głupie, ale czy widziałeś, żeby samochód doktora odjeżdżał? Czy powiedziałeś mu „do widzenia”? Czy cokolwiek się stało?

– No, ale pojechał – stwierdził niezobowiązująco Hamilton. Marsha zapięła guziki koszuli i wsunęła ją w spodnie. Oczywiście miała duże i poważne.

– Jak to się mówi – mającę. Szok, tabletki... ale ta cisza. Jakbyśmy byli jedynymi żywymi ludźmi, mieszkającymi w szarym pojemniku bez świateł, kolorów, w czymś odległym, pierwotnym. Przypominasz sobie stare religie? Zanim wszechświat wyłonił się z chaosu. Zanim Ziemia oddzieliła się od wody. Zanim ciemności oddzieliły się od światła, a rzeczy nie miały swoich imion...

– Ninny ma imię – zauważył łagodnie Hamilton. – Tak jak ty, jak panna Reiss i jak Paul Klee.

Wrócili razem do kuchni. Marsha zajęła się przygotowaniem kawy, wkrótce Silex bulgotał wściekle. Siedząc sztywno na kuchennym krześle, panna Reiss spoglądała z napięciem przed siebie. Jej surowa, bezbarwna twarz była skupiona, jakby skoncentrowała się nad czymś głęboko. Była przeciętną młodą kobietą. Sprawiała wrażenie osoby zdecydowanej. Mysie włosy spięte w sztywny kok, cienki, ostry nos i zaciśnięte, wąskie usta świadczące o bezkompromisowości. Wyglądała na osobę, której lepiej nie lekceważyć.

– O czym państwo rozmawiali? – spytała, mieszając kawę. Hamilton zdenerwował się.

– Dyskutowaliśmy o naszej sytuacji. A co?

– Kochanie, daj spokój – poskromiła go Marsha. Hamilton ciągnął jednak dalej, bez osłonek:

– Czy pani zawsze zachowuje się w ten sposób? Wtyka nos w cudze sprawy i szpera po kątach?

Na skupionej twarzy kobiety nie było widać śladu emocji.

– Muszę być ostrożna – wyjaśniła. – Dzisiejszy wypadek uczynił mnie szczególnie podejrzliwą, jeżeli chodzi o niebezpieczeństwo, na które się narażam.

Potem poprawiając się, dodała:

– Mam na myśli tak zwane wypadki.

– Dlaczego właśnie pani? – chciał wiedzieć Hamilton. Panna Reiss nie odpowiedziała, obserwowała kota. Wielki, spasiony, skończył właśnie posiłek i szukał miejsca do ułożenia się.

– O co mu chodzi? – spytała ciekawym, przestraszonym głosem. – Dlaczego patrzy na mnie?

– Niech pani siedzi – powiedziała uspokajająco Marsha. – Chce wskoczyć na kolana i zasnąć.

Zrywając się panna Reiss zaczęła strofować kota:

– Nie podchodź do mnie! Trzymaj się z daleka, brudasie.

Potem wyznała:

– Jeśli nie mają pcheł, nie są tak agresywne. A ten wygląda na takiego, który zabija nawet młode ptaki.

– Codziennie sześć albo siedem – potwierdził Hamilton, tracąc cierpliwość.

– Tak – zgodziła się panna Reiss, ostrożnie oddalając się od wyraźnie zdezorientowanego kota. – Wygląda na mordercę. Władze miasta powinny wydać jakieś rozporządzenie. Niebezpieczne zwierzęta domowe, stanowiące zagrożenie, można by trzymać tylko za zezwoleniem. A miasto powinno...

– On zabija nie tylko ptaki – przerwał jej Hamilton. Owładnął nim zimny, bezlitosny sadyzm.

– Węże i susły także. Dziś rano pojawił się z martwym królikiem.

– Kochanie – protestowała Marsha, widząc jak panna Reiss cofa się wyraźnie przestraszona.

– Niektórzy ludzie nie lubią kotów. Nie można wymagać, aby wszyscy podzielali twoje upodobania.

– Małe, puszyste myszki – ciągnął brutalnie. – Około tuzina. Część zjada, część przynosi nam. A pewnego ranka zjawił się z głową starej kobiety.

Panna Reiss krzyknęła przerażona. W panice rzuciła się do tyłu, wzruszająca i bezbronna. Hamiltonowi zrobiło się przykro. Zawstydzony otworzył usta, aby ją przeprosić, odwołać żarty nie na miejscu...

W powietrzu, nad jego głową, pojawiła się chmara owadów. Zalany bzyzącym deszczem rzucił się do ucieczki. Dwie kobiety i kot stali jak sparaliżowani nie wierząc własnym oczom. Przez jakiś czas Hamilton walczył z rojem gryzących, kłujących owadów. W końcu udało mu się

je odpędzić znad głowy. Dyszał z wysiłku.

– Łaskawy Boże – wyszeptała Marsha w pobożnym zdumieniu, cofając się przed brzęczącym rojem.

– Co... co się stało? – dopytywała się panna Reiss. Utkwiła oczy w drgającej gromadzie insektów.

– To niemożliwe.

– Właśnie – powiedział drżącym głosem Hamilton. – Stało się.

– Ale jak? – spytała Marsha, gdy wycofali się z kuchni przed zalewającą ich powodzią skrzydeł i chitynowych pancerzy. – Coś takiego nie może się zdarzyć!

– Ale to się zgadza – powtórzył słabo Hamilton. – Pszczoła, pamiętasz? Mieliśmy rację, coś się zgadza. I wszystko pasuje, ma sens.

4

Marsha Hamilton leżała uśpiona w łóżku. Ciepłe, żółte promienie porannego słońca oblewały jej nagie ramiona, koc i wykładzinę na podłodze. W łazience Jack Hamilton golił się wytrwale pomimo pulsującego w chorym ramieniu bólu. Zamglone, pokryte skroploną wodą lustro odbijało jego namydlone oblicze, karykaturę zwykłej twarzy.

W tej chwili dom był cichy i spokojny. Większość owadów rozproszyła się i tylko pojedyncze bzyknięcia przypominały o ich istnieniu. Wszystko wydawało się być nie zmienione. Za oknem zaklekotała ciężarówka rozwożąca mleko. Marsha westchnęła bezwiednie, potem poruszyła się kładąc jedną rękę na kocu. Na zewnątrz, w przedsionku z tyłu domu, kicius Matolek gotował się do wejścia do środka.

Bardzo ostrożnie, z wielką starannością Hamilton skończył golenie, umył brzytwę, posypał talkiem szyję i policzki, równocześnie szukając po omacku czystej, białej koszuli. Nie mogąc zasnąć tej nocy, uznał, że należy zacząć działać. Natychmiast po goleniu, kiedy jest już umyty, uczesany, ubrany i całkowicie przebudzony.

Uklęknął niezgrabnie, złożył ręce, zamknął oczy i biorąc głęboki oddech zaczął:

– Panie – szepnął z powagą – przykro mi z powodu mojego zachowania wobec panny Reiss. Chciałbym, abyś mi przebaczył, jeśli taka będzie Twoja wola.

Pozostał na klęczkach jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy to wystarcza, a także czy zostało to właściwie sformułowane. Ale stopniowo pokorną skrucę zastępowała wyraźna niechęć. Wyglądało to nienaturalnie: dorosły mężczyzna na kolanach. Nieodpowiednia, niegodna dorosłego człowieka postawa. Nie był do niej przyzwyczajony. Zniecierpliwiony dodał jeszcze kilka zdań do swej modlitwy.

– Powiedzmy prawdę: zasłużyła na to.

Jego ostry szepc rozbrzmiał nagle w cichym domu. Marsha ziewnęła znowu i zwinęła się w kłębek. Niedługo wstanie. Kocur nerwowo drapał w matowe drzwi i zastanawiał się, dlaczego są wciąż zamknięte.

– Rozważ, co powiedziała – kontynuował Hamilton, starannie dobierając słowa. – Takie poglądy doprowadzą do obozów eksterminacyjnych. Jest surową, zdecydowaną osobowością. Nienawiść do kotów to tylko jeden krok do antysemityzmu.

Nie było odpowiedzi. Czy spodziewał się jej? Czego właściwie się spodziewał? Nie był pewien. Czegokolwiek. Jakiegoś znaku.

Może nie dotarł do niego. Ostatni raz miał do czynienia z religią czy czymś takim w ósmym roku życia, w szkole niedzielnej. Żmudna lektura ostatniej nocy nie wniosła nic szczególnego, jedynie niejasną świadomość, że zagadnienie jest skomplikowane. Właściwe formy, protokół...

to było gorsze niż zaaranżowana rozmowa z pułkownikiem T.E. Edwardsem.

Ale coś w tym rodzaju.

Kłęczął jeszcze w błagalnej pozycji, kiedy dobiegł go z tyłu jakiś dźwięk. Szybko odwrócił głowę i zauważył szczupłą postać przemykającą się ostrożnie przez pokój gościnny. Był to mężczyzna ubrany w sweter i spodnie, młody Murzyn.

– Czy jesteś znakiem? – zapytał złośliwie Hamilton. Na twarzy Murzyna rysowało się zmęczenie.

– Przypomina pan mnie sobie? Jestem przewodnikiem, byliśmy razem na platformie. Myślę o tym od piętnastu godzin.

– To nie pana wina – odparł Hamilton. – Spadł pan ze wszystkimi.

Uniósł się sztywno i przeszedł z łazienki do hallu.

– Jadł pan śniadanie?

– Nie jestem głodny. – Murzyn przyglądał mu się z uwagą. – Co pan robił? Modlił się?

– Tak – przyznał Hamilton.

– Czy to pana zwyczaj?

– Nie – zawahał się. – Nie modliłem się od chwili, gdy skończyłem osiem lat.

Murzyn przyjął to do wiadomości.

– Nazywam się Bill Laws.

Podali sobie ręce.

– Jak widać, zauważył pan. Kiedy?

– Tuż przed świtem.

– Czy wydarzyło się coś szczególnego?

Hamilton opowiedział mu o roju szarańczy i pszczole.

– Nietrudno było wykryć zbieg okoliczności. Skłamałem, więc zostałem ukarany. Wcześniej bluźniłem i także spotkała mnie kara. Przyczyna i skutek.

– Traci pan czas modląc się – stwierdził lakonicznie Laws. – Próbowałem. Bez rezultatu.

– O co się pan modlił?

Laws wskazał na swą czarną szyję.

– Każdy zgadnie. Nie jest to takie proste... nie było i nie będzie.

– Brzmi to bardzo gorzko – zauważył ostrożnie Hamilton.

– Przepraszam za najście, ale drzwi wejściowe były otwarte, więc sądziłem, że już wstaliście. Jest pan elektronikiem, naukowcem?

– Zgadza się.

Szczerząc zęby, Laws powiedział:

– Witaj, bracie. Jestem absolwentem fizyki. Dlatego otrzymałem tę pracę. Odpowiednia osoba na odpowiednim miejscu... tak twierdzą.

– Jak ją znalazłeś?

– Pracę? – Laws wzruszył ramionami. – Nic trudnego.

Wyjął z kieszeni wałeczek z czegoś, co przypominało tkaninę. W środku znajdował się kawałek metalu.

– Dostałem to przed laty od siostry. Teraz noszę z przyzwyczajenia.

Rzucił talizman Hamiltonowi. Wryte na nim pobożne słowa wiary i nadziei zmatowiały przez lata noszenia.

– No... dalej – mruknął Laws. – Spróbuj.

– Spróbować? – Hamilton nie rozumiał. – Szczerze mówiąc, to jest niezgodne z moimi poglądami.

– Twoje ramię – niecierpliwił się Laws. – To działa. Przyłóż tylko do rany. Lepiej będzie, jak zdejmiesz najpierw bandaż, skuteczniej działa przy bezpośrednim kontakcie. Bliskość, jak powiadają. W ten sposób leczę wszystkie bóle i złamania.

Sceptycznie nastawiony Hamilton odwinął część bandaża. Duża, wilgotna plama jaśniała w porannym słońcu. Po chwili wahania położył na niej blaszkę metalu.

– Zaraz minie – powiedział Laws.

Brzydka, otwarta rana malała w oczach. Hamilton widział, jak czerwień przeszła w blady róż. Plama rozpełzła się, rana zaschła i zasklepiła się. Pulsujący ból ustał. Pozostała tylko biała, wąska blizna.

– W porządku – stwierdził Laws sięgając po talizman.

– Czy wcześniej działał?

– Nigdy. Jest gorąco. – Laws schował metal do kieszeni. – Zamierzam zostawić na noc parę włosów w wodzie. Rano naturalnie będą tam robaki. Chcesz dowiedzieć się, jak leczyć cukrzycę? Pół zmielonej ropuchy zmieszanej z mlekiem dziewicy nałożone na szyję, uprzednio zawiniętą w starą flanelę zmoczoną wodą ze stawu.

– Sądzisz, że wszystkie te bzdury...

– Będzie działać. Tak mówili wieśniacy. Dotychczas mylili się. Ale teraz my jesteśmy w błędzie.

W drzwiach sypialni pojawiła się Marsha ubrana w nocną koszulę. Włosy miała potargane, oczy w półprzymknięte.

– O! – wykrzyknęła zaskoczona, zobaczywszy Lawsa. – Pan tutaj? Jak się pan miewa?

– W porządku, dziękuję – odparł Laws. Pocierając oczy, odwróciła się żwawo w stronę męża.

– Jak spałeś?

– Spałem.

W głosie jej brzmiała wyraźna natarczywość, więc dodał:

– Dlaczego pytasz?

– Śniło ci się coś?

Hamilton zastanowił się. W nocy przewracał się z boku na bok i śnił jakąś niewyraźną fantasmagorię. Ale nic, co można by opisać.

– Nie – powiedział.

Laws patrzył na Marszę z dziwnym wyrazem twarzy.

– A pani, pani Hamilton, co się śniło?

– Dziwna sprawa. Tak naprawdę to nie był nawet sen. Nic się nie działo. To po prostu było!

– Jakieś miejsce?

– Tak, miejsce. I my.

– Wszyscy? – spytał z przejęciem Laws. – Wszyscy ośmioro?

– Tak – przyznała gwałtownie. – Leżeliśmy tam, gdzie upadliśmy. Na dole, w bewatronie. Wszyscy rozciągnięci, nieprzytomni. I nic się nie działo. Żadnego upływu czasu. Żadnych zmian.

– Coś poruszało się w kącie? – spytał Laws. – Może pracownicy służby medycznej?

Marsha potwierdziła.

– Ale nie poruszali się. Wisieli na czymś w rodzaju drabiny. Jakby byli zamrożeni.

– Poruszają się – stwierdził Laws. – Śniło mi się to samo. Najpierw także sądziłem, że są nieruchomi, ale nie. Poruszają się bardzo wolno.

Zapadła grobowa cisza. Myśląc nad tym raz jeszcze, Hamilton zaczął cedzić słowa.

– To co mówicie... – wzruszył ramionami. – Pamięć pourazowa. Moment szoku. Dotarło do naszych mózgów i nie będziemy w stanie tego usunąć.

– Ale – powiedziała Marsha z napięciem – to ciągle trwa. Wciąż tam jesteśmy.

– Tam? Leżymy w bewatronie? Skinęła głową, zaniepokojona.

Wyczuwając trwogę w jej głosie, Hamilton zmienił temat.

– Niespodzianka – mruknął, pokazując świeżo zagojoną ranę. – Stał się cud. Bill Laws mnie wyleczył.

– Nie ja – stanowczo sprzeciwił się Laws, a jego oczy pociemniały. – Gdybym umiał czynić cuda, byłbym nieśmiertelny.

Zakłopotany Hamilton pocierał ramię.

– Twój talizman to sprawił.

Murzyn raz jeszcze obejrzał dobroczynny kawałek metalu.

– Może zanurzyliśmy się w prawdziwą rzeczywistość. Może wszechświat cały czas był pod powierzchnią.

Marsha zbliżyła się powoli do mężczyzn.

– Jesteśmy martwi, prawda? – odezwała się ochryplym głosem.

– Nie – odparł Hamilton. – Wciąż leżymy w Belmont, w Kalifornii. Ale nie w tym samym Belmont. Tu i tam zaszły jakieś zmiany. Ktoś unosi się wokół nas.

– I co teraz? – dopytywał się Laws.

– Nie pytaj mnie – powiedział Hamilton. – Nie z mojej winy tu jesteście. To jasne, że wypadek w bewatronie jest przyczyną obecnej sytuacji, jakakolwiek ona jest.

– Powiem wam, co teraz będzie – odezwała się spokojnie Marsha.

– Co?

– Wyjeżdżam znaleźć jakąś pracę.

Hamilton uniósł brwi.

– Jakiego rodzaju?

– Obojętne. Pisanie na maszynie, praca w sklepie, w centrali telefonicznej. Abyśmy mieli z czego żyć... pamiętasz?

– Pamiętam – przytaknął Hamilton. – Ale ty zostaniesz w domu ścierać kurze. Ja zajmę się szukaniem pracy.

Wskazał swój gładko ogolony podbródek i świeżą koszulę.

– Zrobiłem już dwa kroki w tym kierunku.

– Ale – Marsha nie dawała się przekonać – to z mojej winy straciłeś pracę.

– Być może nie będziemy musieli już więcej pracować – z ironiczną powagą rzucił Laws. – Być może wszystko co trzeba zrobić, to otworzyć usta i czekać na mannę z nieba.

– Myślałem, że próbowałeś już tego – zauważył Hamilton.

– Tak, bez rezultatów. Niemniej niektórzy osiągnęli wspaniałe wyniki. Będziemy musieli rozpracować to dokładnie. Ten świat, jakkolwiek jest, ma swoje własne prawa. Inne niż te, do których byliśmy przyzwyczajeni. Mieliśmy już kilka przykładów. Zakłęcia sprawdzają się, a więc cały majestat błogosławieństw również może funkcjonować.

– Zbawienie – mruknęła Marsha. Jej brązowe oczy rozszerzyły się.

– Mój Boże, czy sądzicie, że to naprawdę Niebo?

– Na pewno – stwierdził Hamilton.

Wrócił do sypialni, aby chwilę później pojawić się znowu. Zawiązywał krawat.

– Na wszystko przyjdzie pora. Teraz jadę na północ. Mamy w banku dokładnie pięćdziesiąt dolarów, a nie zamierzam zagłodzić się na śmierć, czekając na spełnienie modlitw.

Z parkingu położonego przy zakładach zbrojeniowych zabrał swojego fordą coupe. Stał tam zaparkowany na miejscu z podpisem: „Rezerwacja Johna W. Hamiltona”.

Opuściwszy Belmont, skierował się ku El Camino Real. Pół godziny później dotarł do San Francisco. Zegar nad wejściem do Oddziału Banku Amerykańskiego w San Francisco wskazywał wpół do dwunastej. Zaparkował na cichym, pokrytym żwirem placu obok cadillaców i chryslerów, należących do personelu EDA.

Budynki Electronic Development Agency znajdowały się po jego prawej stronie. Białe bloki z cementu usadowiły się naprzeciw wciąż rosnącego na wzgórzach przemysłowego miasta. Kiedyś, przed laty, kiedy opublikował swój pierwszy artykuł z elektroniki, EDA chciała go zatrudnić – pracował w California Maintenance. Guy Tillingford, jeden z najznakomitszych ekonomistów w kraju, kierował tą korporacją. Był błyskotliwym i oryginalnym człowiekiem, na dodatek bliskim przyjacielem ojca Hamiltona.

Tu znajdzie pracę, jeśli znajdzie ją w ogóle. I co najważniejsze: EDA nie jest aktualnie zaangażowana w badania zbrojeniowe. Grupa doktora Tillingforda (część pracowników ukończyła studia w Institute of Advanced Studies, Princeton, zanim został oficjalnie rozwiązany) zajmowała się badaniami podstawowymi. Z EDA wychodziły najnowsze komputery, wielkie mózgi elektronowe wykorzystywane w zakładach przemysłowych i uniwersytetach całego zachodniego świata.

– Tak, panie Hamilton. – Bystra, mała sekretarka przerzucała jego papiery. – Powiem doktorowi, że pan jest tutaj... Z pewnością się ucieszy.

Hamilton pełen obaw siedział w poczekalni. Złożył ręce i pogрузzył się w cichej modlitwie.

Natchnienie przyszło łatwo. W tej szczególnej chwili nie potrzebował nawet się zmuszać. Pięćdziesiąt dolarów w banku nie pozwoliłoby rodzinie Hamiltonów przetrwać zbyt długo, nawet w świecie cudów i spadającej szarańczy.

– Jack, mój chłopcze – zabrzmiał głęboki głos.

Doktor Guy Tillingford pojawił się w drzwiach biura i rozpromieniony wyciągnął ręce.

– Ach! Miło cię widzieć. Ile to już lat? Dziesięć?

– Prawie dziesięć – przyznał Hamilton, kiedy serdecznie uścisnęli sobie dłonie. – Wygląda pan doskonale, doktorze.

Przy stole stali inżynierowie i technicy. Inteligentni, młodzi mężczyźni, ogoleni do gołej skóry, w krawatach, z ozywieniem malującym się na twarzach. Ignorując ich, doktor Tillingford poprowadził Hamiltona przez szereg obitych boazerią drzwi i wprowadził do prywatnego gabinetu.

– Tutaj możemy porozmawiać – stwierdził, opadając na lekkie krzeselko wyłożone czarną skórą. – Mam to zapewnione. Coś w rodzaju osobistej twierdzy, gdzie mogę spędzać czas na rozmyślaniach, czy też odetchnąć chwilę.

– Nie sędzę, bym mógł, tak jak kiedyś, wytrzymać bez przerwy w tym nieustannym zamieszaniu. Wpadam tu kilka razy w ciągu dnia, by odzyskać siły – dodał ze smutkiem.

– Porzuciłem California Maintenance – wyznał Hamilton.

– O? – Tillingford pokiwał głową. – To dobrze. To jest złe miejsce. Zbyt wiele hałasu wokół broni. Oni nie są naukowcami, to pracownicy rządowi.

– Nie porzuciłem pracy. Zostałem usunięty.

W kilku słowach wyjaśnił sytuację.

Tillingford przez chwilę milczał. Podłubał w zębach i ściągnął brwi.

– Pamiętam Marszę, miła dziewczyna. Zawsze ją lubiłem. Tak dużo hałasu robi się dziś wokół sprawy bezpieczeństwa. Tutaj nie przykładamy do tego wagi, zresztą teraz nie współpracujemy z rządem. Wieża z kości słoniowej... – zaśmiał się sucho. – Ostatnia placówka czystej nauki.

– Przypuszcza pan, że moglibyście mnie zatrudnić? – spytał Hamilton, jak tylko mógł najobojętniej.

– Dlaczego by nie?

Leniwie wyjął mały młynek modlitewny i zaczął nim kręcić.

– Znam twoje prace... Szczerze mówiąc szkoda, że nie mogliśmy zatrudnić cię wcześniej.

Hamilton z niedowierzaniem i fascynacją wpatrywał się w młynek Tillingforda.

– Naturalnie mamy standardowe pytania – kontynuował doktor poruszając bez przerwy palcami. – Przepisy... ale obejdzie się bez wypełniania formularzy. Przepytam cię ustnie. Nie pijesz, prawda?

Hamilton zająknął się.

– Czy piję?

– Sprawa Marshy pozostaje pewnym problemem. Oczywiście nie w aspekcie bezpieczeństwa. Jack, odpowiedz mi szczerze.

Sięgnąwszy do kieszeni, Tillingford wyjął oprawiony na czarno tomik ze złotymi literami: „Biblia Baba Drugiego”. Potem wręczył go Hamiltonowi.

– W college’u, kiedy należeliście do tych skrajnych ugrupowań, nie praktykowaliście, nazwijmy to, „wolnej miłości”?

Hamilton nie odpowiedział. Oniemiały, stał, trzymając w dłoni jeszcze ciepłą „Biblię Baba Drugiego”. Dwaj mężczyźni, którzy weszli cicho do pokoju, z uszanowaniem przyglądali się scenie. Ubrani w długie laboratoryjne fartuchy, wydawali się nadzwyczaj pokorni i uniżeni. Ich gładko wygolone czaszki przypominały Hamiltonowi głowy mnichów... Dziwne, że nigdy dotychczas nie zauważył, iż popularne ostatnio wygłanianie głowy tak bardzo przypomina starożytne praktyki ascetyczne o religijnym podłożu. Ci dwaj z pewnością byli błyskotliwymi, młodymi fizykami, gdzież więc się podziała ich zwykła pewność siebie?

– Kiedy przy tym jesteśmy – wtrącił Tillingford – mogę również zapytać o co innego. Jack, mój chłopcze, połóż rękę na Biblii i powiedz prawdę. Czy znalazłeś Jedyną Prawdziwą Bramę do błogosławionego zbawienia?

Wszystkie oczy skupiły się na nim. Hamilton przełknął głośno ślinę i zaczerwienił się gwałtownie w rozpaczliwej rozterce.

– Doktorze – wykrztusił bezradnie po chwili. – Przyjdę innym razem.

Zaniepokojony Tillingford zdjął okulary i z uwagą przyjrzał się młodemu człowiekowi.

– Jack, niedobrze się czujesz?

– Miałem dużo kłopotów. Utrata pracy... inne problemy – dodał szybko. – Marsha i ja ulegliśmy wczoraj wypadkowi. Nowy deflektor źle funkcjonował, napromieniowało nas w bewatronie.

– Och, tak. Słyszałem o tym – stwierdził Tillingford. – Na szczęście nikt nie zginął.

– Tych ośmioro ludzi musiało iść za Prorokiem – odezwał się jeden z ascetycznych inżynierów. – Tam było bardzo wysoko.

– Doktorze – zachrypiał Hamilton. – Czy mógłby pan polecić mi dobrego psychiatrę?

Na twarzy starszego naukowca powoli pojawiała się niedowierzanie.

– A cóż to? Czyżbyś postradał zmysły?

– Najwyraźniej – odparł Hamilton.

– Porozmawiamy o tym później – przerwał zduszonym głosem. Zirytowany, odprawił mężczyznę z pokoju.

– Idźcie do meczetu – powiedział. – Medytujcie, aż przyślę po was.

Odeszli, najwyraźniej po to, aby omówić przypadek Hamiltona.

– Możesz mi wszystko powiedzieć – odezwał się poważnym głosem Tillingford. – Jestem twoim przyjacielem. Znałem twojego ojca, Jack. Był wielkim fizykiem. Takich już nie ma. O tobie zawsze miałem jak najlepsze zdanie. Rzecz jasna byłem rozczarowany, kiedy poszedłeś pracować do California Maintenance. Ale cóż, musimy pokłonić się Woli Kosmosu.

– Czy mogę zadać panu parę pytań? – Zimny pot spływał po szyi Hamiltona na sztywno wykrochmalony kołnierzyk. – To miejsce jest nadal instytucją naukową? Tak czy nie?

– Nadal? – zakłopotany Tillingford wyjął Biblię z bezwładnych dłoni Hamiltona. – Nie rozumiem, do czego zmierzasz? Bądź bardziej konkretny.

– Powiedzmy to w ten sposób: byłem odcięty, zajęty pracą straciłem kontakt z tym, co robi reszta.

Po chwili dodał desperacko:

– Nie mam pojęcia, czym zajmują się inni naukowcy. Czy mógłby mnie pan zaznajomić krótko z aktualnym stanem rzeczy?

– Z aktualnym stanem rzeczy... – powtórzył Tillingford kiwając głową. – Jasna sprawa, wszystko przez wąską specjalizację. Ja sam nie mogę powiedzieć zbyt wiele. Nasza praca w EDA jest dość ściśle określona, można by nawet powiedzieć, że każdemu dana z góry. W Cal Main pracowaliście nad rozwojem broni, której można użyć przeciw niewiernym, to proste i normalne. Nauki ściśle stosowane, prawda?

– Prawda – zgodził się Hamilton.

– Tutaj pracujemy nad odwiecznym i fundamentalnym problemem łączności. Nasza praca,

cała praca polega na stworzeniu elektronicznej bazy w systemie łączności. Zatrudniamy elektroników takich jak ty. Zatrudniamy wysoko kwalifikowanych językoznawców. Zatrudniamy znakomitych psychologów praktyków. Wszyscy tworzymy zespół, który rozwiązuje podstawowy problem ludzkiej egzystencji: podtrzymywanie niezawodnego połączenia między Ziemią a Niebem.

Doktor Tillingford mówił dalej.

– Chociaż wszystko to jest ci naturalnie znane, jednak powtórzę. Dawno temu, zanim podporządkowano łączność dokładnej analizie naukowej, istniało wiele systemów. Przykładowo, przez palenie ofiar starano się przyciągnąć uwagę Boga, drażniąc Jego nos i podniebienie. Były to bardzo prymitywne, nienaukowe metody. Głośne modlitwy i pieśni są praktykowane do dzisiaj przez niewykształconych ludzi. Ale cóż, pozwólmy im śpiewać hymny i wznosić modły.

Nacisnął guzik. Jedna ze ścian zrobiła się przezroczysta. Hamilton spojrzął w dół na nienagannie urządzone laboratoria badawcze otaczające pierścieniem biuro Tillingforda. Ludzie i sprzęt, najbardziej nowoczesne maszyny i technicy do ich dyspozycji.

– Norbert Wiener – odezwał się Tillingford. – Przypominasz sobie jego pracę z cybernetyki? I nawet ważniejszą, Enrico Destiniego w dziedzinie teofoniki?

– Co to takiego? Tillingford uniósł brwi.

– Ty jesteś specjalistą, chłopcze. Łączność między człowiekiem i Bogiem. Wykorzystując pracę Wienera i nieocenione materiały Shannona i Weavera, Destini w 1946 roku mógł zainstalować pierwszy naprawdę udany system łączności między Ziemią i Niebem. Oczywiście zrobił użytek ze sprzętu pozostałego z Wojny Przeciw Pogańskim Hordom, tym przeklętym wyznawcom Wotana, Hunom spod znaku żelaznego Krzyża.

– Ma pan na myśli nazistów?

– Znam to określenie. Żargon socjologiczny, prawda? I ten zdrajca Proroka, ten Anty-Bab. Mówi się, że żyje nadal w Argentynie. Znalazł eliksir wiecznej młodości, czy coś w tym rodzaju. Zawarł pakt z diabłem w 1939 roku, pamiętasz? A może byłeś za mały, aby to pamiętać? Ale wiesz o tym z lekcji historii.

– Tak, wiem – odparł ochrypłym głosem Hamilton.

– A jednak wciąż są ludzie, którzy nie chcą widzieć, co się święci. Czasami myślę, że wierni zasługują na upokorzenie. Kilka bomb wodorowych zrzuconych tu i tam, a wtedy silny prąd ateizmu, którego nie możemy opanować...

– A inne nauki? – przerwał Hamilton. – Co się w nich dzieje? Fizyka, co z fizykami?

– Fizyka to zamknięty temat – stwierdził Tillingford. – Prawdę mówiąc, wszystko o materialnym wszechświecie jest wiadome – było wiadome – od wieków. Fizyka to abstrakcyjna strona techniki.

– A inżynierowie?

W odpowiedzi Tillingford rzucił mu wrześnie numer „Journal of Applied Sciences” z 1959 roku.

– Sądę, że wiodący artykuł dobrze naświetli ci sprawę. Ten Hirschbein ma głowę nie od parady.

Artykuł był zatytułowany: „*Teoretyczne aspekty konstrukcji zbiornic*”. Nizej widniał podtytuł: „*O konieczności podtrzymywania stałego dopływu niebiańskiej łaski we wszystkich większych aglomeracjach*”.

– Łaski? – odezwał się nieśmiało Hamilton.

– Inżynierowie – tłumaczył Tillingford – są zajęci głównie pracą nad instalacjami dostarczającymi łaskę wszystkim społecznościom babickim na całym świecie. Tak więc w gruncie rzeczy jest to problem analogiczny do naszego – utrzymanie łączności.

– To wszystko co robią?

– No... – odparł Tillingford. – Cały czas trwa budowa meczetów, świątyń, ołtarzy. Zdajesz sobie sprawę, że Pan jest wymagającym nadzorcą. Jego specyfikacje są dokładne. Mówiąc między nami, nie zazdroszczę tym facetom. Jeden błąd i... – pstryknął palcami – puff...

– Puff?

– Piorun.

– Och! Tak... naturalnie.

– Dlatego też bardzo mało zdolnych chłopców poświęca się inżynierii. Zbyt wysoka śmiertelność.

Tillingford przyglądał mu się z ojcowską czułością.

– Jak widzisz, mój chłopcze, masz dobrą specjalizację.

– Nigdy w to nie wątpiłem – odparł szorstko Hamilton. – Byłem tylko ciekaw, jaka ona jest.

– Zadowala mnie twój status moralny – powiedział Tillingford. – Wiem, że pochodzisz z dobrej, i bogobojnej rodziny. Twój ojciec był uczciwy i pokorny. Odzywa się czasem.

– Odzywa się? – spytał zamierającym głosem Hamilton.

– Wiedzie mu się całkiem dobrze. Naturalnie tęskni za tobą. – Tillingford wskazał interkom na biurku. – Może chcesz...?

– Nie. – Hamilton cofnął się. – Jestem ciągle w szoku powypadkowym, nie zniósłbym tego.

– Rób jak uważasz. – Tillingford przyjaźnie poklepał młodszego kolegę po ramieniu. – Chcesz zobaczyć laboratoria? Musisz wiedzieć, że mamy diabelnie dobry sprzęt. – Konfidencyjnym szeptem wyjaśnił: – Kosztował wiele modlitw. Nawet w twoich starych włościach, Cal Main, posłano w górę mnóstwo szumu.

– Ale udało wam się!

– Tak. Mimo wszystko założyliśmy linie łączności.

Uśmiechając się i szelmowsko mrużąc oczy, poprowadził Hamiltona w stronę drzwi.

– Skieruję cię do dyrektora personalnego... zajmie się tobą.

Dyrektor personalny, rumiany, gładkolicy mężczyzna, radośnie powitał Hamiltona, szukając równocześnie w biurku papierów i formularzy.

– Będziemy szczęśliwi mogąc spełnić pańską prośbę, panie Hamilton. EDA potrzebuje ludzi z doświadczeniem. A jeśli doktor zna pana osobiście...

– Przejdźcie do rzeczy – polecił Tillingford. – Dajmy spokój z biurokracją, zajmijcie się testem kwalifikacyjnym.

– W porządku. – Personalny wyjął własny egzemplarz „Biblii Baba Drugiego”.

Położył go na biurku, zamknął oczy, po czym otworzył książkę na chybił trafił. Tillingford z zainteresowaniem pochylał się nad tekstem. Obaj mężczyźni szeptem dyskutowali nad ustępem Biblii.

– Świetnie – Tillingford wyprostował się z zadowoleniem. – Nadaje się.

– Z pewnością – zgodził się personalny. Zwrócił się do Hamiltona.

– Mogłoby to pana zainteresować: jedno z najwyraźniejszych „tak”, jakie widziałem w tym roku.

Szybko, pewnym głosem przeczytał:

– Wizja 1931, rozdział 6, ustęp 13, werset 1. „Zaprawdę, Prawdziwa Wiara stopi odwagę, bowiem zna on miarę gniewu Bożego, wie, kiedy napełnił niewiernego gliniane naczynie”.

Zatrzasnął Biblię i odłożył ją na biurko. Obaj mężczyźni zwrócili się do Hamiltona z rozjaśnionymi twarzami, promieniując dobrą wolą i profesjonalnym zadowoleniem.

Zdumiony, niezbyt pewny o co chodzi, Hamilton powrócił do problemu, który go tutaj sprowadził.

– Czy mogę zapytać o wynagrodzenie? Czy jest to zbyt... – usiłował zażartować – zbyt kupieckie, nachalne?

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Wynagrodzenie?

– Tak, wynagrodzenie – powtórzył Hamilton coraz bardziej zdenerwowany. – Pamiętajcie, to jest coś, co księgowość raz na dwa tygodnie, aby powstrzymać niepokoje wśród pracowników...

– Zgodnie z obowiązującą zasadą – stwierdził Tillingford z godnością w głosie – będziesz kredytowany co dziesięć dni przez ludzi z IBM.

Zwracając się do dyrektora personalnego, spytał:

– Jaki numer? Nigdy nie pamiętam.

– Sprawdzę u księgowego – personalny wyszedł z biura. Wrócił chwilę później z informacją:

– Zacznie pan od stawki Cztery-A, po sześciu miesiącach przejdzie na Pięć-A. Nieźle, jak na trzydziestodwuletniego mężczyznę.

– Co oznacza Cztery-A? – zaciekawił się Hamilton. Zaskoczony personalny spojrzął na

Tillingforda, oblizwał wargi i odparł:

– IBM posiada listę długów i kredytów. Kosmiczny Rejestr – gestykulował. – Wielki, niezmienny spis grzechów i cnót. EDA pracuje dla Pana, jesteś więc sługą Pana. Płaca wyniesie cztery kredyty co dziesięć dni, cztery kroki wprost do zbawienia. IBM zajmie się szczegółami, w końcu po to istnieją.

Starczyło. Nabierając głęboko powietrza Hamilton odezwał się:

– W porządku. Zapomniałem, przepraszam za zamieszanie. Ale... – zwrócił się do Tillingforda. – Z czego będziemy żyć? Musimy zapłacić rachunki, musimy jeść...

– Jako poddani Pana – surowo odparł Tillingford – będziecie mieli zaspokojone swoje potrzeby. Masz Biblię?

– T... tak – wyjąkał Hamilton.

– Spraw, aby nie zabrakło ci wiary. Chcę przez to powiedzieć, iż człowiek z twoją moralnością, zatrudniony tutaj, powinien wymodlić przynajmniej – obliczał przez chwilę – powiedzmy czterysta na tydzień. Zgodzisz się, Ernie?

Personalny pokiwał głową.

– Co najmniej.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział Hamilton na odchodnym do najwyraźniej zadowolonego z takiego obrotu sprawy Tillingforda: – Kilka minut temu pytałem o psychiatrę...

– Mój chłopcze – przerwał Tillingford. – Mam ci do powiedzenia tylko jedną rzecz. To twoje życie i będziesz je wiódł, jak zechcesz. Nie próbuję radzić, co masz robić i myśleć. Życie duchowe jest sprawą między tobą a Jedynym Prawdziwym Bogiem. Ale jeśli życzysz sobie rad szarlatanów...

– Szarlatanów – powtórzył słabo Hamilton.

– Prawie pomyleńców. To dobre dla gawiedzi. Rozumiem, że prości ludzie tłoczą się u psychiatrów. Czytałem statystyki, są smutnym komentarzem do stanu publicznej dezinformacji. Zrobię coś dla ciebie.

Wyjął z płaszcza zeszytik, ołówek i szybko nabazgrał notatkę.

– To jedyna właściwa droga. Sądzę, że jeśli nie wszedłeś jeszcze na nią, nic straconego. Ale mamy obowiązek próbować. W końcu wieczność to dużo czasu.

Notatka głosiła: Prorok Horacy Clamp. Grób Baba Drugiego, Cheyenne, Wyoming.

– Dokładnie – powiedział Tillingford. – Prosto do góry. Dziwi cię to? Widzisz, jak bardzo obchodzą mnie twoje sprawy.

– Dziękuję – Hamilton bezmyślnie schował notatkę. – Jeśli tak pan uważa.

– Oczywiście – powtórzył Tillingford autorytatywnie. – Babizm Drugi jest jedyną prawdziwą wiarą, jedyną gwarancją osiągnięcia Raju. Bóg przemawia przez Horacego Clampa, tylko przez niego. Zdecyduj się i pojedź tam jutro, możesz zgłosić się do pracy kiedy zechcesz,

to bez znaczenia. Jeśli ktoś potrafi ocalić twoją nieśmiertelną duszę od ognia Wiecznego Potępienia, to tylko Horacy Clamp

5

Kiedy Hamilton, wciąż zamyślony, wyszedł z budynków EDA, podążyła za nim cicho grupka mężczyzn o łagodnych i otwartych spojrzeniach. Trzymali ręce w kieszeniach. Gdy szukał kluczyków od samochodu, mężczyźni szybko zbliżyli się do niego.

– Cześć – odezwał się jeden z nich.

Wszyscy byli młodzi. Wszyscy byli blondynami. Wszyscy mieli krótko ostrzyżone włosy, nosili ascetyczne białe fartuchy laboratoryjne. Inteligentni, młodzi inżynierowie Tillingforda, świetnie wykształceni pracownicy EDA.

– Czego chcecie? – odezwał się Hamilton.

– Odjeżdżasz? – spytał z naciskiem przywódca.

– Tak.

Rozważali jego odpowiedź. Po chwili przywódca grupy zapytał:

– Ale wrócisz...?

– Posłuchajcie – zaczął Hamilton, ale młody mężczyzna mu przerwał:

– Tillingford zatrudnił cię – oznajmił. – Zaczynasz pracę za tydzień. Zdałeś test wstępny, a teraz myśkujesz i wieszysz po laboratoriach.

– Być może zdałem test – przyznał Hamilton – ale to jeszcze nie oznacza, że podejmę pracę. Szczerze mówiąc...

– Nazywam się Brady – przerwał lider grupy – Bob Brady. Mogłeś widzieć mnie w środku. Byłem u Tillingforda, kiedy przyszedłeś – zerknął na Hamiltona. – Personalny może jest zadowolony, ale my nie. On jest pod wpływem ateistów. Mają kilka standardowych, biurokratycznych testów i to wszystko.

– A my nie jesteśmy ateistami – wtrącił jeden z grupy.

– Słuchajcie – odparł Hamilton, jakby odzyskując nadzieję. – Może się dogadamy. Zastanawiam się, dlaczego wy, wysoko kwalifikowani fachowcy, mogliście zaaprobować test opierający się na otwieraniu książki. To nie jest właściwa miara umiejętności i zdolności zatrudnionego. W zaawansowanych badaniach tego typu...

– Jeśli chodzi o nas, jesteśmy przekonani – ciągnął nieubłagane Brady – że jesteś poganinem, o ile nie udowodnisz, że jest inaczej. Żaden poganin nie będzie pracował w EDA. Mamy swą godność zawodową.

– A ty nie masz odpowiednich kwalifikacji – dodał ktoś z grupy. – Sprawdźmy twoją N-kategorię.

– Twoja N-kategoria. – Brady wyciągnął rękę i czekał. – Dano ci ostatnio jakąś pochwałę?

– Nic takiego, co mógłbym sobie przypomnieć – odparł niepewnie Hamilton.

– Tak właśnie myślałem. Brak N-kategorii. – Brady wyjął z fartucha małą podziurkowaną kartkę. – W naszej grupie nie ma nikogo z N-kategorią mniejszą niż 4,6. Tak na oko sędzę, że nie dociągniesz do poziomu 2,0. Co wy na to?

– Jesteś poganinem – stwierdził sucho jeden z młodych inżynierów. – Jakież siły starają się przemycić cię tutaj.

– Może lepiej będzie, jak odejdziesz – powiedział Brady. – Pójdiesz do diabła i nie wrócisz.

– Mam takie same prawa jak każdy z was – odciął się zirytowany Hamilton.

– Poddamy cię próbie – mruknął zamyślony Brady. – W ten sposób ustalimy wszystko.

– W porządku – z zadowoleniem odparł Hamilton. Zdjąwszy płaszcz, cisnął go do samochodu i powiedział:

– Mogę się zmagać z każdym.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Inżynierowie skupili się w koło i dyskutowali. Nad głowami zaczynało zachodzić popołudniowe słońce. Wzdłuż autostrady sunęły samochody. Budynki EDA lśniły czystością w zamierającym świetle.

– Tak zrobimy – zdecydował Brady.

Podrzucając ozdobną zapalniczkę, zbliżył się uroczyście do Hamiltona.

– Wysuń kciuk.

– Mój... kciuk?

– Próba ognia – wyjaśnił tamten trzaskając zapalniczką. Błysnął żółty płomień.

– Pokaż swoją odwagę. Udowodnij, że jesteś mężczyzną.

– Jestem mężczyzną – powiedział wściekłym głosem Hamilton – ale byłbym stuknięty wkładając kciuk w ogień tylko dlatego, abyście mogli dokonać jakiejś rytualnej inicjacji waszego bractwa. Sędzę, że wyrosłem z tego, gdy opuściłem college.

Każdy z inżynierów wysunął kciuk. Brady po kolei podstawił zapalniczkę pod palce. Na żadnym nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

– Teraz ty – oznajmił z namaszczeniem Brady. – Bądź mężczyzną. Pamiętaj, że nie jesteś plugawą bestią.

– Idź do diabła – ostro warknął Hamilton. – I zabierz ode mnie tę zapalniczkę.

– Odmawiasz poddania się próbie ognia? – dopytywał się Brady.

Hamilton z niechęcią wysunął kciuk. Być może w tym świecie zapalniczki nie parzą. Może, nie zdając sobie sprawy, jest uodporniony na ogień. Może...

– O...! – wrzasnął, gwałtownie wyszarpując rękę. Inżynierowie z powagą pokiwali głowami.

– Zgadza się – zauważył z odcieniem triumfu Brady, chowając zapalniczkę. – O to chodziło.

Hamilton pocierał poparzony palec. Ogarnęło go uczucie bezsilności.

– Sadyści – jęknął oskarżony. – Wy, przekupujący Boga gorliwcy. Wszyscy należycie do średniowiecza. Wy... niewierni.

– Uważaj – ostrzegł go Brady. – Mówisz do Mistrza Jedyne­go Prawdziwego Boga.

– Nie zapominaj o tym – wtrącił jeden z grupy.

– Możesz być sobie Mistrzem Jedyne­go Prawdziwego Boga – powiedział Hamilton – a ja jestem elektronikiem wysokiej klasy. Przemyśl to sobie.

– Przemyśle – odparł niewzruszony Brady

– Możesz nawet włożyć palce w płomień spawarki elektrycznej, możesz zanurkować do pieca hutniczego.

– Tak jest – przyznał Brady – mogę.

– Ale jaki ma to związek z elektroniką? – spytał Hamilton patrząc na młodego mężczyznę. – Dobra, cwaniaku. Wyzywam cię na pojedynek. Zobaczmy, co potrafisz!

– Wyzywasz Mistrza Jedyne­go Prawdziwego Boga... – powiedział z niedowierzaniem Brady.

– Zgadza się.

– Ale... – Brady wytrzeszczył oczy – to nielogiczne. Lepiej idź do domu, Hamilton. Nie przebieraj miary.

– Wystraszyłeś się – drwił Hamilton.

– Ależ ty nie możesz wygrać. Przegrywasz automatycznie. Rozważ sytuację. Z definicji Mistrz Jedyne­go Prawdziwego Boga wygrywa, inne rozwiązanie byłoby zaprzeczeniem jego potęgi.

– Nie wykręcaj się – odparł Hamilton. – Możesz pytać pierwszy. Po trzy pytania dla każdego. Z zakresu elektroniki stosowanej i teoretycznej. W porządku?

– W porządku.

Pozostali inżynierowie stłoczyli się wokoło i zafascynowani rozwojem wypadków szeroko otwierali oczy.

– Przykro mi, Hamilton. Widocznie nie pojmujesz, co się dzieje. Oczekiwa­łbym takiego irracjonalnego zachowania po laiku, ale człowiek chociaż trochę zorientowany w nauce...

– Pytaj – warknął Hamilton.

– Prawo Ohma – odrzekł tamten.

Hamilton zamru­gał oczami. To tak, jakby ktoś kazał policzyć mu do dziesięciu, jak mógłby się pomylić?

– To twoje pytanie?

– Prawo Ohma – powtórzył Brady, a jego usta zaczęły się cicho poruszać.

– Co z tobą? – spytał Hamilton podejrzliwie. – Dlaczego poruszasz ustami?

– Modłę się – wyjaśnił Brady – o pomoc boską.

– Prawo Ohma – zaczął Hamilton. – Opór ciała, przez które przepływa prąd elektryczny... – przerwał.

- Coś nie w porządku? – zapytał Brady.
- Rozpraszasz mnie. Nie mógłbyś modlić się ciut później?
- Teraz – odparł z naciskiem Brady. – Później nie miałyby to sensu.

Usiłując zignorować obecność szepczącego mężczyzny, Hamilton kontynuował:

– Opór ciała, przez które płynie prąd elektryczny, może być opisany następującym równaniem: R równa się...

- Dalej – ponaglał Brady.

Umysł Hamiltona ogarnęła jakaś dziwna ocieężałość. Serie symboli, rysunków i równań wirowały mu w głowie. Słowa i zwroty skakały i tańczyły jak motyle, odmawiając ułożenia się w logiczną całość.

– Całkowity opór – zaczął ochryple – może być zdefiniowany jako opór przewodnika, w którym...

- To nie wygląda na prawo Ohma – powiedział Brady. Zwracając się do grupy spytał: – Czy uważacie, że to prawo Ohma?

Z nabożeństwem pokręcili głowami.

- Przebrałem – nie dowierzał Hamilton. – Nie potrafię powiedzieć prawa Ohma.
- Chwała niech będzie Bogu – rzekł Brady.
- Poganin został pokonany – zauważył autorytatywnie inżynier. – Pojedynek skończony.
- To nie fair – zaprotestował Hamilton. – Znam prawo Ohma równie dobrze jak swoje imię i nazwisko.

– Przyjrzyj się faktom – stwierdził Brady. – Przyznaj, że jesteś poganinem pozbawionym łaski Pana.

- Czy i ja mogę o coś zapytać?

Brady zastanowił się.

- Oczywiście. Dalej, pytaj o co chcesz.

– Wiązka elektronów jest odchylona – zaczął Hamilton – jeśli przechodzi pomiędzy dwiema okładkami, do których przyłożone jest napięcie. Elektrony doznają działania siły skierowanej prostopadle do kierunku ich ruchu. Nazwij długość okładek L_1 odległość od środka okładek do...

Przerwał. Nieco ponad Bradym, tuż przy jego prawym uchu pojawiły się usta i ręka. Usta szeptały coś cicho, lecz zasłaniane ręką słowa znikwały, zanim Hamilton mógł je usłyszeć.

- Kto to? – spytał dotknięty do żywego.

– Słucham? – niewinnie odezwał się Brady, machnięciem ręki nakazując ustom i ręce żeby odeszły.

- Co to za nieproszony doradca? Kto ci podpowiada?

- Anioł Pański – odrzekł Brady. – To oczywiste.

Hamilton zrezygnował.

– Przyznaję. Wygrałeś.

– Pytaj – pospieszał Brady. – Miałeś zamiar zapytać mnie o wykres odchylenia wiązki na podstawie tego wzoru...

W kilku zwięzłych zdaniach objaśnił wszystkie rysunki, które wykoncypował w swym umyśle Hamilton.

– W porządku?

– To nie fair – zaczął Hamilton. – Ze wszystkich jawnych, skandalicznych oszustw...

Anioł wyszczerzył zęby i powiedział Brady'emu na ucho coś uszczypliwego. Brady pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

– Bardzo zabawny – przyznał. – Bardzo zdolny także.

Gdy wielkie, prostackie usta zaczęły odpływać, Hamilton odezwał się.

– Chwileczkę. Zaczekaj, chcę z tobą porozmawiać.

Usta zatrzymały się.

– Cóż cię niepokoi? – zapytały donośnym, grzmiącym głosem.

– Wydaje mi się, że powinienes już wiedzieć – odparł Hamilton. – Czyżbyś jeszcze nie zajrzał do mojej głowy?

Usta wykrzywiły się pogardliwie.

– Jeśli potrafisz czytać w ludzkich myślach – ciągnął Hamilton – umiesz zapewne zaglądać do ludzkich serc.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał zaniepokojony Brady. – Idź i zawracaj głowę swojemu własnemu aniołowi.

– Jest gdzieś taki werset – kontynuował Hamilton. – Coś o tym, że chęć grzechu jest równie naganna jak jego popełnienie.

– Co ty bredzisz? – dopytywał się zirytowany Brady.

– Interpretuję ten starożytny werset – odparł Hamilton. – Jest to twierdzenie dotyczące pewnej kwestii psychologicznej, a mianowicie motywacji. Ocenia ono motyw jako kardynalną kwestię moralną. Faktycznie popełniany grzech jest jedynie ujawnionym rezultatem chęci czynienia zła. Dobro i zło nie zależy od tego, co człowiek robi, ale od tego, co czuje.

Anielskie usta nie wyraziły sprzeciwu.

– To, co mówisz, jest prawdą.

– Ci ludzie – Hamilton wskazał inżynierów – są Mistrzami Jedynego Prawdziwego Boga. Wykorzeniają pogaństwo. Ale w ich sercach gnieźdzą się mroczne pobudki. Za ich gorliwymi poczynaniami kryje się twardy rdzeń grzesznych pragnień.

– Co masz na myśli? – Brady hamował wściekłość.

– Wasze pobudki usunięcia mnie z EDA są czysto osobiste. Jesteście zazdrośni, a zazdrość jako motyw działania nie może być akceptowana. Zwracam na to uwagę jako współwyznawca –

dodał łagodnym tonem Hamilton. – To mój obowiązek.

– Zazdrość – powtórzył anioł. – Tak, zazdrość należy do kategorii grzechu. Z wyjątkiem rozumienia Pana jako zazdrosnego Boga. To bowiem oznacza myśl, że tylko Jeden Prawdziwy Bóg może istnieć. Czczenie jakiegokolwiek innego pseudoboga jest wyparciem się Jego i powrotem do preislamizmu.

– Ale – zaprotestował Brady – Babista może zazdrośnie spełniać zadania Boga.

– Tak, ale gdy to oznacza wykluczenie innej służby i poddania – odparł anioł. – To jedyne rozumienie tego pojęcia, które nie pociąga za sobą negatywnego wydźwięku moralnego. Można też mówić o zazdrosnej obronie czyjejś własności. W tym wypadku termin „zazdrość” ma znaczenie gorliwej ochrony wszystkiego, co należy do danej osoby. Ten poganin jednak twierdzi, iż jesteście zazdrośni o niego w tym sensie, że chcecie odmówić mu należnej pozycji. W gruncie rzeczy kierują wami zawiść, skąpstwo i łapczywość wynikające z odmowy poddania się Kosmicznemu Podziałowi.

– Ale... – zaczął Brady, głupio wzruszając ramionami.

– Poganin ma rację twierdząc, że pozornie prawe czyny wynikające jednak z grzesznych intencji są tylko pseudoszlachetne. Wasze gorliwe poczynania są niszczone przez niegodziwą zawiść. Chociaż wasze czyny są skierowane ku podtrzymaniu Jedyne Prawdziwego Boga jako demiurga, wasze dusze są nieczyste i splamione.

– Jak rozumiesz termin „nieczyste”? – zaczął Brady, ale było już za późno.

Wyrok zapadł. Nad ich głowami słońce skurczyło się do rozmiarów niewielkiego krążka, o mrocznej, chorobliwie żółtej barwie. Po chwili znikło całkowicie. Suchy, ostry wiatr chłostał grupę przestraszonych inżynierów. Ziemia pod stopami wyschła, stała się jałowa.

– Wasze prośby możecie wznosić później – odezwał się anioł z ponurej ciemności.

Przygotowywał się do odejścia.

– Będziecie mieli mnóstwo czasu, aby zrobić użytek z regularnych kanałów.

Krajobraz wokół budynków EDA zafalował. Urodzajne pola zmieniły się w polecie nieużytków. Nie rosły tam żadne rośliny. Drzewa i krzewy wyglądały jak suche badyle. Inżynierowie skurczyli się. Zgarbione, pokraczne, owłosione postacie o ciemnej skórze. Na ich brudnych ramionach i twarzach widniały otwarte rany. Zaczerwienione oczy napełniły się łzami. Rozglądali się wokoło.

– Przeklęci – załkał załamany Brady. – Jesteśmy przeklęci.

Byli potępieni. Karłowate, nieszczęsne stwory wlokły się żałośnie bez celu. Poprzez kłęby kurzu spłynęła na nich ciemność nocy. Po spalonej ziemi, tuż obok ich stóp prześliznął się wąż. Wkrótce potem usłyszeli klekot szczypiec skorpiona...

– Przykro mi – powiedział flegmatycznie Hamilton – ale prawda zawsze zwycięża.

Brady spojrzął na niego. Zaczerwienione oczy przepelnione goryczą błyszczały na

zarośniętej twarzy. Kosmyki brudnych włosów oblepiały uszy i szyję.

– Ty poganinie – zamruczał odwracając się.

– Cnota jest nagrodą – przypomniał mu Hamilton. – Niezbadane są wyroki boskie. Nic tak nie cieszy jak dobry koniec.

Podszedł do samochodu, wszedł do środka i włożył kluczyki do stacyjki. Tumany kurzu wznosiły się i osiadały na przedniej szybie. Zaczął uruchamiać silnik. Na nic to się nie zdało, silnik odmówił posłuszeństwa. Przez chwilę naciskał pedał gazu zastanawiając się, co jest nie w porządku. Potem z osłupieniem stwierdził, że pokrowce na siedzeniach wypłówiały. Kiedyś błyszcząca, doskonała tkanina stała się brudnobrązowa i matowa. Miał pecha, zaparkował samochód na przeklętym terenie. Otworzył przegródkę na rękawiczki i wyjął dobrze już podniszczony od ciągłego przeglądania poradnik samochodowy. Gruba broszura nie zawierała jednak schematów, lecz zbiór codziennych modlitw.

W tym świecie modlitwa zastępowała wiedzę. Rozłożył książkę przed sobą, wrzucił pierwszy bieg, nacisnął gaz, zwolnił sprzęgło.

– Istnieje jeden Bóg – zaczął – Bab Drugi...

Silnik zaskoczył i samochód z hałasem ruszył naprzód. Strzelając i charcząc wypelzł z parkingu na ulicę. Z tyłu, po zniszczonym placu, błakali się wykłeci. Już zaczęli dyskutować nad właściwym adresem swych próśb, powołując się na autorytety.

– Odzyskają swoją pozycję – przebiegło mu przez głowę. – Na pewno.

Potrzeba było aż czterech pacierzy, aby pchnąć samochód autostradą do Belmont. W pewnej chwili, mijając warsztat naprawczy, Hamilton rozważał możliwość zatrzymania się, ale znak nakazywał podążać dalej.

Nicholton and Sons

Auto-Service

Pod tym małą wystawą literatury fachowej z wiodącym sloganem: „Każdego dnia, na każdej drodze mój samochód staje się coraz nowszy”.

Po piątej modlitwie silnik zdawał się pracować na pełnych obrotach, pokrowce zaś odzyskały swój normalny wygląd. Udało mu się wydostać z tarapatów. Poczul się trochę pewniej. Każdy świat ma swoje własne prawa. Należało je tylko odkryć.

Teraz już wszędzie wokół zapadł zmrok. Wzdłuż El Camino sunęły samochody migocząc reflektorami. Za nim, w ciemnościach błyskały światła San Mateo. Nad głową złowieszcze chmury pokryły niebo. Prowadząc z najwyższą ostrożnością ominął pasy szybkiego ruchu i zjechał na pobocze.

Na lewo znajdowało się California Maintenance, ale zbliżanie się do fabryki zbrojeniowej nie miało sensu, skoro nawet w swoim świecie nie był tam akceptowany. A tu... Bóg jeden wie, co mogłoby się zdarzyć. W jakiś sposób wyczuwał, że mogłoby być tylko gorzej. Dużo gorzej.

Człowiek pokroju pułkownika T.E. Edwardsa przechodziłby wszelkie wyobrażenia.

Po prawej stronie leżała mała, znajoma oaza. Przesiadywał popołudniami w Safe Harbor... Bar znajdował się dokładnie naprzeciw fabryki zbrojeniowej. Było to ulubione miejsce spotkań inżynierów popijających tam piwo w gorące, letnie dni.

Zaparkował samochód, wysiadł i wszedł na ukryty w ciemności chodnik. Kiedy dotarł do migoczącego, czerwonego neonu „Golden Glow” (Złota Poświata), oblał go deszcz światła.

W przyjaźnie hałaśliwym barze było pełno ludzi. Hamilton stał przez chwilę w wejściu chłonąc widok ludzkich słabości. Tu przynajmniej nic się nie zmieniło. Ci sami, ubrani w czarne kurtki kierowcy ciężarówek siedzieli zgarbieni nad kuflami piwa przy kontuarze. Ta sama, hałaśliwa, młoda blondynka, zapewne bywalczyni barów, siedziała na stołku, popijając whisky z wodą. W rogu, obok piecyka, wydzieriała się wściekle szafa grająca. Po drugiej stronie dwaj robotnicy z przejęciem grali w bilard. Przepychając się przez tłum Hamilton torował sobie drogę do rzędu stołków. Był tu znajomą postacią. Usiadł dokładnie pośrodku kontuaru przed dużym, płaskim lustrem. Kołysząc kuflem piwa, wykrzykiwał do przypadkowych kumpli. Zmęczony i roztrzęsiony umysł wypełniło przewrotne zadowolenie.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział, poklepując po ramieniu McFeyffe’a. – Ty nędzny sukinsynie.

McFeyffe obrócił się na stołku, wylewając piwo.

– Będę potępionym Czerwonym. – Radośnie skinął na barmana. – Nalej mojemu kumpłowi piwa, niech to diabli.

– Mów ciszej – odezwał się lękliwie Hamilton. – Nie słyszałeś...

– Słyszałem?... O czym?

– O tym co się stało. – Hamilton rozsiadł się na sąsiednim stołku. – Nic nie zauważyłeś? Nie widzisz różnicy między tym, co było kiedyś a terażniejszością?

– Zauważyłem – odparł McFeyffe.

Nie wyglądał na zaniepokojonego. Uchylając poły płaszcz, pokazał Hamiltonowi, co nosi ze sobą. Wisiały na nim talizmany wszelkiego rodzaju, cały zestaw, na każdą okazję.

– Mam nad tobą dwadzieścia cztery godziny przewagi, bracie – wyznał. – Nie wiem, kim jest Bab, ani też skąd wytrzasnęli tę bezsensowną religię arabską, ale bynajmniej nie martwię się tym.

Pogłaskawszy jeden z wisiorków, złoty medalion z tajemniczymi symbolami wyrzeźbionymi w splecionych kołach, powiedział:

– Nie żartuj ze mnie, bo ześlę na ciebie plagę szczurów, rozszarpią cię na kawałki.

Hamilton dostał swoje piwo i wypił je łapczywie. Otoczyły go hałas i krzątanie ludzi. Coraz bardziej zadowolony, odprężył się i zanurzył w ogólnym gwarze. Zresztą, jeśli już się tu znalazł, nie miał większego wyboru.

– Kim jest twój przyjaciel? – dopytywała się mała blondynka o ostrych rysach twarzy, prężąc się obok McFeyffe’a i opierając o jego ramię. – Jest ładny.

– Odczep się – powiedział jej dobrodusznie McFeyffe – albo zamienię cię w robaka.

– Mądry chłopiec – ironizowała dziewczyna. Podciągając spódnicę, wskazała mały, biały przedmiot wsunięty pod podwiązkę.

– Spróbuj, ugryź go.

McFeyffe wpatrywał się zafascynowany.

– Co to?

– Kość śródstopia Mahometa.

– Święci obronią nas – pobożnie stwierdził McFeyffe, popijając piwo.

Opuściła spódnicę i zwróciła się do Hamiltona.

– Chyba widziałam cię tutaj wcześniej? Pracujesz w tej dużej fabryce bomb po drugiej stronie ulicy, prawda?

– Pracowałem – odparł.

– Ten dowcipniś jest Czerwony – odezwał się McFeyffe. – Jest ateistą.

Przerażona dziewczyna cofnęła się.

– Nie bujasz?

– Jasne – potwierdził Hamilton.

W tej sytuacji było mu wszystko jedno.

– Jestem dziewczą ciotką Leona Trockiego, spłodziłem Józia Stalina...

Raptem ostry ból przeszył jego wnętrzości, zgiął się, spadł ze stołka na podłogę, potem usiadł skurczony szcękając zębami.

– Masz, czego chciałeś – powiedział całkowicie bez współczucia McFeyffe.

– Pomocy! – zawołał Hamilton. Przestraszona dziewczyna przykucnęła przy nim.

– Nie wstyd ci? Gdzie jest twoja Biblia?

– W domu – szepnął poszarzały z bólu. Bezustannie wstrząsały nim dreszcze.

– Umieram, wyrostek robaczkowy.

– Gdzie jest twój młynek modlitewny? W kieszeni?

Sprawnymi ruchami zaczęła przeszukiwać ubranie, jej zwinne palce sprawdzały wszystkie kieszenie.

– Sprowadźcie... doktora – wykrztusił. Barman przechylił się przez kontuar.

– Wyrzuć go albo podnieś – zwrócił się obcesowo do dziewczyny. – Nie może tutaj umrzeć.

– Czy ktoś ma trochę święconej wody? – zawołała przenikliwym sopranem dziewczyna.

Tłum poruszył się. Mała, płaska butelka powędrowała do przodu.

– Nie zużyj całej – ostrzegął zirytowany głos. – Była napełniana w chrzcielnicy w Cheyenne.

Odkręciwszy nakrętkę zmoczyła odrobiną wody palce o czerwono pomalowanych

paznokciach i szybko skropiła Hamiltona. Gdy tylko krople spadły na niego, ból ustał. Poczul ulgę w umęczonym ciele. Po chwili z pomocą dziewczyny mógł usiąść.

– Kłątwa minęła – zauważyła trzeźwo dziewczyna, oddając wodę właścicielowi. – Dziękuję panu.

– Postaw temu człowiekowi piwo – poradził McFeyffe nie odwracając się. – Jest prawdziwym wyznawcą Baba.

Kiedy pieniące się w kuflu piwo powędrowało w tłum, Hamilton z trudem wdrapał się na stołek. Nikt nie zwracał na niego uwagi, dziewczyna odeszła zabawiać się z właścicielem święconej wody.

– Ten świat jest szalony – wycedził Hamilton przez zaciśnięte zęby.

– Szalony? Do diabła! – poprawił go McFeyffe. – Co w nim takiego szalonego? Nie płaciłem za piwo przez cały dzień.

Zakołysał swymi licznymi talizmanami.

– Wszystko co muszę zrobić, to odwoływać się do nich.

– Wy tłumacz mi – mruknął Hamilton. – To miejsce, ten bar. Dlaczego Bóg go nie zniszczy? Jeśli ten świat jest taki moralny...

– Taki bar jest konieczny dla utrzymania porządku moralnego. Gniazdo korupcji i rozpusty, przybytek grzechu. Czy sądzisz, że mogłaby istnieć cnota bez grzechu? Na tym polega kłopot z wami, ateistami, nie pojmujecie mechanizmów zła. Przyłącz się i ciesz życiem. Jeśli będziesz jednym z wiernych, skończą się twoje kłopoty.

– Oportunista.

– Możemy się założyć.

– Więc Bóg pozwala ci siedzieć tutaj, żłopać alkohol i oszukiwać te lafiryndy? Klnąc i kłamiąc robić tylko to, na co masz ochotę?

– Znam swoje prawa – odparł grzecznie McFeyffe. – Widzę ten napis na górze. Patrz i ucz się... Uważaj na to, co się dzieje.

Obok lustra wisiało przybite do ściany motto: „Co powiedziałby Prorok, jeśli spotkałby cię w miejscu takim jak to?”

– Powiem ci, co by powiedział – poinformował Hamiltona McFeyffe. – Powiedziałby. „Nalej mi jedną szklaneczkę, chłopcze”. On jest normalnym facetem, nie jajogłowym profesorem jak wy.

Hamilton czekał z nadzieją, lecz nie pojawił się żaden deszcz jadowitych węży. McFeyffe z zadowoleniem chleptał piwo.

– Widocznie nie należę do was – powiedział Hamilton. – Gdybym to ja powiedział, zginąłbym.

– Więc się przyłącz.

– Jak? – zapytał Hamilton.

Był przygnębiony nieuczciwością, otaczającą go niesprawiedliwością. Świat, który McFeyffe’mu wydawał się najzupełniej sensowny, dla niego był jedynie parodią powszechnego ładu. W zamieszaniu, które go otaczało od czasu wypadku w bewatronie, odbierał jedynie przypadkowe ciosy, tak typowe dla tego świata. Wartości tworzące jego świat, prawdy zawsze wytyczające jego egzystencję zniknęły, zastąpiła je surowa, pierwotna walka przeciwko antychrystowi, archaiczny system, który skądś się wziął... właściwie, skąd?

Przeszukując kieszenie płaszcza wyjął notatkę, którą dał mu doktor Tillingford. Oto ma nazwisko Proroka. Grób Baba Drugiego, centrum tego obcego zachodowi kultu, który spłynął na nich w jakiś sposób i pochłonął normalny świat. Czyż Horacy Clamp istniał zawsze? Tydzień temu, kilka dni temu nie było Baba Drugiego i Proroka Jedynego Prawdziwego Boga w Cheyenne, Wyoming...

McFeyffe zajrzał mu przez ramię, starając się rozszyfrować zapisany kawałek papieru. Jego twarz pociemniała, a zawadiacki humor ustąpił miejsca ciężkiemu i dręczącemu przygnębieniu.

– Co to? – zapytał.

– Mam zamiar spotkać się z nim – wyjaśnił Hamilton.

– Nie – powiedział McFeyffe. Wyciągnął ręce chcąc złapać papier.

– Wyrzuć to natychmiast i nawet o tym nie myśl. – Jego głos drżał.

Szamacząc się Hamilton wyrwał notatkę, lecz McFeyffe pochwycił go za ramię. Jego grube palce zatopiły się w ciele Hamiltona. Stołek zachwiał się i Jack upadł. Masywny glina zwałił się na niego. Obydwaj mężczyźni sapiąc i dysząc potoczyli się po podłodze, usiłując wyrwać sobie notatkę.

– Żadnych wojen w tym barze – ryknął barman, wyskakując zza kontuaru, by położyć kres bijatyce. – Jeśli macie zamiar kotłować się dalej, wyjdźcie na zewnątrz.

Mrucząc coś pod nosem, McFeyffe wstał niepewnie.

– Wyrzuć to – powtórzył i wygładził ubranie.

Twarz miał wciąż stężoną, zmienioną przez jakiś trudno uchwytny niepokój.

– O co chodzi? – spytał Hamilton usadawiając się na stołku. Odszukał swoje piwo, uniósł kufel. Coś się działo w ogłupiałym mózgu McFeyffe’a, ale Hamilton nie wiedział co.

W tym momencie podeszła do nich mała blondynka. Wraz z nią pojawiła się smutna, wychudzona postać. Bill Laws chwycił błyszczącą szklanekę, skłonił się ponuro McFeyffe’owi i Hamiltonowi.

– Dzień dobry – zaczął. – Nie kłóćmy się więcej. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

– Zważywszy na okoliczności powinno być nam całkiem miło – odparł McFeyffe, spoglądając na bar.

Nie kontynuował wątku.

6

– Ten osobnik twierdzi, że cię zna – wyjaśniła Hamiltonowi blondynka, stała bywalczyni baru.

– Zgadza się – odparł. – Weź stołek i usiądź.

Spojrzał z uwagą na Lawsa.

– Czyżbyś badał wczoraj sytuację z punktu widzenia fizyki?

– Do diabła z fizyką – powiedział z groźną miną Laws. – Już mi to przeszło.

– Skonstruuj zbiornicę – poradził mu Hamilton. – Przestań czytać tyle książek, wyjdź na świeże powietrze.

Laws położył szczupłą rękę na ramieniu blondynki.

– Poznaj Grace [Grace (ang.) – łaska; imię żeńskie.], pełnusięnką zbiornicę wszelkich łask.

– Miło mi – powiedział Hamilton. Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie nazywam się Grace. Mam na imię...

Odepchnąwszy dziewczynę, Laws przysunął się do Hamiltona.

– Cieszę się, że wspomniałeś o zbiornicach.

– Dlaczego?

– Ponieważ w tym świecie nie ma takiej rzeczy – poinformował go Laws.

– Ale musi być!

– Chodź.

Chwyciwszy Hamiltona za krawat, Laws odciągnął go od kontuaru.

– Mam zamiar wtajemniczyć cię w coś. Największe odkrycie od czasu wynalezienia podatków...

Torując sobie drogę między klientelą, poprowadził Hamiltona do stojącego w kącie automatu z papierosami. Uderzył dłonią w maszynę i stwierdził z triumfem:

– No, co o tym myślisz?

Hamilton z uwagą przypatrywał się automатовi. Wyglądał zwyczajnie: wysokie, metalowe pudło z błękitnym lustrem, z otworem w górnym, prawym rogu, rzędami szklanych okienek, za którymi leżały różne gatunki papierosów, szeregiem przycisków i korytkiem.

– Wygląda normalnie – stwierdził.

– Zauważyłeś coś?

– Nie, nic szczególnego.

Laws rozejrzał się wokoło sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. Potem przyciągnął Hamiltona do siebie.

– Oglądałem tę maszynę – wyszeptał chrapliwie. – Wykryłem coś. Uważaj teraz dokładnie.

W tej maszynie nie ma żadnych papierosów.

Hamilton zamyślił się.

– Żadnych...?

Przykucnąwszy, Laws wskazał na rząd opakowań widocznych za szklanym przykryciem.

– To wszystko co jest. Po jednym z każdego rodzaju. Nie ma żadnego pojemnika. Ale spójrz...

Wrzucił ćwierćdolarówkę do szczeliny, wybrał przycisk „Camele” i pewnie go nacisnął. Wypadła paczka „Cameli”.

– Widzisz?

– Nie rozumiem – przyznał Hamilton.

– Z automatem z cukierkami jest to samo. – Laws poprowadził go do maszyny. – Cukierki wyskakują, ale nie ma ich w środku. Wystawione są tylko opakowania. Rozumiesz?

– Nie.

– Czytałeś kiedykolwiek o cudach? Na pustyni pojawiła się woda i żywność, tak było najpierw.

– Prawda – potwierdził Hamilton.

– Te automaty pracują na takiej samej zasadzie. Podział przez cud.

Laws wyjął z kieszeni śrubokręt, klęknął i zaczął rozmontowywać automat z cukierkami.

– Powiem ci, Jack, to największe odkrycie znane człowiekowi. Zrewolucjonizuje nowoczesny przemysł, całą produkcję taśmową i montaż na liniach technologicznych... – Laws machnął ręką. – Koniec. Kaput. Nigdy więcej naturalnych surowców, nigdy więcej uciskania mas, nigdy więcej hałaśliwych fabryk. W tym metalowym pudle leży cały sekret.

– Hej – zainteresował się Hamilton. – Może coś rzeczywiście odkryłeś...

– Tę rzecz można by wykorzystać.

Rozgorączkowany Laws szarpnął za obudowę.

– Daj rękę. Pomóż mi otworzyć zamek.

Zatrząsk puścił. Dwaj mężczyźni odsunęli przykrywą automatu i oparli ją o ścianę. Jak przewidział Laws, pionowe kolumny stanowiące pojemniki były zupełnie puste.

– Wyjmij dziesięciocentówkę – polecił Laws.

Zręcznie uruchomił wewnętrzny mechanizm, tak że batony za szybą były teraz widoczne od tyłu. Po prawej stronie znajdowała się rynienka, na brzegu której umieszczono zapadki, dźwignie i kółka. Laws zaczął śledzić tryby układu sterujące powrotem do punktu początkowego.

– Wygląda na to, że batoniki startują tutaj – powiedział Hamilton.

Pochylając się nad Lawsem, dotknął poziomej półki.

– Moneta uruchamia przełącznik i podnosi tłok w górę. To nadaje pęd batonowi i powoduje jego ruch w kierunku szczeliny. Reszty dokonuje grawitacja.

– Wrzuć monetę – niecierpliwiał się Laws. – Chcę zobaczyć, gdzie pojawia się ten cholerny cukierek.

Hamilton wrzucił dziesięciocentówkę i nacisnął przycisk na chybił trafił. Ze środka pracującej maszyny wyłonił się baton Uno. Ześliznął się wzdłuż rynienki i dotarł do otworu automatu.

– Po prostu spadł z nieba – stwierdził zdumiony Laws.

– Ale w określonym miejscu. Pojawił się stycznie do batonu modelowego. To sugeruje, że zachodzi rodzaj rozszczepienia... Baton modelowy dzieli się na dwa identyczne.

– Wrzuć jeszcze jedną monetę. Mówię ci, Jack, to jest to.

Zmaterializował się kolejny baton i został wyrzucony przez automat. Obaj mężczyźni spoglądali z podziwem.

– Nieźle urządzenie – przyznał Laws. – Doskonały projekt i konstrukcja. Idealne wykorzystanie zasady cudu.

– Ale na małą skalę – zauważył Hamilton. – Cukierki, napoje chłodzące, papierosy. Nic ciekawego.

– Po co tu jesteśmy. – Laws ostrożnie wepchnął pasek cynfolii w puste miejsce obok modelowego batonika Hersheya.

Folia nie napotkała oporu.

– Nic tam nie ma, w porządku. Jeśli wypchnę tę czekoladkę, a włożę coś innego...

Hamilton wyjął batonik Hersheya i umieścił na jego miejscu korek od butelki. Kiedy nacisnął dźwignię, drugi korek zsunął się wzdłuż rowka i wyleciał na zewnątrz.

– Jest to dowód – zgodził się Laws – że automat odtwarza każdą rzecz zgodnie z modelem. Możemy więc duplikować wszystko.

Wyjął kilka srebrnych monet.

– Przejdźmy do interesów.

– Jak to się nazywa? – mruknął Hamilton. – Stara zasada elektroniki: sprzężenie zwrotne. Kierujemy część produkcji wyjściowej z powrotem na wejście. W ten sposób wzmacniamy proces – im częściej to się powtarza, tym większy efekt uzyskujemy.

– Płyn byłby lepszy – powiedział odkrywco Laws. – Tylko skąd weźmiemy szkło na przewód?

Hamilton oderwał kawałek neonu na ściany, Laws w tym czasie pobiegł do baru zamówić drinka. Gdy Hamilton instalował rurkę, Laws wrócił, niosąc ze sobą szklaneczkę bursztynowej cieczy.

– Brandy – wyjaśnił. – Wspaniałe francuski koniak, najlepszy, jaki mieli.

Hamilton wsunął szklaneczkę na półkę dla wzorców, gdzie przedtem leżał baton Hersheya. Opróżnione z gazu rurki zaczynały się w miejscu podwojenia i rozdzielały na dwie. Jedna

prowadziła z powrotem do szklanki, druga do szczeliny wyjściowej.

– Proporcje są jak 4:1 – stwierdził Hamilton. – Cztery części wychodzą jako produkt. Jedna z nich jest kierowana z powrotem do początkowego źródła. Teoretycznie powinniśmy zawsze otrzymać wzmocnienie na wyjściu. Z nieskończoną objętością w granicy.

Laws zręcznym ruchem odblokował dźwignię. Po chwili ze szczeliny trysnął na podłogę koniak. Laws wstał, chwycił tylną część obudowy, po czym z Hamiltonem wmontowali ją na miejsce. Z automatu, z cichym szmerem, lał się strumień brandy najwyższej jakości.

– To jest to – skomentował zadowolony Hamilton. – Darmowe drinki, proszę się ustawiać.

Z baru przywlokło się kilku zaciekawionych klientów. Wkrótce otaczał ich tłum.

– Bardzo użyteczna maszyna – powiedział powoli Laws, obserwując rosnącą kolejkę, która uformowała się przed dawnym automatem z cukierkami. – Nie rozpracowaliśmy jednak podstawowej zasady. Wiemy, co się dzieje i jak to przebiega mechanicznie. Ale nie wiemy dlaczego.

– A może – zastanawiał się Hamilton – nie istnieje żadna zasada? Czyż nie jest to właśnie cud? Żadnego funkcjonującego prawa – po prostu kapryśny przypadek bez reguł i przyczyny. Czasami nie można dotrzeć do źródła.

– Ale tutaj jest pewna reguła – upierał się Laws wskazując na automat. – Kiedy włożysz dziesięciocentówkę, wyskakuje batonik, a nie piłka baseballowa czy ropucha. Naturalna kolej rzeczy, po prostu tak się dzieje. To nie jest zwykły przypadek. Możemy powiedzieć, że jeśli dodamy A do B, to otrzymamy C, a nie D.

– Zawsze? – spytał Hamilton.

– Być może tak, być może nie. Do tej pory dostawaliśmy batoniki. Teraz leje się brandy, nie zaś woda sodowa. Mamy własną prawidłowość, nasz wzór. Wszystko co trzeba zrobić, to wykryć, co jest potrzebne do utworzenia wzoru.

Hamilton poruszył się podekscytowany.

– Jeśli to znajdziemy...

– Tak jest. Coś uruchamia proces. Nieważne, jak to się dzieje. Musimy jedynie wiedzieć, co jest czynnikiem sprawczym. Tak samo jest z siarką, azotanem potasu i węglem drzewnym, z których powstaje proch. Nasza wiedza może ograniczyć się do tego, że zmieszane w odpowiednich proporcjach dają proch.

Obaj mężczyźni zawrócili w kierunku baru, mijając tłum klientów smakujących darmową brandy.

– Więc ten świat ma swoje prawa – stwierdził Hamilton. – Tak jak nasz. Niekoniecznie podobne do naszych, ale jakieś ma.

Przez twarz Lawsa przemknął grymas.

– No tak. – Jego entuzjazm nagle minął. – Zapomniałem.

- Coś nie w porządku?
- To nie będzie działać w naszym świecie. Działa tylko tutaj.
- To fakt – powiedział łagodnie Hamilton.
- Tracimy czas.
- Dopóki nie zechcemy wrócić.

W barze Laws usadowił się na stołku, przysunął do siebie połyskującą szklanekę. Pochylił się nad nią i pogrążony w zadumie mruknął:

- Możliwe, że powinniśmy to zrobić. Zostać tutaj.
- Jasna sprawa – wesoło potwierdził McFeyffe słysząc tamtego. – Zostać tutaj. Pokutować... i przestać, kiedy się już dobrze zarobi.

Laws zerknął na Hamiltona.

- Chcesz zostać? Podoba ci się tutaj?
- Nie – zaprzeczył Hamilton.
- Mnie też nie. Ale nie będziemy mieli wyboru. Jak dotąd nie wiemy nawet, gdzie jesteśmy.

A co do wydostania się...

– To miłe miejsce – odezwała się oburzona blondynka. – Spędzam tutaj cały czas i uważam, że jest fajnie.

- Nie rozmawiamy o barze – powiedział Hamilton. Laws zacisnął dłoń na szklance.
- Będziemy musieli wrócić. Znaleźć jakieś wyjście.
- Zdaję sobie z tego sprawę – odparł Hamilton.
- Wiesz, co można kupić w supermarkecie? – spytał kwaśno Laws. – Powiem ci. Puszki z całopalnymi ofiarami.

– Wiesz, co można kupić w sklepie z towarami żelaznymi? – odezwał się Hamilton. – Wagę do ważenia dusz.

- Głupota – powiedziała rozdrażniona blondynka. – Dusza nie ma ciężaru.
- Więc – zastanawiał się głośno Hamilton – można ją wysłać pocztą za darmo.
- Ile dusz – snuł ironiczne domysły Laws – może zmieścić się w ostemplowanej kopercie?

Nowy problem religijny. Podzielona ludzkość. Walczące frakcje. Krew burzy się w żyłach.

- Dziesięć – zgadywał Hamilton.
- Czternaście – zaprzeczył Laws.
- Heretyk. Potwór mordujący dzieci.
- Bestia żłowiąca nieczystą krew.
- Przeklęte nasienie Złego żywiącego się plugastwami.

Laws zastanawiał się przez chwilę.

- Wiesz, co zobaczyłbyś w telewizji w niedzielę rano? Nie powiem ci, musisz zgadnąć sam.
- Trzymając opróżnioną szklanekę w dłoni, ostrożnie ześliznął się ze stołka i zniknął w tłumie.

– Hej – odezwał się zdumiony Hamilton. – Gdzie on zniknął?

– On jest szalony – skomentowała rzeczowo blondynka.

Za chwilę postać Billa Lawsa pojawiła się znowu. Jego ciemna twarz poszarzała z udręki. Kierując się do Hamiltona przekrzykiwał hałaśliwy tłum.

– Jack, wiesz co?

– Co? – odezwał się zaniepokojony Hamilton.

Twarc Murzyna wykrzywił przeszywający spazm beznadziejnego smutku.

– W tym świecie – żal błysnął w jego oczach – w tym przeklętym miejscu zacząłem powłóczyć nogami.

Odszedł zostawiając Hamiltona w zamyśleniu.

– O co mu chodzi? – spytała zaciekawiona blondynka. – O tasowanie kart? [Nieprzetłumaczalna gra

słów: to shuffle – a) tasować karty, b) powłóczyć nogami.]

– Nie, o powłóczenie nogami – mruknął ponuro Hamilton.

– Oni wszyscy to robią – zauważył McFeyffe. Zajawszy wolny stół po Billu Lawsie, dziewczyna zaczęła metodycznie przysuwać się do Hamiltona.

– Postaw mi drinka, kotku – zaproponowała z nadzieją.

– Nie mogę.

– Dlaczego? Niepełnoletni?

Hamilton przeszukał puste kieszenie.

– Nie mam pieniędzy. Wydałem je przy automacie z cukierkami.

– Módl się – powiedział McFeyffe. – Módl się, do diaska.

– Drogi Panie – zaczął Hamilton. – Ześlij Twojemu nic niewartemu elektronikowi szklanę kolorowej wody dla tej młodej hochsztaplerki.

Pełen szacunku zakończył.

– Amen.

Na blacie stołu, tuż obok jego łokcia, pojawiła się szklanka kolorowego płynu. Dziewczyna uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Jesteś słodki. Jak się nazywasz?

– Jack.

– A dalej?

Spojrzał na nią.

– Jack Hamilton.

– Ja mam na imię Silky.

Zabawiała się skubaniem jego kołnierzyka.

– Czy to twój ford coupe stoi tam na zewnątrz?

– Tak – odparł znudzony.

– Jedźmy gdzieś. Nienawidzę tego miejsca. Ja...

– Dlaczego? – krzyknął nagle Hamilton. – Dlaczego, do diabła, Bóg wysłuchał tej modlitwy? Dlaczego nie wysłuchał innych? Billa Lawsa?

– Bogu spodobała się twoja modlitwa – odparła Silky. – Poza tym wszystko zależy od Niego. Tylko On decyduje, co mu się podoba.

– To straszne.

Silky wzruszyła ramionami.

– Być może.

– Jak można tak żyć? Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy, nie ma tu porządku, logiki.

Rozzłościło go, że nie miała nic przeciwko temu i wydawało się jej to naturalne.

– Nie mamy szans, zależy od jego kaprysów. Nie możemy być ludźmi, jesteśmy jak zwierzęta czekające aż się je nakarmi. Nagradzane bądź karane.

Silky przyglądała mu się z uwagą.

– Jesteś zabawnym chłopcem.

– Mam trzydzieści dwa lata i nie jestem chłopcem, jestem żonaty.

Dziewczyna z czułością pociągnęła go za ramię, prawie ściągając z chybotającego się stołka.

– Kotku, chodźmy tam, gdzie będziemy mogli w spokoju oddawać cześć Panu Bogu. Znam kilka obrzędów, może ci się spodobają.

– A nie pójde za to do Piekła?

– Nie, jeśli poznasz odpowiednich ludzi.

– Mój nowy szef ma połączenie telefoniczne z Niebem. O to ci chodzi?

Silky nadal ściągała go ze stołka.

– Porozmawiamy o tym później. Chodźmy, zanim zauważy nas ten goryłowaty Irlandczyk.

Podnosząc rękę, McFeyffe łypnął na Hamiltona.

– Wychodzicie? – spytał z niepokojem w głosie.

– Tak – Hamilton w końcu wstał.

– Zaczekaj. – McFeyffe podążył za nimi. – Nie wychodź.

– Zajmij się własną duszą – poradził mu Hamilton. – O co chodzi? – dodał poważnie, zobaczywszy na twarzy McFeyffe'a autentyczny niepokój.

– Chcę ci coś pokazać.

– Pokazać... co?

McFeyffe minął Hamiltona i Silky, wziął ogromny parasol, potem ruszył przed siebie. Za nim podążył Hamilton z Silky depczącą mu po piętach. Otworzywszy drzwi, McFeyffe ostrożnie rozpiął nad ich głowami podobny do namiotu parasol. Drobną mżawka zmieniła się w ulewę, krople zimnego, jesiennego deszczu uderzały o mroczne chodniki, witryny sklepów i asfalt ulic. Silky zadrżała.

– Jak tu strasznie... Dokąd idziemy?

Odnajdując w ciemnościach forda coupe Hamiltona, McFeyffe mruknął do siebie:

– To musi wciąż istnieć.

– Jak przypuszczasz, dlaczego on powłóczy nogami? – zapytał Hamilton, gdy samochód sunął bezkresną, moką autostradą. – Nigdy przedtem tego nie robił.

Siedzący za kierownicą McFeyffe prowadził w skupieniu. Zgarbiony, zatopiony w fotelu, mogło wydawać się, że śpi.

– Jak powiedziałem – zamruczał prostując się. – Oni wszyscy to robią.

– To coś oznacza – upierał się Hamilton.

W końcu uspił go monotony szelest wycieraczek, znużony oparł się o Silky i zamknął oczy. Dziewczyna pachniała nieco dymem papierosowym i perfumami. Przyjemny zapach, spodobał mu się. Włosy przy jego twarzy były suche i potargane.

McFeyffe odezwał się:

– Znasz istotę Babizmu Drugiego? – Podniósł głos, był poirytowany. – To tylko dużo szumu. Dziwaczny kult, sekta wariatów. Nic innego jak grono Arabów przybywających tutaj ze swoimi ideami. Czyż nie?

Ani Hamilton, ani Silky nie odpowiedzieli.

– To nie będzie trwać – powątpiewał McFeyffe.

– Chcę wiedzieć, dokąd jedziemy – mruknęła Silky. Przytulając się do Hamiltona szepnęła:

– Rzeczywiście jesteś żonaty?

Ignorując ją Hamilton powiedział do McFeyffe'a:

– Wiem, czego się obawiasz.

– Niczego się nie obawiam – odparł McFeyffe.

– Oczywiście, że tak – powtórzył Hamilton. Wbrew samemu sobie czuł się niespokojny.

Przed nimi znajdowało się San Francisco coraz bliższe i większe. W końcu samochód znalazł się na ulicach miasta. Przejeżdżając pomiędzy domami, nie dostrzegli w nich znaku życia, ruchu, dźwięku, światła. Wydawało się, że McFeyffe dokładnie wie, dokąd chce dotrzeć. Nagle zwolnił. Podnosząc się wyjrzał przez przednią szybę. Twarz zeszywniała mu ze strachu.

– Tu jest okropnie – jęczała Silky chowając głowę w płaszcz Hamiltona. – Co to za slumsy? Nie rozumiem, co się dzieje.

Zatrzymawszy samochód, McFeyffe pchnął drzwiczki i wyszedł na pustą ulicę. Hamilton podążył za nim. Silky została z tyłu, słuchając ckliwej, relaksującej muzyki dochodzącej z samochodowego radia. Metaliczny dźwięk rozpływał się we mgle opadającej na gęsto skupione sklepy i ociążałe, rozsypujące się domy.

– Czy to tutaj? – zapytał w końcu Hamilton.

– Tak – skinął głową McFeyffe.

Teraz, stanąwszy twarzą w twarz z konkretami, nie okazywał cienia emocji.

Znajdowali się przed obskurnym, zrujnowanym magazynem, walącą się konstrukcją z desek, od której odpadła żółta farba, odsłaniając nasiąknięte deszczem drewno. Przed wejściem walało się mnóstwo śmieci i odpadków. W świetle ulicznej lampy Hamilton dojrzał naklejone na szybach afisze, pożółkłe i upstrzone przez muchy, niestarannie zaprojektowane, wręcz nabazgrane. Dalej widać było zniszczoną, wymiętą kurtynę i rzędy brzydkich, metalowych krzeseł. Wnętrze magazynu, za krzesłami, tonęło w ciemnościach. Nad wejściem widniało wystrzępione, pisane odręcznie hasło:

Kościół Niebabistyczny

Witajcie wszyscy

McFeyffe zebrał siły, jęknął ochryple i wszedł na chodnik.

– Odejdźmy lepiej – powiedział idący za nim Hamilton.

– Nie – potrząsnął głową McFeyffe. – Wchodzę.

Podnosząc swój czarny parasol, wszedł na stopnie prowadzące do wejścia. Przez chwilę stukał metodycznie w drzwi rączką parasola. Odpowiedziało mu rozchodzące się po pustych ulicach echo. Gdzieś w zaułku poruszyło się jakieś przestraszone zwierzę.

Człowiek, który otworzył drzwi, był drobnym, pochylonym mężczyzną. Spoglądał na nich nieśmiało zza okularów w metalowych oprawkach. Mankiety jego płaszczka były brudne i wyświechtane. Żółte, zażawione oczy patrzyły z uwagą. Dygocąc przyglądał się McFeyffe'mu, nie poznał go.

– Czego chcesz? – odezwał się cienkim, drżącym głosem.

– Nie poznajesz mnie? – spytał McFeyffe. – Co się stało, ojczy? Gdzie jest kościół?

Gderając i mrużąc wysuszony stary człowiek zaczął szarpać drzwi.

– Odejdźcie stąd. Para nic niewartych pijaków. Odejdźcie stąd albo wezwę policję.

Kiedy drzwi zakołysały się, McFeyffe zablokował je parasolem.

– Ojczy – załkał – to straszne. Nie mogę zrozumieć. Oni okradli twój kościół. I ty jesteś taki... mały, to niemożliwe.

Mówił łamiącym się, pełnym niedowierzania głosem.

– On zawsze był – zwrócił się do Hamiltona – zawsze był wysoki. Większy niż ja.

– Odejdźcie – warknęła ostrzegawczo mała postać.

– Czy nie możemy wejść? – spytał McFeyffe nie ruszając parasola. – Proszę, wpuść nas.

Gdzież indziej moglibyśmy pójść? Przyprowadziłem ze sobą heretyka... chce być nawrócony.

Mały człowieczek zawahał się. Niespokojnie wykrzywiając twarz, spojrział na Hamiltona.

– Ty? O co chodzi? Nie możesz przyjść jutro? Jest po północy, spałem już.

Otworzył drzwi i niechętnie się odsunął.

– Wszystko, co się tu znajduje... – powiedział McFeyffe Hamiltonowi, kiedy weszli. –

Widziałeś go wcześniej? Był zbudowany z kamienia, duży jak – nie mógł znaleźć porównania – największy ze wszystkich.

– Będzie cię to kosztowało dziesięć dolarów – powiedział idący z przodu człowieczek.

Schylając się wyciągnął spod stołu glinianą urnę. Na stole znajdowały się sterty afiszy i broszur. Kilka spadło na podłogę, ale nie zwrócił na nie uwagi.

– Z góry – dodał.

Szperając po kieszeniach, McFeyffe przyglądał się mężczyźnie.

– Gdzie organy? I świece? Czy nie masz nawet świec?

– Nie mogę sobie na nie pozwolić – odparł człowieczek cofając się. – A teraz mów! O co chodzi? Chcesz nawrócić tego heretyka?

Złapał Hamiltona za ramię i zmierzył go wzrokiem.

– Jestem ojciec O'Farrel. Będziesz musiał klęknąć, młody człowieku, i pochylić głowę.

– Czy to zawsze tak się odbywa? – spytał Hamilton. Po chwili przerwy ojciec O'Farrel odezwał się:

– Jak? Co masz na myśli? Hamilton poczuł litość.

– Niech będzie – odparł.

– Nasza organizacja jest bardzo stara – zaczął niepewnie ojciec O'Farrel. – O to ci chodziło?

Powstała przed wiekami.

Jego głos załamał się.

– Nawet przed Babem Pierwszym. Nie jestem pewny co do daty. Mówi się, że... – zająknął się – nie mamy zbyt wielu autorytetów. Bab Pierwszy, rzecz jasna, to 1844 rok. Ale nawet przedtem...

– Chcę rozmawiać z Bogiem – powiedział Hamilton.

– Tak, tak – zgodził się ojciec O'Farrel. – Ja także, młody człowieku.

Pogłaskał Hamiltona po ramieniu, łagodnie, prawie czule.

– Tak jak każdy.

– Nie możesz mi pomóc?

– To bardzo trudne – odparł tamten.

Zniknął w swoim kantorku, niewielkim, zagraconym magazynie. Wrócił sapiąc i wniósł pleciony koszyk wypełniony kośćmi, kawałkami wyschniętych włosów i skóry.

– To wszystko co mamy – wystękał, stawiając koszyk. – Może zrobimy z tego jakiś użytek.

Zapraszam cię...

Kiedy Hamilton delikatnie podniósł kilka kawałków, McFeyffe odezwał się zdenerwowany:

– Spójrz na nie. Sztuczne. Jarmarczne ciekawostki.

– Robimy co możemy – zauważył ojciec O'Farrel składając ręce.

– Czy jest jakaś możliwość dostania się tam? – spytał Hamilton.

Po raz pierwszy ojciec O'Farrel uśmiechnął się.

– Umarłbyś, młody człowieku.

Ściskając parasol, McFeyffe ruszył w kierunku drzwi.

– Chodźmy – powiedział do Hamiltona. – Wyjdźmy stąd, mam dosyć.

– Zaczekaj – odezwał się Hamilton. McFeyffe zatrzymał się i spytał:

– Dlaczego chcesz rozmawiać z Bogiem? Co to pomoże? Zrozum sytuację.

– Tylko on może nam powiedzieć, co się stało – odparł Hamilton.

– Nie dbam o to, co się stało. Wychodzę.

Nerwowymi ruchami Hamilton ułożył krąg z kości i zębów, pierścień ze szczątków.

– Podaj mi rękę – powiedział do McFeyffe'a. – Też jesteś w to zamieszany.

– Szukasz cudu – stwierdził McFeyffe.

– Wiem – odparł Hamilton. McFeyffe zawrócił.

– To nie przyniesie nic dobrego. Beznadziejne.

Stał, ściskając w dłoni swój czarny parasol. Ojciec O'Farrel przechadzał się nerwowo, oszołomiony tym, co się dzieje.

– Chcę wiedzieć, jak zaczęła się ta historia – zastanawiał się Hamilton. – Ten Bab Drugi, ten cały bałagan. Jeśli nie będę mógł wyjaśnić...

Udało mu się zabrać parasol McFeyffe'owi. Oddychając głęboko, uniósł go wysoko. Jak skrzydła sępa, druty i tkanina rozpostarły się nad nimi szeroko, kilka kropel wody spadło na ziemię.

– Co zamierzasz? – spytał McFeyffe.

Usiłując chwycić parasol, przeszedł przez krąg szczątków.

– Łap – powiedział do McFeyffe'a Hamilton. Trzymając mocno rączkę parasola, odezwał się do ojca O'Farrela:

– Czy w tym dzbanku jest woda?

– T...ak – wyjąkał tamten, zaglądając do kamionkowego naczynia. – Trochę... na dnie.

– Gdy będziesz mieszał wodę – powiedział Hamilton – recytuj Podniesienie.

– Podniesienie? – Zdumiony ojciec O'Farrel cofnął się. – Ja...

– *Et resurrexit*. Pamiętasz?

– O, tak, wierzę w to – przytaknął ojciec O'Farrel. Kiwając głową, niepewnie zanurzył dłoni w naczyniu ze święconą wodą i zaczął skrapiać parasol.

– Bardzo wątpię, czy to zadziała.

– Recytuj – polecił Hamilton. Ojciec O'Farrel zaczął mamrotać:

– *Et resurrexit tertia die secundum scripturas, et ascendit in coelum, sedet ad dexteram partis, et iterum venurus est cum gloria judicare vivos et mortuos, cujus regni non erit finis...*

Parasol w ręku Hamiltona zatrzepotał. Stopniowo, mozolnie zaczął się wznosić. McFeyffe

wydał z siebie nieartykułowany jęk i kurczowo złapał za rączkę parasola. Po chwili czubek parasola uderzał już w sufit magazynu. Hamilton i McFeyffe wisieli bezradnie, ich nogi kołysały się w głębokim cieniu.

– Okienko – wykrztusił Hamilton. – Otwórz je.

W dole biegając jak spłoszona mysz, ojciec O'Farrel znalazł długą tyczkę. Okienko udało się otworzyć. Wilgotne, nocne powietrze wleciało do środka i odór stęchlizny ulotnił się. Uwolniony parasol wystrzelił w niebo. Popadający w ruinę, drewniany budynek zniknął pod nimi. Kiedy wznosili się coraz wyżej, utuliła ich chłodna, gęsta mgła. Teraz byli już na poziomie Twin Peaks. Kołysali się nad ogromnym San Francisco, wielkim półmiskiem migocących żółtych świateł.

– Co... – krzyknął McFeyffe. – Co się stanie, jeśli spadniemy?

– Módl się o siłę – odkrzyknął Hamilton, zamykając oczy i ściskając kurczowo rączkę parasola.

Mknęli ku górze, zwiększając prędkość z każdą sekundą. Po chwili Hamilton odważył się otworzyć oczy i spojrzeć w niebo. Ciągnął się tam bezkresny obszar złowieszczych, czarnych chmur. Co było za nimi? Czy On czekał? Parasol szybował w ciemnościach nocy. Teraz było już za późno, żeby wrócić.

Gdy wznosili się, bezmiar ciemności zaczął się rozjaśniać. Warstwa chmur pokryła ich wilgocią, kiedy mokry parasol prześlizgiwał się szybko przez obłoki. Unosili się teraz już nie pośród ciemnej nocy, lecz w bezbarwnej, szarej masie, nieufornym bezkresie nicości bez kształtu.

Poniżej leżała Ziemia.

Był to najdoskonalszy widok Ziemi, jaki Hamilton kiedykolwiek oglądał, w zasadzie zgodny z jego oczekiwaniami.

Była wyraźnie kulista. Zawieszona w swojej atmosferze kołysała się cicho – mroczny, imponujący obiekt.

Imponujący, bo jedyny w swoim rodzaju. Wstrząśnięty Hamilton zdał sobie sprawę, że nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzega innych planet. Wpatrywał z uwagą, dokładnie rozglądał się wokoło, lecz niechętnie przyjmował do wiadomości to, co widzi.

Na firmamencie znajdowała się tylko Ziemia. Wokół niej krążyło ogniste ciało niebieskie. Dużo mniejsze... jak komar brzęczący i latający wokół gigantycznej, bezwładnej masy materii. To... – przeszył go dreszcz – było Słońce. Było malusieńkie. I... poruszało się!

Si muove. Lecz nie Ziemia. Si muove – Słońce.

Na szczęście, płonący kawałek fosforyzującej materii krążył daleko od potężnej Ziemi. Poruszał się powoli, jego całkowity obrót trwał dwadzieścia cztery godziny. Po tej stronie znajdowała się jeszcze mniejsza, niemal niezauważalna plamka. Nadzarty kawałek podobnego do pumeksu tworzywa mozolnie sunął naprzód, zbędny i bez znaczenia.

Księżyc.

Było niedaleko. Parasol mógł zanieść tam Hamiltona, nawet na odległość ręki. Z niedowierzaniem spoglądał na Księżyc, aż ten zniknął w szarej zawieszynie. Czyżby nauka błędziła? Czyżby cała koncepcja wszechświata była fałszywa? Monumentalna struktura kopernikowskiego systemu heliocentrycznego była zła?

Oglądał stary, nieaktualny, geocentryczny wszechświat z gigantyczną nieruchomą Ziemią, jedyną planetą. Teraz mógł odnaleźć Marsa i Wenus, skrawki materii nikłe, niemal nie istniejące. I gwiazdy. One również były niewiarygodnie małe... baldachim z drobin. W jednej chwili cały gmach jego kosmologii zachwiało się i rozsypało w proch.

Ale tak działo się tylko tutaj. To był stary, ptolemejski wszechświat. Malutkie Słońce, mikroskopijne gwiazdy, w martwym środku – wielki owal Ziemi, obrzmiały i nadęty, porządkiem tego świata.

Tym samym nie miał on związku z jego światem... dzięki Bogu.

Przyjmując to do wiadomości, nie dziwił się już specjalnie, widząc w dole, znacznie poniżej Ziemi, jasny pasek czerwieni. Jakby na samym dnie tego wszechświata przeprowadzano jakąś prymitywną akcję wydobywczą. Kuźnie, piece hutnicze, nieco dalej coś przypominającego palenisko słało niewyraźne błyski przechodzące od złowieszczej czerwieni do koloru nieokreślonej szarości.

To było Piekło.

A nad nim... zadarł głowę. Teraz widział wyraźnie. Niebo – drugi koniec linii telefonicznej: miejsce, które elektrony, semantycy, eksperci od łączności, psychologzy, połączyli z Ziemią. To był punkt A na wielkim kosmicznym kablu.

Dryfująca nad parasolem szarość odpłynęła. Przez chwilę nie było nic, nawet chłodnego, nocnego wiatru, który zmroził ich kości. Ściskając parasol, McFeyffe patrzył z rosnącym zdumieniem, jak siedziba Boga zbliża się coraz bardziej. Niewiele było widać. Ściana gęstej substancji rozciągała się w nieskończoność, ochronna warstwa uniemożliwiająca jakikolwiek widok.

Nad ścianą wirowało kilka plamek. Cętki biegały i skakały, jak naładowane jony. Jak żywe.

Prawdopodobnie anioły, lecz były za daleko, aby mieć pewność. Parasol wznosił się, ciekawość Hamiltona rosła. Co najdziwniejsze, był zupełnie opanowany. W tych warunkach odczuwać emocje było niemożliwością. Jeśli nie kontrolowałyby się całkowicie, zostałyby zgniecione. Jedno albo drugie, nic pośrodku. Po następnych pięciu minutach unosił się już nad ścianą. On i McFeyffe zajrzę do Nieba.

Daleka droga – pomyślał.

Daleka droga od chwili, kiedy stali naprzeciw siebie w hallu bewatronu, kłócąc się o drobiazg...

Stopniowo, niemal niezauważalnie, ruch parasola słabł. To była granica. Wyżej nie było już góry. Hamilton zastanawiał się leniwie, co będzie dalej. Czy parasol zacznie spadać, tak spokojnie, jak się wznosił? Czy też runie, rzucając ich w sam środek Nieba?

Coś pojawiło się w zasięgu wzroku. Znajdowali się obok płaszczyzny ochronnego tworzywa. W głowie Hamiltona zrodziła się nedorzeczna myśl: materia ta znajdowała się tutaj, nie po to, by uniemożliwić obcym podglądanie, lecz by uchronić mieszkańców przed upadkiem. Aby zatrzymać ich przed powrotem do świata, z którego przybyli przed wiekami.

– Jesteśmy – wysapał McFeyffe. – Prawie jesteśmy.

– Taak... – odparł Hamilton. – Robi to na człowieku wrażenie.

– Rzeczywiście robi – przyznał.

Niemal to zauważył... Jeszcze sekunda... pół sekundy... pojawił się nieokreślony krajobraz. Dziwna wizja, coś w rodzaju wiru pokrytego mgłą. Staw? Ocean? Ogromne jezioro, wirujące wody. W oddali góry pokryte ciągnącymi się w nieskończoność zagajnikami. Nagle kosmiczne

jezioro zniknęło, zasłoniła je kurtyna. Po chwili podniosła się. I znowu było je widać, ogromna przestrzeń wilgotnej substancji.

Największe jezioro, jakie kiedykolwiek widział. Było wystarczająco duże, aby pomieścić cały świat. Już nigdy nie spodziewał się zobaczyć większego. Na próżno zastanawiał się, jaka jest jego pojemność. W środku znajdowała się gęstsza, mniej przezroczysta substancja. Jakby jezioro wewnątrz drugiego jeziora. Czyżby całe Niebo było gigantycznym jeziorem? W zasięgu jego wzroku nie było nic poza nim.

Nie, to nie jezioro. To było oko. Spoglądało na niego i McFeyffe'a.

Nie trzeba było mu mówić, czyje to oko.

McFeyffe coś zaskrzeczał. Jego twarz pociemniała, głos zamarł mu w gardle. Przeszył go paniczny strach, przez chwilę tańczył na brzegu parasola próbując przesunąć skurczone palce, bezskutecznie usiłując odsunąć się z pola widzenia. Spojrzenie oka skupiło się na parasolu. Z krótkim sykiem parasol zapalił się. Momentalnie płonące części i dwaj wrzeszczący mężczyźni runęli w dół.

Nie spadali tak, jak się wznosili. Spadali z prędkością meteorów. Obaj byli nieprzytomni. Hamilton miał niejasne wrażenie, że świat jest już niedaleko. Wtedy nastąpił wstrząs. Znowu został podrzucony wysoko w powietrze, prawie na tę samą wysokość, z powrotem do Nieba.

Znowu upadek, kolejne uderzenie. Po wielu odbiciach jego fizyczne, „ja” legło bezwładnie. Przywarł do powierzchni Ziemi, trzymając się desperacko zwiedłej trawy rosnącej na suchej czerwonej glebie. Ostrożnie otworzył oczy i rozejrzał się wokoło. Leżał na rozległej równinie. Wstawał ranek. Było chłodno. W oddali widniały niewielkie budynki. Niedaleko leżało nieruchome ciało McFeyffe'a.

Cheyenne, Wyoming.

– Zgaduję – stwierdził Hamilton po długiej przerwie – że jest to miejsce, do którego powinienem przyjść najpierw.

McFeyffe nic nie odpowiedział. Leżał nieprzytomny. Jedynym dźwiękiem był piskliwy szczebiot ptaków usadowionych na cherlawym drzewie kilkaset jardów dalej.

Uniósł się z trudem i na chwiejnych nogach dotarł do McFeyffe'a. Zbadał swego towarzysza. McFeyffe żył i nie odniósł żadnych widocznych obrażeń. Jego oddech był płytki i chrapliwy. Cienka strużka śliny z półotwartych ust spłynęła mu po podbródku. Jego twarz nadal wyrażała zdumienie, strach i przerażenie. Dlaczego przerażenie? Czy McFeyffe nie był zadowolony z ujżenia swego Boga?

Coraz więcej osobliwych faktów do rozgryzienia. Więcej zwariowanych danych w tym zwariowanym świecie. Znajdował się w duchowym centrum babistycznego wszechświata w Cheyenne, Wyoming. Bóg skorygował błędny kurs. McFeyffe skierował go na fałszywy tor, ale udało mu się zawrócić. Tillingford mówił prawdę, to do Proroka Horacego Clampa kazała

mu wrócić Opatrzność.

Z ciekawością obserwował chłodny, szary zarys pobliskiego miasta. W środku, pomiędzy nieokreślonymi budowlami, wznosiła się kolosalna iglica. Jarzyła się mocno w porannym blasku słońca. Drapacz chmur? Pomnik?

Wcale nie. Była to świątynia Jedynej Prawdziwej Wiary. Z tej odległości, kilka mil dalej, widział Grób Baba Drugiego. Potęga Babizmu, doświadczana w tej chwili, wydawać się mogła zwykłą błahostką w porównaniu z tym, co widział przed sobą.

– Wstawaj – powiedział do McFeyffe’a dostrzegając, że ten się poruszył.

– Nie – odpowiedział McFeyffe. – Idź sam. Ja zostaję tutaj.

Oparł głowę na ramieniu i zamknął oczy.

– Poczekam.

Hamilton rozważał sytuację. Znajdował się tutaj, w centrum Wyoming, w chłodny, jesienny poranek, jedynie z trzydziestoma centami w kieszeni. Ale co powiedział Tillingford? Wzdrygnął się. Chyba warto spróbować, w końcu nie miał dużego wyboru.

– Panie – zaczął, przyjmując zwyczajową postawę: uklękawszy na jedno kolano, ze złożonymi rękami, oczami zwróconymi pobożnie ku niebu. – Nagródź Twego pokornego sługę zgodnie ze zwyczajową stawką płac dla elektroników klasy Cztery-A. Tillingford wspominał o czterystu dolarach.

Przez moment nic się nie działo. Zimny, jałowy wiatr przenikał również spod czerwonej gliny, wywołując szelest suchych traw i szum zardzewiałych puszek od piwa. Nagle powietrze nad nim zafalowało.

– Schowaj głowę – ryknął do McFeyffe’a.

Deszcz monet spadł na dół; błyszczący rój pięcio-, dziesięciocentówek, ćwierć – i półdolarówek. Z dźwiękiem podobnym do hurkotu węgla sunącego po cynowej rynnie monety spadały w dół, ogłuszając go i oślepiając. Kiedy ustał potok pieniędzy, zaczął je zbierać.

Nie było czterystu dolarów, otrzymał zaledwie żebraczą zapomogę. Chociaż swoją drogą, było to tyle, na ile zasłużył. Po przeliczeniu okazało się, że ma czterdzieści dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Przynajmniej będzie miał za co jeść. A kiedy to się skończy...

– Nie zapominaj – mruknął niepewnie McFeyffe, usiłując wstać – że jesteś mi winien dziesięć dolarów.

McFeyffe nie wyglądał na zdrowego. Jego ogromna twarz była pokryta plamami, tłuste fałdy zwijały się wokół kołnierzyka, palce zaś nerwowo szarpały drgający policzek. Dokonała się w nim zdumiewająca przemiana. Kiedy McFeyffe ujrzał na własne oczy swego Boga, załamał się zupełnie. To spotkanie twarzą w twarz było dla niego szokiem.

– Czy nie wyglądał tak, jak Go sobie wyobrażałeś? – zapytał McFeyffe’a Hamilton, kiedy otepiali brnęli ku autostradzie.

McFeyffe stęknął i wypluł czerwony gliniany pył na kępę zielska. Wlókł się obok Hamiltona z rękami w kieszeniach, z rozpaczą w oczach, przygarbiony, jak człowiek doprowadzony na skraj przepaści.

– Oczywiście, to nie moja sprawa – powiedział po chwili Hamilton.

McFeyffe mógł tylko mruknąć w odpowiedzi:

– Napiłbym się czegoś.

Kiedy weszli na skarpę autostrady, zajrzał do notesu.

– Zobaczymy się w Belmont. Daj mi te dziesięć dolarów. Potrzebuję na samolot.

Hamilton z niechęcią odliczył dziesięć dolarów drobnymi. McFeyffe wziął je bez słowa.

Znajdowali się już na przedmieściach Cheyenne, kiedy Hamilton zauważył coś złowróżbnego i złowieszczego zarazem: na karku McFeyffe'a tworzył się rząd brzydkich, nabrzmiałych czerwienią wrzodów, ogniste piętna, które powiększały się i rosły w oczach.

– Czyraki – zauważył ze zdziwieniem Hamilton.

McFeyffe spojrział na niego z niemym cierpieniem w oczach. Dotknął ostrożnie lewej szczęki.

– I ropień przy zębie mądrości – dodał zgaszonym głosem. – Czyraki i ropień. Zostałem ukarany.

– Ale za co?

Znowu nie było odpowiedzi. McFeyffe zagłębił się w rozmyślaniach.

Byłby szczęśliwy, zastanawiał się Hamilton, gdyby wytrzymał spotkanie z Bogiem. A tak, czeka go żmudna praca pokuty za grzechy. Pozbyć się ropnia i czyraków mógł tylko dzięki rozgrzeszeniu. McFeyffe, urodzony oportunistą, znajdzie jakiś sposób.

Przy pierwszym przystanku autobusowym zatrzymali się i zmęczeni opadli na wilgotną ławkę. Przechodnie zdążający do miasta na sobotnie zakupy przyglądali się im z uwagą.

– Pielgrzymi – wyjaśnił lodowato Hamilton w odpowiedzi na ciekawskie spojrzenia. – Przyczołgaliśmy się na kolanach z Battle Creek w Michigan.

Tym razem nie było kary. Spoglądając w górę, Hamilton niemal jej pragnął. Element przypadku doprowadzał go do pasji. Zbyt mały był związek między czynem a karą: piorun uderzył pewnie jakiegoś niewinnego mieszkańca Cheyenne, w odległej części miasta.

– O... jest autobus – stwierdził z ulgą McFeyffe zrywając się na nogi. – Wyjmij dziesięciocentówki.

Gdy autobus dotarł do lotniska, McFeyffe wysiadł z niego i niepewnym krokiem skierował się do biura. Hamilton pojechał dalej, w kierunku strzelistej, imponującej budowli będącej Grobem Jedynej Prawdy.

Prorok Horacy Clamp powitał go u wejścia wspaniałej bramy. Po obu stronach stały groźne w swej powadze marmurowe kolumny. Grób był dokładną kopią tradycyjnych nagrobków

antycznych. Mimo zniszczenia, nachalnie epatował swoją wielkością i formą. Masywny, przerażający meczet był estetyczną okropnością. Jak budynki rządowe w Związku Radzieckim został zaprojektowany przez ludzi pozbawionych artystycznego smaku. Jednak w przeciwieństwie do radzieckich biurowców był otynkowany, urozmaicony rokokowymi balustradami i bordiurami, pełen detali, błyszczący wypolerowanymi gałkami i ramami z mosiądzu. Refleksy światła grały na ścianach z terakoty. Monumentalne płaskorzeźby uderzały pompatycznym majestatem; przedstawiały nadnaturalnie wielkie sceny pastoralne typowe dla środkowego Wschodu. Postacie miały wygląd cnotliwy i głupkowate twarze. Były ubrane z bardzo przesadnym przepychem.

– Pozdrawiam cię – oznajmił Prorok, podnosząc pulchną, białą dłoń w geście błogosławieństwa.

Horacy Clamp wyglądał, jakby zszedł z kolorowego obrazka szkółki niedzielnej. Gruby, kołyszący się jak kaczka, z niewidzącym, życzliwym spojrzeniem, w todze i kapturze, podszedł do Hamiltona kierując go do właściwego meczetu. Clamp był chodzącym przykładem islamskiego przywódcy duchowego. Gdy obaj mężczyźni weszli do bogato umeblowanego gabinetu, Hamilton zastanawiał się ponuro, dlaczego tutaj trafił. Czy tak chciał Bóg?

– Spodziewałem się ciebie – powiedział Clamp tonem businessmana. – Zostałem poinformowany o twoim przyjeździe.

– Poinformowany? – Hamilton zdumiał się. – Przez kogo?

– Jak to przez kogo? Przez (Tetragranmatona) oczywiście.

Hamilton był zbity z tropu.

– Uważasz się za Proroka Boga zwanego...

– Jego imienia nie wolno wymawiać – przerwał zrećnie Clamp. – Jest zbyt święte. On woli być określany terminem (Tetragranmaton). Dziwi mnie trochę, że tego nie wiesz. To tajemnica poliszynela.

– Jestem do pewnego stopnia ignorantem – powiedział Hamilton.

– Jak rozumiem, miałeś ostatnio wizję.

– Jeśli chodzi ci o to, że widziałem (Tetragranmatona), odpowiedź brzmi tak.

Zdażył już poczuć awersję do Pękatego Proroka.

– Jaki ON jest?

– Wydaje mi się, że cieszy się dobrym zdrowiem... jak na kogoś w jego wieku. – Hamilton nie byłby sobą, gdyby tego nie dodał.

Clamp przechadzał się po gabinecie. Prawie łysa głowa świeciła jak wypolerowany kamień. Był laboratoryjnym przykładem teologicznego dostojeństwa, a właściwie jego karykaturą. Zbyt majestatyczny, aby być prawdziwy.

Karykatura albo czyjeś wyobrażenie o tym, jak powinien wyglądać Przywódca Jedynej

Prawdziwej Wiary.

– Proroku – zaczął Hamilton bez osłonek. – Jestem jak człowiek tańczący na linie. Znajduję się w tym świecie od czterdziestu godzin, nie więcej... Szczerze mówiąc, wszystko mnie przeraża. Ten świat jest zupełnie stuknięty. Księżyc wielkości ziarna grochu – bzdura. Geocentryzm: Słońce obracające się wokół Ziemi, to prymitywne. I całkiem archaiczne, niezachodnie pojęcie Boga, stary człowiek ciskający monety, węże, pioruny...

Clamp patrzył na niego czule.

– Ależ, mój panie, rzeczy właśnie takie są. To jego dzieło.

– To dzieło, być może. Ale nie moje... Tam, skąd przybywam...

– Może – przerwał Clamp – lepiej byłoby, gdybyś powiedział mi, skąd przybywasz. (Tetragramaton) nie zaznajomił mnie z tym aspektem sprawy. Poinformował mnie, że zmierza tutaj zagubiona dusza.

Hamilton bez większego entuzjazmu wyjaśnił, co się wydarzyło.

– A... – mruknął Clamp, kiedy tamten skończył. Zmartwiony i sceptycznie nastawiony, miotał się po gabinecie założywszy ręce do tyłu.

– Nie – powiedział z przekonaniem. – Naprawdę nie mogę tego zaakceptować. Ale mogłoby tak być, mogłoby. Stoisz tutaj i zapewniasz mnie, twierdzisz, że aż do czwartku żyłeś w świecie, któremu obca była Jego obecność.

– Tego nie powiedziałem. W moim świecie nie manifestowała się niedojrzała, nاپuszoną obecnością. Nic z pierwotnego, plemiennego bóstwa. Hałas i pioruny... ale ON mógł tam być. Zawsze przyjmowałem za pewnik, że był. Działał w subtelny sposób. Zawsze zakulisowo, nie rozwałął sceny swoim kopytem za każdym razem, gdy ktoś przestąpił wyznaczoną linię.

Prorok wyglądał na poruszonego rewelacjami Hamiltona.

– Niesamowite... Nie zdawałem sobie sprawy, że mogą istnieć światy wciąż niewierne.

W tej chwili Hamilton stracił cierpliwość.

– Czy nie możesz pojąć tego, co mówię? Ten drugorzędny wszechświat, ten Bab czy cokolwiek...

– Bab Drugi – przerwał Clamp.

– Kto to jest Bab? I gdzie jest Bab Pierwszy? Skąd wzięły się te wszystkie bzdury?

Zapadła cisza, potem Clamp odezwał się wyniośle:

– Dziewiątego lipca 1850 roku w Tabizie stracono Baba Pierwszego, a dwadzieścia tysięcy jego zwolenników zamordowano bestialsko. Bab Pierwszy był prawdziwym Prorokiem Pana, zmarł, pogrążając w smutku nawet swoich oprawców. W 1909 roku jego szczątki zostały przeniesione na Górę Carmel.

Clamp dramatycznie zawiesił głos, jego oczy pały blaskiem.

– Sześćdziesiąt pięć lat po śmierci, w 1915 roku, Bab pojawił się znowu na Ziemi. Dnia

czwartego sierpnia o ósmej rano zjawił się przed oczami klientów pewnej chicagowskiej restauracji, mimo, że jego szczątki wciąż spoczywają na Górze Carmel. To niezbity fakt.

– Rozumiem – odparł Hamilton. Podniósłszy ręce, Clamp perorował w uniesieniu.

– Jakiego jeszcze dowodu można było żądać? Jakież większy cud widziała ludzkość? Bab Pierwszy był tylko Prorokiem Jedyne Prawdziwego Boga – głos Clampa zadrżał. – A Bab Drugi to ON!

– Dlaczego Cheyenne, Wyoming? – dopytywał się Hamilton.

– Bab Drugi dożył końca swych dni na Ziemi właśnie tutaj. Dwudziestego pierwszego maja 1939 roku na oczach wiernych wzniósł się do Raju niesiony przez pięciu aniołów. Była to wstrząsająca chwila. Ja sam – Clamp nie był w stanie mówić – otrzymałem od Baba Drugiego w ostatniej godzinie Jego życia na Ziemi, Jego... – wskazał na niszę w gabinecie. – W tym sanktuarium znajduje się zegarek Baba Drugiego, Jego wieczne pióro, portfel i sztuczny ząb, reszta zębów była prawdziwa i powędrowały razem z Nim do Raju. Za życia Baba Drugiego byłem jego kronikarzem. Spisałem wiele rozdziałów Biblii na maszynie, którą tu widzisz.

Wskazał na szklane pudło, w którym znajdowała się zniszczona, przestarzała maszyna biurowa Underwooda, Model Piąty.

– A teraz – kontynuował Prorok Clamp – zastanówmy się nad światem, który opisujesz. Zostałeś tutaj przysłany, aby zapoznać mnie z niezwykłą sytuacją. Cały świat, miliardy ludzi żyjących z dala od Jedyne Prawdziwego Boga.

W oczach Proroka pojawił się żarliwy błysk potęgujący się, gdy jego usta wypowiadały słowo:

– Krucjata.

– Posłuchaj – zaczął lękliwie Hamilton, lecz Clamp przerwał mu obcesowo.

– Święta wojna – powtórzył podekscytowany. – Dopadniemy pułkownika T.E. Edwardsa w California Maintenance... natychmiast wykorzystamy rakiety dalekiego zasięgu. Najpierw zarzucimy te skażone rejony literaturą biblijną. Potem tam, gdzie rozpalimy trochę duchowego światła, zjawią się przeszkolone grupy Następnie generalna koncentracja perypatetycznych posłańców prezentujących Prawdziwą Wiarę w różnych środkach przekazu. Telewizja, kino, książki, płyty, oświadczenia. Sądzę, że można będzie przekonać (Tetragranmatona) do piętnastominutowego wystąpienia telewizyjnego. I jeszcze orędzia na płytach długogrających na użytek niewierzących.

Czy rzeczywiście po to, myślał Hamilton, znalazł się w Cheyenne, Wyoming? Przytłoczony pewnością Clampa zaczynał tracić odwagę. Być może był znakiem, wysłanym, aby spełniło się Powszechne Poddanie woli Pana. Może ten świat uczepony do (Tetragranmatonowego) łona był prawdziwy?

– Czy mógłbym obejrzeć Grób? – zapytał asekurancko. – Chciałbym zobaczyć, jak wygląda

duchowe centrum Babizmu Drugiego.

Clamp ocknął się z zamyślenia.

– Co? Oczywiście.

Nacisnął guzik interkomu.

– Skontaktuję się z (Tetragranmatonem). Natychmiast.

Stał na tyle daleko, że musiał pochylić się ku Hamiltonowi, kiedy zwrócił się do niego.

– Jak przypuszczasz, dlaczego ON nie poinformował nas o tym zacofanym wszechświecie?

– Na rumianie, zadowolonej z siebie twarzy Proroka Baba Drugiego pojawiła się niepewność. – Myślałem... – mruknął potrząsając głową. – Nieznane są wyroki boskie.

– Zupełnie nieznane – przytaknął Hamilton.

Wyszedł z gabinetu i znalazł się w marmurowym korytarzu pełnym ech.

Nawet o tej porze kręcili się tu i tam pobożni wyznawcy. Dotykali świętych przedmiotów, drobiazgow. Ich widok przygnębił Hamiltona. W jednym z pomieszczeń grupa schludnie ubranych mężczyzn i kobiet, w większości w średnim wieku, śpiewała hymny. Hamilton zamierzał ich ominąć, ale przemyślał sytuację.

Nad grupą wiernych unosiła się promieniująca, nieco zazdrosna Obecność. Być może, zawyrokował, dobrze byłoby przyłączyć się do nich.

Stanął przy jakiejś grupie i niechętnie zaczął śpiewać. Nie znał pieśni, lecz szybko wyczuł ogólny rytm. Pieśni były nad wyraz proste, ciągle pojawiały się te same frazy i tony. Monotonne zaklęcia powtarzały się bez końca. (Tetragranmaton) miał nienasycony apetyt. Infantylna, nieciekawa osobowość wymagająca nieustannych pochwał, i to w najprostszej formie. Równie skory do gniewu, jak i do popadania w euforię, (Tetragranmaton) był chętny i gotowy sycić się tymi krzykliwymi pochlebstwami.

Utrzymanie równowagi. Sposób na uspienie Bóstwa. Cóż za delikatny mechanizm. Każdemu grozi niebezpieczeństwo... łatwo obudzić Obecność, ta zawsze jest w pobliżu, zawsze nasłuchuje.

Wywiązawszy się ze swoich religijnych obowiązków, spacerował po okolicy. Zarówno budynki jak i ludzie przesiąknięci byli Obecnością (Tetragranmatona). Czuł ją wszędzie, jak gęstą, oblepającą mgłę. Muzułmański Bóg unosił się dookoła. Z uwagą przyjrzał się oświetlonej tablicy pamiątkowej. „Lista obecności wiernych. Czy jest tu twoje nazwisko?”

Spis był ułożony alfabetycznie. Przeleciał go wzrokiem i stwierdził, że jego nazwiska brakowało. Tak jak i zauważył nie bez złośliwej satysfakcji – nazwiska McFeyffe’a. Biedny McFeyffe. Ale może mu się uda? Brakowało też Marshy. Lista była zdumiewająco krótka. Czyżby z całego rodzaju ludzkiego jedynie tak skromna grupa zasługiwała na zbawienie?

Zduśił w sobie urazę. Na chybił trafił szukał wielkich nazwisk: Einstein, Albert Schweitzer, Gandhi, Lincoln, John Donnę. Nikogo z nich tam nie było. Jego irytacja rosła. Co to oznaczało?

Czy zostali strąceni do Piekła, ponieważ nie byli uczniami Baba Drugiego z Cheyenne, Wyoming?

Oczywiście. Tylko wierni zostali zbawieni. Resztę, niezliczone miliardy, przeznaczono na pastwę ogni piekielnych. Rzędy prostackich nazwisk, należących do prowincjuszy, którzy obłąskawili Jedyłą Prawdziwą Wiare. Nieskomplikowane osobowości, miernoty bez znaczenia...

Jedno z nazwisk było mu znajome. Przez długi czas wpatrywał się w nie, myśląc uporczywie do kogo należy. Z rosnącym niepokojem zastanawiał się, dlaczego tutaj trafiło i jakie to miało znaczenie.

Silvester Arthur

Ten stary weteran wojenny! Srogi oficer leżący w szpitalu w Belmont. On był wybrańcem Jedynej Prawdziwej Wiary.

To nie było pozbawione sensu. Wprost przeciwnie, miało sens tak wielki, że przez chwilę stał, patrząc nie widzącym wzrokiem na wygrawerowane nazwisko.

Powoli pojął, że elementy łamigłówki zaczynają do siebie pasować. Nareszcie, po długim czasie, ułożył ją.

Teraz musiał wrócić do Belmont. I znaleźć Arthura Silvestera.

Na lotnisku w Cheyenne Hamilton rzucił wszystkie swoje pieniądze na ladę i powiedział:

– Bilet do San Francisco. Może być przedział bagażowy.

Pieniądzy nie starczyło, ale krótki telegram do Marshy uzdrowił sytuację... i wyczerpał jego konto bankowe. Wraz z przekazem przyszła tajemnicza, płaczliwa wiadomość: „Może nie powinienes wracać. Dzieje się ze mną coś straszego”.

Nie był szczególnie zaskoczony... wyobrażał sobie, co to mogło być.

Samolot dowiózł go na lotnisko w San Francisco tuż przed południem. Stamtąd miał autobus Greyhounda do Belmont. Frontowe drzwi domu były zamknięte, na oknie siedział przygnębiony żółty kiciuś Matolek obserwując, jak Hamilton szuka klucza po kieszeniach. Marshy nie było widać, ale wiedział, że jest w środku.

– Jestem – oznajmił, otwierając drzwi.

Z zaciemnionej sypialni dobiegło słabe pochlipywanie.

– Kochanie, chcę umrzeć – jęczała bezradnie. – Nie mogę wyjść. Nie patrz na mnie, proszę, nie patrz...

Hamilton zdjął płaszcz i podniósł słuchawkę telefonu.

– Wróciłem – powiedział, kiedy Bill Laws odezwał się w końcu. – Ściągnij resztę grupy, jeśli możesz. Joan Reiss, tę kobietę, jej syna i McFeyffe’a.

– Edith Pritchett z synem jest ciągle w szpitalu – odparł Laws. – Bóg jeden wie, gdzie są inni. Czy musimy tak się spieszyć? Mam coś w rodzaju kaca – wyjaśnił.

– Może dziś wieczorem?

– Lepiej jutro. Jutro jest niedziela. A o co chodzi?

– Sądzę, że w końcu pojąłem to wszystko.

– Właśnie wtedy, kiedy zaczęło mnie to bawić – odparł ironicznie. – A jutro jest wielki dzień. Panie, Panie, ty nam pokazać niezła numer.

– Co się z tobą dzieje?

– Nic. Wszystko grać – zachichotał Laws bez humoru. – Zupełnie nic.

– Spotkamy się więc w niedzielę.

Hamilton odłożył słuchawkę i ruszył do sypialni.

– Wyjdz – krzyknął ostro do żony.

– Nie – odparła z determinacją. – Nie wolno ci patrzeć na mnie. Tak zdecydowałam.

Stojąc w drzwiach, wsunął ręce do kieszeni po papierosy, ale okazało się, że wypalił wszystkie z Silky. Zastanawiał się, czy siedzi nadal w jego fordzie coupe zaparkowanym naprzeciw Niebabistycznego Kościoła Ojca O’Farrela. Być może widziała, jak razem z McFeyffe’em wznosili się do Raju. Była niegłupia. Więc nie powinna się dziwić. W zasadzie nie poniósł żadnych szkód, ale będzie mógł być tego pewien dopiero wtedy, gdy dostanie samochód z powrotem.

– No, chodź, kochanie – powiedział do żony. – Jestem głodny i zjadłbym śniadanie. A jeśli jest, tak jak myślę...

– To straszne. – W głosie Marshy zabrzmiał lęk i ból. – Miałam zamiar zabić się. Dlaczego? Co takiego zrobiłam? Za co ta kara?

– To nie kara – odezwał się łagodnie. – To minie.

– Naprawdę? – Wstąpiła w nią słaba nadzieja. – Nie mylisz się?

– Jeśli odpowiednio zadziałamy, wszystko minie. Posiedzę w pokoju gościnnym z kiciusiem, będziemy czekać.

– On już widział – wydusiła Marsha. – Jest zde gustowany.

– Koty łatwo się uprzedzają.

Wrócił do pokoju, rzucił się na tapczan i czekał cierpliwie. Przez jakiś czas nic się nie poruszało. Potem z ciemnej sypialni dobiegły ciężkie odgłosy kroków. Wyłoniła się niezdarna, niekształtna postać. Gorące współczucie przepełniło duszę Hamiltona. Biedna, potępiona istota... niepodobna tego zrozumieć.

Pojawiła się w drzwiach. Tłusta, przysadzista. Chociaż ostrzeżony, przeżył szok. Podobieństwo tej istoty do Marshy było znikome. Po jej szorstkich policzkach spływały łzy.

– Co... – szepnęła. – Co mam zrobić?

Wstał i szybko podszedł do niej.

– To nie potrwa długo, nie tylko ciebie to spotkało. Laws powłóczy nogami i mówi dialektem.

– Co tam Laws... Martwię się o siebie.

Wszystko się w niej zmieniło. Miękkie, brązowe niegdyś włosy, były teraz brudnymi, sztywnymi włóknami zwisającymi wokół szyi, płatanią skręconych nici. Jej szara i grudkowata skóra pokryta była pryszczami, ciało bezkształtne i kluskowate jak budyń – groteskowe. Ręce ogromne, paznokcie poszczerbione i sine. Nogi przypominały dwa białe słupy. Pokryte włosami, kończyły się masywnymi, płaskimi stopami. Zamiast swej eleganckiej sukienki nosiła sweter z grubej wełny, poplamioną tweedową spódnicę, tenisówki i opadające skarpety.

Hamilton obejrzał ją z krytyczną miną.

– To wszystko ma sens.

– To boska...

– To nie ma nic wspólnego z Bogiem. Za to bardzo dużo ze starym weteranem wojennym Arthurem Silvesterem. Rąbnięty, stary oficer wierzący w swój zwariowany kult religijny, w swoje stereotypowe idee. Dla niego ludzie twojego pokroju są niebezpiecznymi radykałami, a on wie, jak wyglądają takie kobiety.

Twarz Marshy wykrzywiła się z bólu.

– Wyglądam jak... jak karykatura.

– Wyglądasz tak, jak Silvester wyobraża sobie młodą emancypantkę. I sądzi, że wszyscy Murzyni powłóczą nogami. To będzie ciężko na nas... dopóki nie wydostaniemy się z tego przekłętego świata. Inaczej koniec z nami.

8

W niedzielny ranek Hamiltona obudziło jazgotliwe zawodzenie, wypełniające cały dom. Wyczołgał się z łóżka i przypomniał sobie, że Bill Laws przewidywał jakieś okropne wypadki we wczesnych godzinach Dnia Pańskiego.

Z pokoju gościnnego dobiegał dudniący, skrzeczący hałas. Hamilton wszedł tam i stwierdził, że telewizor w cudowny sposób włączył się sam. Na ekranie coś się poruszało. Pęczniejące plamy krążyły i pulsowały. Cały obraz był szaleńczym wirem ostrej, wręcz wścieklej purpury. Z układu nagłaśniającego hi-fi dochodził grzmiący, bezlitosny ryk pełen piekielnego ognia i potępienia.

Było to poranne niedzielne kazanie. Wygłaszał je sam (Tetragrammaton).

Hamilton wyłączył telewizor i powłókł się do sypialni. Marsha leżała zwinięta w kłębek, usiłowała schować się przed wpadającymi przez okno promieniami słońca.

– Czas wstawać – poinformował ją. – Nie słyszałaś Wszchemmogącego, jak wrzeszczał w living-roomie?

– Co mówił? – mruknęła gniewnie.

– Nic szczególnego. Żałuj za grzechy albo czeka cię wieczne potępienie. Normalne, prymitywne pogrożki.

– Nie patrz na mnie – błagała – odwróć się. Dobry Boże, jestem potworem.

Telewizor zawył znowu w pokoju gościnnym. Nikt nie zamierzał przeszkadzać w cotygodniowej oracji. Usiłując tego nie słuchać, Hamilton poszedł do łazienki i rozpoczął nie kończącą się rutynową kąpiel i golenie. Był już z powrotem w sypialni i ubierał się, kiedy drzwi frontowe się otworzyły.

– O, już są – powiedział do Marshy.

Ubrana, usiłowała doprowadzić do porządku swoje włosy, zawodząc bez przerwy.

– Nie mogę się z nimi spotkać. Odpraw ich.

– Kochanie – powiedział stanowczo, sznurując but – jeśli chcesz wrócić do poprzedniej postaci...

– Wszyscy być w domu? – dobiegł głos Billa Lawsa. – Moja pchnąć, otworzyć drzwi i wejść...

Hamilton pospieszył do pokoju. To był Laws, absolwent fizyki. Ramiona zwisały mu po bokach, a ciało chwiało się na zgiętych kolanach. Łypiąc białkami, sunął w groteskowych podrygach do Hamiltona.

– Jak wszystko wyglądać, uch... – zwrócił się do Hamiltona. – Patrz, człowieku, jak ten mnie urządzić. Uch... przeklęty, w dupę by go kopnąć.

– Czy robisz to celowo? – spytał Hamilton niezbyt pewien, czy śmiać się, czy obrazić.
– Czelowo? – Murzyn spoglądał na niego bezradnie. – Czo ty myśleć, massa Hamilton?
– Albo jesteś całkowicie w rękach Silvestera... albo z ciebie największy cynik, jakiego znam.
Oczy Lawsa zabłyśły.

– W rękach Silvestera? Co to znaczy? – Dialekt minął, Laws stał się czujny i napięty. –
Myślałem, że to sprawa Jego Wiecznego Majestatu.

– Więc ten dialekt był grą?

W spojrzeniu Lawsa pojawiło się ozywienie.

– Walczę z tym, ale coś mnie ciągnie, czuję, jak się wślizguje.

Nagle dojrzał Marszę.

– Kto to?

– Moja żona. Ten potwór trzyma ją w garści – niepewnie tłumaczył Hamilton.

– Jezu! – powiedział Laws miękko. – Co zrobimy?

Drzwi zaskrzypiały znowu. Marsha zniknęła w sypialni. Tym razem była to panna Reiss. Energiczna i groźna, zmierzała do pokoju ubrana w szary urzędniczy kostium, buty na niskim obcasie i okulary w rogowej oprawie.

– Dzień dobry – rzuciła zdyszonym głosem. – Pan Laws powiedział mi, że... – Przerwała zdumiona. – Ten cały harmider – wskazała na telewizor, z którego dochodził ogłuszający wrzask. – u pana też to leci?

– Oczywiście. Daje każdemu wskazówki.

Panna Reiss wyraźnie się odprężyła.

– Już myślałam, że ON tylko mnie wyróżnił.

Przez uchylone drzwi wszedł umęczony Charlie McFeyffe.

– Witajcie – mruknął.

Jego mocno opuchnięta szczęka była obandażowana. Również szyję miał owiniętą, biały opatrunek kończył się gdzieś za kołnierzykiem. Ostrożnie zbliżył się do Hamiltona.

– Nie możesz się tego pozbyć? – spytał z sympatią Hamilton. McFeyffe posępnie pokręcił głową.

– Nie mogę.

– O co w tym wszystkim chodzi? – chciała wiedzieć panna Reiss. – Pan Laws powiedział nam, że chce pan oznajmić coś ważnego. Coś, co dotyczy tego szczególnego spisku.

– Spisek – Hamilton spojrzał na nią z niepokojem – to niewłaściwe określenie.

– Zgadzam się – gorliwie zapewniła panna Reiss, wyraźnie go nie rozumiejąc. – To wykracza daleko poza ramy normalnego spisku.

Hamilton dał za wygraną. Podeszedł do zamkniętych drzwi sypialni i zapukał niecierpliwie.

– Chodź, kochanie, czas jechać do szpitala.

Po długiej chwili pojawiła się Marsha. Włożyła ciężki płaszcz oraz dzinsy i aby ukryć swe mysie włosy, zawiązała na głowie czerwoną chustkę. Nie zrobiła makijażu, byłaby to strata czasu.

– W porządku – odezwała się słabo. – Jestem gotowa.

Hamilton zaparkował plymoutha McFeyffe'a na szpitalnym parkingu. Kiedy cała piątka przemierzała wyżwirowany plac idąc w kierunku szpitala, Bill Laws zapytał:

– Silvester jest kluczem do wszystkiego...?

– Silvester jest tym wszystkim – stwierdził Hamilton. – Wasze sny, twój i Marsha, są rozwiązaniem. Również inne, najprzeróżniejsze fakty, takie jak powłóczenie nogami czy odmienny wygląd mojej żony. Status Baby Drugiego. Cały ten geocentryczny świat. Mam wrażenie, jakbym znał Arthura Silvestera od środka i z zewnątrz. Przede wszystkim od środka.

– Nie mylisz się? – spytał z powątpiewaniem Laws.

– Cała nasza ósemka wpadła w wiązkę protonów w bewatronie. Tylko jedna osoba nie straciła przytomności i układa teraz losy dla każdego z nas. To Silvester nigdy nie stracił przytomności.

– Więc – zauważył rozsądnie Laws – nas tutaj nie ma.

– Fizycznie, leżymy na podłodze bewatronu. Ale psychicznie znajdujemy się tutaj. Uwolniona energia wiązki przekształciła osobisty świat Silvestera we wszechświat nas wszystkich. Podlegamy logice religijnego dziwaka, starego człowieka, który przejął jakiś zwariowany kult panoszący się w Chicago w latach trzydziestych. Znajdujemy się we wszechświecie, gdzie funkcjonują wszystkie jego obskuranckie i pobożne zabobony. Jesteśmy w jego głowie. – Wzruszył ramionami. – Ten krajobraz. Ten teren. Zwoje mózgowe; wzgórza i doliny wyobraźni Silvestera.

– O, bogowie – szepnęła panna Reiss. – Jesteśmy w jego mocy. Próbuje nas zniszczyć.

– Wątpię, czy jest świadomy tego, co się stało. W tym cała ironia. Silvester prawdopodobnie nie widzi niczego niewłaściwego w tym świecie. Zresztą dlaczego miałby widzieć? To świat jego własnej wyobraźni, w którym przebywał przez całe życie.

Weszli do budynku szpitalnego. Ze wszystkich pokoi dochodził agresywny ryk (Tetragranmatonowego) kazania niedzielnego; w hallu nie było nikogo.

– Słusznie – przyznał Hamilton. – Zapomniałem o tym. Musimy być ostrożni.

W informacji też było pusto. Prawdopodobnie cały personel przysłuchiwał się kazaniu. Sprawdziwszy automatyczną księgę adresową, Hamilton znalazł numer pokoju Silvestera. Po chwili jechali na górę cichą windą hydrauliczną.

Drzwi do pokoju Arthura Silvestera były szeroko otwarte. W środku siedział chudy, wyprostowany starszy mężczyzna, z napięciem wpatrując się w ekran telewizyjny. Znajdowali się tam również pani Pritchett i jej syn Dawid. Kręcąc się niespokojnie, z ulgą powitali grupę,

która weszła do pokoju. Silvester nie poruszył się. Siedział naprzeciw swego Boga nieugięty, z fanatyczną surowością zapatrzony we wściekły wir groźnego chaosu sączącego się z ekranu i napelniającego jego duszę rozrzewnieniem.

Widocznie Arthur Silvester nie był zdziwiony tym, że zwracał się do niego Twórca. To naturalne, po prostu część jego porządku dnia. W niedzielny poranek przyjmował cotygodniową porcję stawy duchowej.

Dawid Pritchett, zirytowany, podszedł do Hamiltona.

– Cóż to u diabła? – dopytywał się, wskazując na ekran. – Nie mogę tego znieść.

Jego matka, pulchna kobieta w średnim wieku, siedziała gryząc jabłko. Poza ledwie widoczną niechęcią do głośnego zgiełku była zupełnie obojętna wobec zjawiska na ekranie.

– To trudne do wytłumaczenia – powiedział Hamilton chłopcu. – Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie natknąłeś się na Niego.

Stara, koścista czaszka Arthura Silvestera odwróciła się nieco, ostre i przeszywające spojrzenie dwojga szarych oczu spoczęło na Hamiltonie.

– Żadnych rozmów – powiedział głosem, który zmroził Hamiltona.

Odwrócił się z powrotem w kierunku ekranu.

To był człowiek, w którego świecie się znaleźli. Po raz pierwszy od czasu wypadku Hamilton poczuł autentyczny, paraliżujący strach.

– Ja myśleć – mruknął Laws półgębkiem – że my musimy posłuchać ta okropna mowa.

Wydawało się, że będzie tak, jak mówi Laws. Jak długo ON tu występował, czy zawsze plótł takie bzdury?

Po następnych dziesięciu minutach pani Pritchett miała dosyć. Wstała zirytowana i podeszła do reszty grupy, stojącej w rogu pokoju.

– Na Boga – uskarżała się. – Nigdy nie mogłam znieść tych patetycznych ewangelistów. A tak hałaśliwych nie słyszałam chyba w całym swoim życiu.

– Będzie mówił dalej – odrzekł rozbawiony Hamilton. – Jest na fali.

– Każdy w szpitalu to ogląda – wyjaśniła pani Pritchett z kwaśną miną. – Nie jest to dobre dla Dawida... próbowałam nauczyć go widzieć świat racjonalnie. Niedobrze, że się tu znalazł.

– Rzeczywiście – zgodził się Hamilton – niedobrze.

– Chcę, aby mój syn był właściwie wykształcony – wyznała szczerze, a jej ozdobny kapelusz przekrzywił się – żeby znał klasyków, doświadczył piękna życia. Jego ojciec, Alfred B. Pritchett, przetłumaczył wspaniale „Iliadę”. To sztuka przez duże S. Sądzę, że w życiu każdego powinno się znaleźć miejsce na wielką sztukę, prawda? To może uczynić ludzką egzystencję bogatszą i bardziej znaczącą.

Pani Pritchett była prawie takim samym nudziarzem jak (Tetragrammaton).

– Sądzę, że nie wytrzymam dłużej niż minutę. A ten straszny, stary człowiek siedzi

i wysłuchuje tych bredni – odezwała się Joan Reiss, stojąc tyłem do ekranu.

Jej twarz skrzywiła się spazmatycznie.

– Mam ochotę wziąć cokolwiek i roztrzaskać mu na głowie.

– Paniusiu – powiedział Laws. – Ty mu to zrobić, a on cię tak urządzić, jak jeszcze nigdy.

Pani Pritchett z przyjemnością przysłuchiwała się dialektowi Lawsa.

– Akcenty regionalne brzmią tak słodko dla ucha – powiedziała głupio. – Skąd pan pochodzi, panie Laws?

– Clinton, Ohio – odparł tracąc swój akcent.

Rzucił jej gniewne spojrzenie, nie przewidział takiej reakcji.

– Clinton, Ohio – powtórzyła pani Pritchett, zachowując nadal swój dobrotliwy zachwyty. – Przejeżdżałam kiedyś tamtędy. Czy nie w Clinton jest przypadkiem ta cudowna opera?

W czasie gdy Hamilton odwracał się do żony, pani Pritchett zaczynała wyliczać swoje ulubione opery.

– Ta kobieta nie zauważyłaby nawet, że świat przestał istnieć.

Mówił cicho, ale kazanie właśnie dobiegło końca. Poplątany, szaleńczy wir zniknął z ekranu. Momentalnie w pokoju zaległa cisza. Hamilton usłyszał, jak głośno rozbrzmiewają jego słowa.

Powoli, nieubłaganie, głowa Silvestera odwróciła się na patykowatej szyi.

– Przepraszam – odezwał się cicho lodowatym głosem. – Czy macie coś do powiedzenia?

– Tak jest – przyznał Hamilton, teraz nie mógł już się wycofać. – Chcę z tobą porozmawiać, Silvester. Nasza siódemka ma poważną sprawę do załatwienia. A ty jesteś przeciwko nam.

Telewizor w kącie pokoju pokazywał grupę aniołów radośnie śpiewających pełne harmonii, popularne hymny. Bezmyślne, puste twarze. Kołysali się rozmarzeni, wprowadzając w ponure rytmy łagodne jazzowe akcenty.

– Mamy problem – odezwał się Hamilton, patrząc na starego człowieka.

Silvester mógł prawdopodobnie cisnąć ich wszystkich do Piekła. To w końcu jego świat i jeśli ktokolwiek mógł porozumieć się z (Tetragrammatonem), to był nim na pewno Arthur Silvester.

– W czym rzecz? – spytał Silvester. – Dlaczego nie jesteście na nabożeństwie?

Ignorując go Hamilton kontynuował:

– Dokonałiśmy odkrycia dotyczącego naszego wypadku. A propos, jak się goją twoje rany?

Uśmiech chłodnej satysfakcji przemknął przez zwiędniętą twarz Silvestera.

– Moje rany... – stwierdził – zagoiły się. Dzięki Wierze, a nie tym wścibskim lekarzom. Modlitwa i wiara pomagają człowiekowi przejść przez każdą próbę. To, co określasz jako „wypadek”, było tylko środkiem, za pomocą którego Opatrzność doświadczyła nas. To boski sposób sprawdzania, jaką naturę posiadamy.

– O, nie – zaprotestowała pani Pritchett, uśmiechając się ufnie. – Jestem pewna, że

Opatrzność nie poddawałaby ludzi takiej próbie.

Stary mężczyzna obserwował ją badawczo.

– Jedyne Prawdziwy Bóg – stwierdził kategorycznie – jest surowym Bogiem. Karze i nagradza, tak jak uważa za słuszne. Jest naszym przeznaczeniem poddać mu się. Rodzaj ludzki został stworzony tu, na Ziemi, by wypełniła się Wola Kosmicznej Władzy.

– Z naszej ósemki – powiedział Hamilton – siedmioro straciło przytomność przy upadku. Jedno pozostało przytomne. To ty.

Silvester pokiwał głową z zadowoleniem.

– Kiedy spadałem – wyjaśnił – modliłem się do Jedyne Prawdziwego Boga, by mnie ocalił.

– Przed czym? – wtrąciła panna Reiss. – Przed jego własną próbą?

Machnięciem ręki Hamilton przerwał jej i mówił dalej:

– W bewatronie wyzwoliło się dużo energii. Normalnie każdy z nas posiada własny obraz świata. Ale ponieważ wszyscy straciliśmy przytomność, a ty nie...

Silvester nie słuchał. Patrzył uważnie na Billa Lawsa. Święte oburzenie zapłonęło na jego zapadniętych policzkach.

– Czy to – odezwał się wysokim głosem – kolorowy stoi tutaj?

– To nasz przewodnik – wyjaśnił Hamilton.

– Zanim będziemy dalej rozmawiać – odparł spokojnie Silvester – muszę prosić tę kolorową osobę, aby opuściła pokój. To prywatne pomieszczenie białego człowieka.

– Niech cię piekło pochłonie! – nie wytrzymał Hamilton. Było to poniżej granicy bezpieczeństwa. Nie miał żadnego usprawiedliwienia. Słowa przyszły same, tak spontanicznie...

Zobaczył, że twarz Silvestera kamienieje. No cóż, stało się. Można więc było ciągnąć dalej.

– Pomieszczenie białego człowieka? Żeby ten Bab Drugi czy jakkolwiek się zwie, ten (Tetragranmaton), którego wymyśliłeś, mógł usiąść i posłuchać, co ty mówisz. On, mimo że jest karykaturą Boga, jest więcej wart niż ty jako człowiek. Choć mówi za dużo.

Pani Pritchett z trudem chwyciła powietrze. Dawid chichotał. Panna Reiss i Marsha, przerażone; cofnęły się mimowolnie. Laws stał sztywno z sarkastyczną miną. W kącie McFeyffe ze znużeniem opatrywał szczękę. Wydawało się, że niewiele słyszał.

Arthur Silvester podnosił się powoli. Nie był już człowiekiem, był żądną zemsty siłą, która przewyższała w nim człowieczeństwo. Stróż porządku, bronił swego czczonego bóstwa, swego królestwa białej rasy i osobliwego honoru. Dygotał całym wychudzonym ciałem, z głębi którego napływała trująca nienawiść.

– Widzę, że kochasz Murzynów.

– Zgadza się – przyznał Hamilton. – Jestem ateistą i komunistą na dodatek. Spotkałeś moją żonę. Rosyjski szpieg. Widziałeś mojego przyjaciela Billa Lawsa? Absolwent fizyki,

wystarczająco porządny, by zasiąść przy stole z każdym człowiekiem. Wystarczająco porządny, by...

Chór aniołów na ekranie telewizyjnym przestał śpiewać. Obraz zadrgał, mroczne fale światła promieniowały złowieszczo... Pęczniejący gniew rosnącego ruchu. Z głośnika nie dobiegała już łzawa muzyka, lecz równomierny turkot. Huk przechodził w rozdzierający grzmot.

Z ekranu wyłoniły się cztery ogromne postacie. Aniołowie. Wielcy, okrutni, rodzaju męskiego, z podłym grymasem na obliczach. Każdy musiał ważyć ze dwieście funtów. Trzepocząc skrzydłami, skierowali się ku Hamiltonowi. Pokryta zmarszczkami twarz Silvestera uśmiechnęła się. Cofnął się, aby obserwować spektakl niebiańskiej zemsty uderzającej w bluźniercę.

Gdy nadleciał pierwszy anioł, by dopełnić Kosmicznej Sprawiedliwości, Hamilton znokautował go beznamiętnie. Stojący obok niego Bill Laws chwycił lampkę nocną. Rzucając się do przodu, zdzielił po głowie następnego. Ten, oszołomiony, usiłował złapać Murzyna.

– O Boże! – jęczała pani Pritchett. – Niech ktoś zadzwoni po policję!

Sytuacja była beznadziejna. McFeyffe stojący w kącie obudził się z odrętwienia i wykonał nieskuteczny rzut w kierunku jednego z napastników. Poraził go jednak podmuch czystej energii. McFeyffe uderzył o ścianę i upadł. Dawid Pritchett, wyjąc jak szalony, porwał ze stolika butelkę z lekarstwami i cisnął na chybił trafił w anioły. Marsha i panna Reiss walczyły zaciekle, wisząc na jednym z osiłków, ściągając go na dół, kopiąc i szarpiąc, garściami wyrywając pióra.

Z telewizyjnego ekranu nadleciała następna grupa. Zadowolony Arthur Silvester obserwował z satysfakcją, jak Bill Laws zniknął pod stosem mściwych skrzydeł. Na placu boju pozostał tylko Hamilton. W rozdartym płaszczu, z kapiącą z nosa krwią, rzucił się zdesperowany w wir walki. Kolejny anioł, kopnięty prosto w krocze, upadł na ziemię. Niestety, za każdym unieszkodliwionym napływało z dwudziestosiedmioletniego ekranu telewizora, szybko osiągając olbrzymie rozmiary, całe stado gotowych do walki aniołów.

Wycofując się Hamilton ruszył w stronę Silvestera.

– Jeśli w twoim śmierzącym, rozpadającym się świecie jest jakaś sprawiedliwość... – wysapał.

Runęły na niego dwa anioły. Oślepiiony, dusząc się, poczuł, że traci równowagę. Marsha z krzykiem torowała sobie drogę. Dzierżąc w dłoni połyskującą szpilkę od kapelusza, dźgnęła nią jednego z napastników w nerkę. Anioł upadł puszczając Hamiltona. Porwawszy ze stołu butelkę wody mineralnej, Hamilton cisnął ją desperacko o ścianę. Rozbiła się, odłamki szkła i pienia się woda bluznęły wokół.

Bełkocząc coś, Arthur Silvester zawrócił. Panna Reiss zderzyła się z nim, odwróciła ostrożnie jak kot, zadała bolesny cios i uciekła. Zdumiony Silvester potknął się i upadł. Wystający kant łóżka spotkał się z jego czaszką. Rozległ się przy tym krótki trzask. Rzęząc

stracił przytomność...

Aniołowie zniknęli.

Wrzawa zamarła. Odbiornik telewizyjny ucichł. Pozostało tylko osiem sponiewieranych postaci, rozciągniętych na ziemi w różnych pozycjach. McFeyffe był nieprzytomny i mocno potłuczony. Arthur Silvester leżał bezwładny, z wytrzeszczonymi oczami, wyciągniętym językiem i wykręconą ręką. Bill Laws usiadł, po czym próbował wstać. Pani Pritchett, nieco wystraszona, zajrzała do pokoju zza drzwi. Na jej delikatnej twarzy malowała się konsternacja. Dawid stał wyprostowany z rękoma pełnymi jabłek i pomarańczy, którymi dotąd ciskał.

Śmiejąc się histerycznie, panna Reiss krzyknęła:

– Złapaliśmy go! Wygraliśmy! Wygraliśmy!

Oszołomiony Hamilton przytulił się do drżącej żony. Szczupła, ledwie dysząca Marsha objęła go ramionami.

– Kochanie – szepnęła ze łzami w oczach – już wszystko w porządku, prawda? To już koniec.

Jej miękkie brązowe włosy dotykały jego twarzy. Przycisnęła do jego ust policzek, miękkie, gładkie. Ciało Marshy znów było kruche i wiotkie, takie jak pamiętał: lekkie i gibkie. Workowata odzież również zniknęła. Ubrana w porządną, bawełnianą bluzkę i spódnicę Marsha przytuliła się do niego z radością...

– Oczywiście – mruknął Laws, z wysiłkiem wstając na nogi. Przymknięte oko groźnie nabrzmiało, odzież była w strzępach.

– Ten stary sukinsyn jest gotów. Rąbnęliśmy go na cacy. Teraz nie jest w lepszym stanie niż reszta z nas. Też nieprzytomny.

– Wygraliśmy – powtórzyła panna Reiss z naciskiem. – Uwolniliśmy się z jego pułapki.

Ze wszystkich stron nadbiegli lekarze. Zajęli się przede wszystkim Arthurem Silvesterem. Krzywiąc się trochę, stary oficer zdołał wdrapać się z powrotem na krzesło przed odbiornikiem telewizyjnym.

– Dziękuję – mruknął. – Czuję się dobrze, dziękuję. Ktoś musiał rzucić na mnie urok.

McFeyffe również powracał do przytomności. Uszczęśliwiony dotknął szczęki i szyi: wszystkie wypryski zniknęły. Z okrzykiem zadowolenia zerwał bandaż i tampony.

– Minęło! – ryknął. – Dzięki Bogu!

– Nie dziękuj Bogu – upominał go oschle Hamilton. – Zaczekaj, aż się stąd wydostaniemy.

– Co tu zaszło? – dopytywał się lekarz.

– Mała bójka – odezwał się Laws, wskazując pudełko po rozsypanych wokół stołu czekoladkach – o to, kto chwyci ostatnią.

– Jedna rzecz jest nie w porządku – mruknął Hamilton pochłonięty pewną myślą. – Może to problem techniczny...

- O co chodzi? – spytała Marsha przytulając się do niego.
- Twój sen. Czyż nie leżymy w bewatronie, mniej lub bardziej nieprzytomni?
- Przecież wróciliśmy, jesteśmy bezpieczni – zauważyła trzeźwo Marsha.
- Na to wygląda. – Hamilton wyraźnie czuł bicie jej serca i nierówny oddech.
- A to najważniejsze – zapewniła. Była ciepła i miękka, cudownie szczupła.
- Tak długo, dopóki jesteśmy razem... – Jego głos zamarł. Żona była szczupła, no tak. Ale zbyt szczupła.

– Marsha – powiedział cicho. – Coś jest nie tak.

Stężała natychmiast w jego objęciach.

– Nie tak? Co masz na myśli?

– Zdejmij ubranie. – Niecierpliwie chwycił zamek błyskawiczny jej spódnicy. – Pospiesz się.

Marszcząc brwi, wymknęła mu się.

– Tutaj? Ależ, kochanie, przecież ludzie...

– Dalej – przerwał krótko.

Zakłopotana Marsha zaczęła odpinać bluzkę. Zdjąwszy ją rzuciła na krzesło i pochyliła się, by ściągnąć spódnicę. Zaszokowana i przestraszona grupka patrzyła, jak zdjęła bieliznę i stoi naga na środku pokoju.

Była bezpłciowa jak pszczoła.

– Spójrz na siebie – krzyknął oskarżająco Hamilton. – Na Boga, spójrz! Czy nie czujesz tego?

Zdumiona Marsha opuściła wzrok. Nie miała piersi. Jej ciało było płaskie, niemal kanciaste, bez jakichkolwiek pierwszo – lub drugorzędnych cech płciowych. Szczupła, bez owłosienia, mogłaby być młodym chłopcem. Ale nic z tego. Była całkowicie i niewątpliwie nijaka.

– Co... – zaczęła przerażona. – Nie rozumiem.

– Nie wróciliśmy – wyjaśnił Hamilton. – To nie jest nasz świat.

– Ale aniołowie – odezwała się panna Reiss – przecież zniknęli.

Dotykając swej szczęki normalnych rozmiarów, McFeyffe zaprotestował:

– Mój ropiejący ząb jest zdrowy.

– To nie świat Silvestera – stwierdził Hamilton. – Jest czyjś inny. Dobry Panie! Nigdy nie wrócimy.

Umęczony, odezwał się do zdumionych postaci wokół niego:

– Ile takich światów istnieje? Ile razy jeszcze to się powtórzy?

9

Na podłodze bewatronu leżało osiem osób. Żadna nie była całkowicie przytomna. Wokół nich tliły się zgliszczka, stopione metalowe podpory i beton, które stanowiły platformę obserwacyjną. Splątana bezładnie masa materiałów.

Pracownicy służby medycznej, ostrożnie jak ślimaki, spełzli w dół po drabinie komory. Moc magnesu zamarła, brzęczący strumień protonów umilkł. Już niedługo osiem ciał zostanie wydobytych.

Rzucając się na łóżku i przewracając z boku na bok, Hamilton nieprzerwanie analizował sytuację. Raz po raz badał każdy jej aspekt. Kiedy był bliski przebudzenia, sceneria zachodziła mgłą. Kiedy zapadł niespokojnie w sen, pojawiała się znowu: jasna, ostra i zupełnie wyraźna.

Obok wierciła się i wzdychała przez sen jego żona. Osiem osób znajdujących się w mieście Belmont pozostawało w stanie zawieszenia między przebudzeniem a snem, miotając się, przenosząc z miejsca na miejsce, widząc ciągle nieruchome zarysy bewatronu, bezwładne, poskręcane kształty.

Usiłując zapamiętać wszystkie szczegóły scenerii, Hamilton badał z uwagą każdą postać cal po calu.

Pierwsze, co zwróciło uwagę, to jego własne ciało. Spadło ostatnie. Uderzywszy o cement z oszałamiającą siłą, leżało bezradnie rozpląszczone, z rozłożonymi ramionami i podwiniętymi nogami. Oddychało niewyraźnie i płytko, lecz nie wykonywało żadnego ruchu. Boże, gdyby był jakiś sposób, by dotrzeć do niego... Gdyby mógł krzyknąć, obudzić je, wrzasnąć tak głośno, żeby powstało z mroków nieprzytomności. Beznadziejna sprawa.

Nieco dalej leżała oklapła masa McFeyffe'a. Twarz mężczyzny wyrażała szalone zdumienie. Jedna ręka była wyciągnięta w kierunku nie istniejącej już balustrady, jakby wciąż usiłowała ją chwycić. Po tłustym policzku ściekała strużka krwi. McFeyffe bez wątpienia był ranny. Oddychał chrapliwie, nierówno, jego klatka piersiowa pod płaszczem pulsowała bólem.

Za McFeyffe'em spoczywała panna Joan Reiss. Na wpół zakopana w rumowisku tynku i betonu, próbowała wydostać się stamtąd, oddychając z trudem. Okulary miała potłuczone, ubranie pomięte i podarte. Na skroni widniała brzydka pręga.

Jego żona, Marsha, również nie znajdowała się daleko. Widok bezwładnego ciała przeszył mu serce smutkiem. Ona także nie mogła się obudzić. Leżała nieprzytomna z ręką schowaną pod siebie, podkurczonymi kolanami jak u płodu i głową zwróconą w bok. Opalone włosy rozsypywały się wokół szyi i ramion. Powolny, nieregularny oddech poruszał jej wargami. Poza tym była zupełnie nieruchoma. Ubranie Marshy paliło się. Stopniowo, nieubłaganie, płomień torował sobie drogę do ciała. Unosząca się w górze chmura gryzącego dymu częściowo

przesłaniała jej szczupłe nogi. Rozerwany pantofelek leżał kilka metrów dalej, opuszczony, samotny.

Pani Pritchett, barylłowata góra pulsującego ciała, wyglądała groteskowo w swej krzykliwej kwiecistej sukni, fatalnie nadpalonej. Po tym jak spadły na nią odłamki tynku, z fantastycznego kapelusza zostały tylko strzępy. Torebka, wyrwana wstrząsem z rąk, była otwarta, a jej zawartość rozsypała się po podłodze.

Ledwie widoczny, pod rumowiskiem znajdował się Dawid Pritchett. Naraz jęknął i poruszył się. Przywalily go splątane metalowe elementy uniemożliwiając mu wstanie. Żółtym tempem pełzły w jego stronę ekipy ratunkowe. Cóż do diabła się z nimi dzieje? Hamilton chciał krzyknąć, wrzeszczeć. Dlaczego się nie pośpieszą? Minęły już cztery noce...

Ale nie tam. W tamtym, prawdziwym świecie minęło zaledwie kilka straszliwych sekund.

Pośrodku porwanej siatki zabezpieczającej leżał przewodnik, Bill Laws. Jego mizerne ciało było poskręcane, nie widzące oczy patrzyły na tłącą się kupkę organicznej materii – drobną i łamliwą figurę Silvestera. Stary człowiek stracił przytomność... szok i ból płynący z jego nadwreżonego kręgosłupa zdusiły ostatni błysk świadomości. Był najciężej ranny.

Leżeli. Osiem poskręconych postaci. Odstraszący widok. Lecz Hamilton wierzący się w wygodnym łóżku obok szczupłej, ślicznej żony oddałby wszystko, aby trafić tam z powrotem, żeby móc wrócić do bewatronu, unieść swój nieruchomy fizyczny odpowiednik... zatrzymać wędrówkę swego psychicznego, ja” po bezdrożach, na których się zagubiło.

We wszystkich możliwych światach poniedziałki są zawsze takie same. O ósmej trzydziści Hamilton siedzący w podmiejskim pociągu linii Southern Pacific z „Chronicie” San Francisco rozłożoną na kolanach, jechał do Electronics Development Agency. Zakładając oczywiście, że istniała. Jak dotąd nie był tego pewien.

Wokół apatyczni urzędnicy palili papierosy, oglądali komiksy i rozmawiali o sporcie. Zgarbiony, ponuro obserwował tę grupkę. Czy wiedzieli, że są zniekształconymi wymysłami czyjejs wyobraźni? Trwali pogodnie w swej poniedziałkowej codzienności, nieświadomi, że każdy aspekt ich egzystencji podlega manipulacji ze strony niewidzialnej siły.

Zidentyfikowanie tej siły nie było trudne. Prawdopodobnie siedem z ośmiu osób już ją ustaliło. Nawet jego żona. Przy śniadaniu zwróciła się do niego uroczyście.

– Pani Pritchett. Myślałam o tym całą noc. Jestem pewna.

– Dlaczego? – zapytał kwaśno.

– Ponieważ – odparła z całkowitym przekonaniem – ona jest jedyną osobą, która mogłaby wierzyć w takie rzeczy.

Wskazała na swe płaskie ciało.

– Głupie, wiktoriańskie bzdury, które nam narzuciła.

Jeśli miał chociaż trochę wątpliwości, rozwiąły się, gdy pociąg wyjechał z Belmont. Przed

małą, wiejską chatą stał posłusznie koń uwiązany do wozu pełnego złomu: zardzewiałych części samochodowych. Koń miał na sobie spodnie.

– San Francisco! – ryknął konduktor, zjawiając się u końca kołyszącego się wagonu.

Chowając gazetę do kieszeni, Hamilton przyłączył się do grupy biznesmenów idących ku wyjściu. Chwilę później, posepny, kroczył już w kierunku błyszczących białych budynków EDA. Przynajmniej kompania istniała... był to dobry początek. Złożywszy ręce, modlił się żarliwie, żeby jego zawód pasował do tego świata.

Doktor Tillingford spotkał go w sekretariacie.

– Inteligentny i punktualny, jak widzę – powitał gorąco Hamiltona, podając mu rękę. – Gotowy do udanego startu.

Odetchnąwszy, Hamilton zaczął zdejmować płaszcz. EDA istniało, a więc ciągle miał pracę. W tamtym karykaturalnym świecie Tillingford zatrudnił go i tak pozostało. Jeden problem z głowy.

– Diabelnie uprzejmie z pańskiej strony, że dał mi pan dzień wolny – odezwał się ostrożnie Hamilton, kiedy Tillingford prowadził go korytarzem do laboratorium. – Doceniam to.

– Jak sobie poradziłeś? – dopytywał się Tillingford.

To wstrzymało Hamiltona. W świecie Silvestera Tillingford wysłał go po radę do Proroka Baba Drugiego. Szanse, że ten kult przetrwał, były niewielkie... właściwie nie było wątpliwości. Przystanął i powiedział:

– Nieźle, jak się zastanović. Oczywiście wszystko było trochę nie po mojej myśli.

– Jakies trudności ze znalezieniem miejsca?

– Żadnych.

Pocąc się Hamilton rozmyślał, co też takiego porabiał w tym świecie.

– To... – zaczął – bardzo miło z pańskiej strony. Pierwszy świetny dzień...

– Nie myśl o tym. Powiedz mi tylko jedną rzecz – Tillingford zatrzymał się przed drzwiami laboratorium. – Kto wygrał?

– W... wygrał?

– Czy twój faworyt wziął nagrodę? – Szczerząc zęby w uśmiechu, Tillingford poklepał go po plecach. – Na Boga, mogę się założyć. Widzę to po tobie.

Korytarzem zmierzał dyrektor personalny, niosąc pod pachą grubą teczkę.

– Jak ci się powiodło? – zapytał chichocząc. Porozumiewawczo klepnął go w ramię.

– Masz nam coś do pokazania? Wstążkę, może...

– Zamurowało go – zauważył Tillingford. – Ernie, opiszemy to w biuletynie biurowym, czyż personel nie będzie zainteresowany?

– Masz rację – zgodził się personalny. – Zrobię notatkę.

– Jak się nazywa pański kot? – zwrócił się do Hamiltona.

– Co...? – wyjąkał Jack.

– Przecież w piątek rozmawialiśmy o tym. Niech mnie diabli, jeśli źle pamiętam. Chcę podać prawidłowo imię pańskiego kota.

W tym świecie... Hamilton dostał wolny dzień, pierwszy dzień jego pracy, by zaprowadzić swojego kota na wystawę. Jęknął w duchu. Świat pani Pritchett w niektórych sytuacjach był bardziej drażniący niż świat Arthura Silvestera.

Zebrawszy dane o pokazie, personalny opuścił ich pospiesznie, zostawiając Hamiltona samego z szefem. Właściwa chwila nadeszła, nie można było niczego odkładać.

– Doktorze – zaczął bezlitośnie Hamilton. – Muszę się do czegoś przyznać. W piątek byłem tak podekscytowany wizytą u pana, że... – Wyszczrzył zęby usprawiedliwiając się. – Mówiąc szczerze nie pamiętam, o czym mówiliśmy. Coś tylko mi się majaczy.

– Rozumiem, mój chłopcze – odparł łagodnie Tillingford. – Nie trap się tym, będzie dużo okazji, aby omówić szczegóły. Spodziewam się, że spędzisz tutaj wiele dobrych chwil.

– Prawdę mówiąc – kontynuował Hamilton – nie pamiętam nawet, na czym polega moja praca, czy to nie zabawne?

Roześmieli się obaj.

– To faktycznie zabawne – zgodził się Tillingford, ocierając łzy.

– Może zamierza pan przeprowadzić krótkie szkolenie, zanim mnie pan opuści?

– Tak – potwierdził Tillingford.

Jego rozbawienie osłabło, przybrał uroczysty, pełen zamyślenia wyraz twarzy. Patrzył niewidzącym wzrokiem, rozważając sytuację.

– Sądzę, że nie zaszkodzi omówić podstawy. Twierdzą, że najważniejsze jest poznanie fundamentalnych zasad. Więc nie będziemy zagłębiać się zbyt w szczegóły.

– Zgadza się – odparł Hamilton modląc się, żeby bez względu na sytuację mógł się dostosować. Jakaż, u licha, była według Edith Pritchett funkcja gigantycznego instytutu elektronicznego?

– EDA – zaczął Tillingford – jak zapewne zdajesz sobie sprawę, jest głównym elementem narodowej struktury społecznej. Ma życiowe zadanie do spełnienia. I wypełnia je...

– Całkowicie.

– To, co robimy tutaj w EDA, to więcej niż praca. Mam śmiałość twierdzić, że więcej niż zwykłe ekonomiczne przedsięwzięcie. EDA nie istnieje po to, by robić pieniądze.

– Rozumiem.

– Byłoby niegodną i śmieszną rzeczą chwalić się, że EDA odnosi sukcesy finansowe. Tak jest, lecz nie ma to znaczenia. Nasze zadanie nie ma nic wspólnego z zyskami... Tak będzie i w twoim przypadku. Ty, młody idealista, kierujesz się tymi samymi motywami, które kiedyś i mnie przyświecały. Teraz już się zestarzałem. Kończę swoją pracę. Pewnego dnia, nie w tak

odległej przyszłości, zrzuć swoje brzemie, przekażę je w sprawniejsze, energiczniejsze ręce.

Wziąwszy Hamiltona pod ramię, z dumą poprowadził go do rozległej hali.

– Naszym celem – oznajmił uroczyście – jest skierowanie olbrzymich zasobów i talentów przemysłu elektronicznego do pracy nad podnoszeniem kulturalnego poziomu mas. Zapewnienie ludzkości dostępu do sztuki.

Hamilton wyrwał się gwałtownie z jego uścisku.

– Doktorze Tillingford – krzyknął – czy może pan spojrzeć mi w oczy i powtórzyć to?

Zdumiony Tillingford stał otwierając i zamykając usta.

– Dlaczego, Jack... – wymamrotał. – Co...

– Jak pan może stać tutaj i recytować te bzdury? Pan – wykształcony, inteligentny człowiek, jeden z największych naukowców – machając rękoma, dziko wrzeszczał na oszołomionego mężczyznę. – Nie ma pan własnego mózgu? Na Boga, proszę pomyśleć, kim pan jest. Nie może pan pozwolić na to, co się dzieje.

– Jack, mój chłopcze. Co cię opętało? – wyjąkał skonsternowany Tillingford, cofając się i składając bojaźliwie ręce.

Hamilton wzruszył ramionami. To nie miało sensu, tracił czas. Nagle naszła go ochota do śmiechu. Znalazł się w absurdalnej sytuacji, wprost nie do uwierzenia. Powinien pohamować swoją złość. Przecież biedny Tillingford nie ponosił winy za... nie był bardziej winny, niż ubrany w spodnie koń, ciągnący wózek ze złomem.

– Przepraszam – powiedział ostrożnie. – Jestem zdenerwowany.

– O Boże – wysapał Tillingford, wracając do równowagi. – Czy masz coś przeciwko temu, że odpocznę chwilę? Mam kłopoty z sercem... nic poważnego, stara dolegliwość – *paroxysmal tachycardia*. Powoduje, że stary zegar biegnie trochę za szybko. Przepraszam.

Począł do biura. Drzwi zatrzasnęły się i dobiegł zza nich dźwięk pospiesznego otwierania butelki z lekarstwami, potem zażywania pigułek.

Prawdopodobnie stracił nową pracę. Siadł apatycznie na ławce i przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

Ładny start... przystosowanie się, nie mógł gorzej.

Drzwi otworzyły się powoli. Doktor Tillingford z szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami niepewnie wyjrzał na zewnątrz.

– Jack – odezwał się słabo.

– Co? – mruknął Hamilton nie podnosząc wzroku.

– Jack – zapytał niepewnie – ty chcesz nieść oświatę ludowi, prawda?

Hamilton westchnął.

– Oczywiście, doktorze.

Wstał i zwrócił się do starszego mężczyzny.

– Marzę o tym. To najważniejsza sprawa w życiu.

Na twarzy Tillingforda pojawił się wyraz ulgi.

– Dzięki Bogu.

Jego ufność została w pewnym stopniu przywrócona. Odważył się wyjść na korytarz.

– Czy uważasz, że masz dość sił, by rozpocząć pracę? Nie chciałbym przemoczać cię...

Świat ułożony i zamieszkały przez Edith Pritchett. Mógł go teraz doświadczać. Przyjacielski, troskliwy, przesłodzony. Działać, myśleć, wierzyć tylko w dobro i piękno.

– Nie zamierza pan mnie wylać? – zapytał z naciskiem.

– Wylać? – Tillingford zamrugał oczyma. – Na Boga, za cóż to?

– Obraziłem pana w skandaliczny sposób.

Tillingford zachichotał cicho.

– Nie myśl o tym. Mój chłopcze, twój ojciec był jednym z moich najdroższych przyjaciół. Musiałbym ci powiedzieć, jak bardzo wściekaliśmy się na siebie czasami. Wykapany ojciec z ciebie, Jack.

Klepnąwszy Hamiltona w ramię, zaprowadził go do laboratoriów. Wibrująca, brzęcząca przestrzeń wypełniona sprzętem i technikami pilnie realizującymi elektroniczne projekty badawcze.

– Doktorze – zaczął Hamilton – czy mogę zadać jedno pytanie? Tak dla porządku?

– Oczywiście, mój chłopcze. O co chodzi?

– Czy pamięta pan kogoś o nazwisku (Tetragranmaton)?

Doktor Tillingford był zakłopotany.

– Któż to, ten (Tetragranmaton)? Nie, nie sędzę. Nikt, kogo mógłbym sobie przypomnieć.

– Dziękuję – odparł ponuro Hamilton. – Tak też myślałem. Chciałem się tylko upewnić.

Doktor Tillingford wziął z biurka egzemplarz „Journal of Applied Sciences” z września 1959 roku.

– Jest tu artykuł, który krąży wśród personelu. Być może cię zainteresuje, choć materiał jest niezbyt aktualny. Analiza pism jednego z najbardziej znaczących ludzi naszego wieku, Zygmunta Freuda.

– Ciekawe – stwierdził beznamiętnie Hamilton. Był przygotowany na wszystko.

– Jak wiesz, Zygmunt Freud rozwinął psychoanalityczną koncepcję płci jako sublimacji popędu artystycznego. Pokazał, że podstawowa, fundamentalna ludzka tęsknota, jaką jest twórczość artystyczna, jeśli nie przyjmie właściwej ekspresji, transformuje się w zastępczą formę: aktywność seksualną.

– Czy to prawda? – mruknął zrezygnowany Hamilton.

– Freud udowodnił, że zdrowa, pozbawiona nałogów istota ludzka nie wykazuje aktywności seksualnej czy też zainteresowania seksem. W przeciwieństwie do tradycyjnych poglądów, seks

jest zajęciem całkowicie nienaturalnym. Kiedy mężczyzna albo kobieta ma szansę przyzwoitej, normalnej twórczości artystycznej: malarstwa, pisarstwa, muzyki, tak zwany popęd płciowy usuwa się w cień. Aktywność seksualna jest ukrytą formą, pod którą działa talent artystyczny, kiedy mechanistyczna społeczność poddaje jednostkę nienaturalnym zakazom.

– Oczywiście – zgodził się Hamilton. – Uczono mnie tego, albo czegoś podobnego, w szkole.

– Na szczęście początkowa niechęć do monumentalnego odkrycia Freuda została przezwyciężona. Miał wielu zagorzałych przeciwników, ale w końcu umarli śmiercią naturalną. Dziś rzadko można znaleźć wykształconą osobę mówiącą o płci i seksie. Używam tego określenia wyłącznie w znaczeniu klinicznym, aby opisać typowy stan patologiczny.

Hamilton spytał z nadzieją:

– Powiedział pan, że istnieją, szczególnie wśród niższych klas, pozostałości tradycyjnego sposobu myślenia?

– Tak – przyznał Tillingford. – Zmiany wymagają czasu.

Ożywił się, wrócił mu entuzjazm.

– I to jest nasze zadanie. Fundacja branży elektronicznej.

– Branży elektronicznej – powtórzył Hamilton.

– Obawiam się, że nie jest to działalność artystyczna sensu stricto. Naszym zadaniem, mój chłopcze, jest kontynuowanie badań nad najdoskonalszym środkiem przekazu, który sprawi, że wszystko się zmieni. Dzięki któremu wszyscy ludzie zetkną się z kulturą cywilizacji i jej dziedzictwem artystycznym. Rozumiesz mnie?

– Tak. Rozumiem – odparł Hamilton. – Już od lat jestem posiadaczem zestawu hi-fi.

– Hi-fi. – Tillingford był zachwycony. – Nie wiedziałem, że interesujesz się muzyką.

– Tylko dźwiękiem.

Nie zwracając uwagi, Tillingford kontynuował:

– Będziesz musiał przyłączyć się do orkiestry symfonicznej, tu w firmie. Wyzwaliliśmy orkiestrę pułkownika T.E. Edwardsa na pojedynki w początkach grudnia. Będziesz miał szansę zagrać przeciwko twojemu staremu zakładowi. Na jakim instrumencie grasz?

– Na ukulele.

– Początkujący, co? A twoja żona? Czy też gra?

– Na gęślach.

Zakłopotany Tillingford skończył rozmowę.

– Omówimy to później. Wyobrażam sobie, że chciałbyś już przystąpić do pracy.

O piątej trzydzięci po południu Hamilton odłożył schematy i narzędzia. Przyłączywszy się do grupy pracowników idących do domu, zadowolony wyszedł z zakładu.

Zaczął właśnie szukać stacji kolejki, kiedy znajomy niebieski samochód nadjechał z tyłu

i zatrzymał się cicho przy krawężniku. Za kierownicą jego forda coupe siedziała Silky.

– Niech to diabli – powiedział, a raczej chciał powiedzieć. To co wyartykułował, brzmiało inaczej: – Co tu robisz? Miałem już zacząć cię szukać.

Uśmiechając się, Silky otworzyła drzwiczki samochodu.

– Zdobyłam twoje nazwisko i adres. – Wskazała biały pasek. – Poza tym mówiłeś prawdę. Po co jest tutaj to „W”?

– Willibald.

– Jesteś niemożliwy.

Usadawiając się ostrożnie obok niej, Hamilton mruknął:

– Ale tam nie jest napisane, gdzie pracuję.

– Nie – przyznała Silky. – Zadzwoiłam do twojej żony i powiedziała mi, gdzie mogę cię znaleźć.

Kiedy Hamilton przyglądał się jej skonsternowany, wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła.

– Nie masz nic przeciwko temu, że prowadzę? – Spytała z tkliwością. – Uwielbiam twój samochodzik... jest taki miły i porządny, łatwy do prowadzenia.

– Prowadź go – powiedział ciągle oszołomiony. – Więc zadzwoniłaś do Marshy?

– Miałyśmy długą rozmowę od serca – odparła spokojnie Silky.

– O czym?

– O tobie.

– Ale o czym?

– O tym co lubisz, co robisz, o wszystkim, co dotyczy ciebie. Wiesz, jak rozmawiają kobiety.

W ciszy, jaka nagle zapadła, Hamilton patrzył niewidzącym wzrokiem na El Camino Real i rzędy samochodów sunące wzdłuż półwyspu ku różnym podmiejskim osadom. Obok niego siedziała Silky, szczęśliwa, zadowolona prowadziła wóz. W tym wypolerowanym świecie przeszła radykalną transformację. Jej długie blond włosy splecione były w dwa warkocze. Nosiła białą bluzkę i granatową spódnicę. Na nogach miała zwykłe mokasyny. Wyglądała jak uczennica. Ani śladu makijażu. Jej zawadiackie zachowanie uległo zmianie.

Kobiece kształty, podobnie jak u Marshy, były całkowicie nierozwinięte.

– Jak się miewasz? – zapytał sucho.

– W porządku.

– Czy pamiętasz – dopytywał się – kiedy widzieliśmy się ostatnio? Pamiętasz, co się wtedy działo?

– Oczywiście – odparła z przekonaniem Silky. – Ty, ja i Charlie McFeyffe jechaliśmy do San Francisco.

– Po co?

– Pan McFeyffe chciał odwiedzić swój kościół.

– A ja?

– Sądzę, że również. Obaj zniknęliście w środku. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Potem zasnąłam w samochodzie.

– Nic nie widziałaś?

– Co takiego miałam widzieć?

Byłoby niewłaściwe powiedzieć: dwóch dorosłych mężczyzn lecących do Nieba na parasolu.

Więc się powstrzymał i spytał:

– Gdzie jedziemy? Z powrotem do Belmont?

– Oczywiście. A o co chodzi?

– Do mojego domu?

Przystosowanie się do tego świata było powolnym procesem.

– Ty, ja i Marsha?

– Obiad jest już gotowy – wyjaśniła Silky. – Albo będzie, kiedy przyjedziemy. Marsha dzwoniła do mnie do pracy i powiedziała, czego potrzebuje ze sklepu, więc zrobiłam zakupy.

– Do pracy... w jakiej branży pracujesz?

Silky spojrzała na niego zakłopotana.

– Jack, jesteś takim dziwnym człowiekiem...

– Oo...

Zmartwiona zerknęła na niego, aż stłumiony pisk hamulców przed nimi zmusił ją do zwrócenia uwagi na drogę.

– Klakson – poinstruował ją Hamilton.

Ogromna cysterna po prawej stronie wjeżdżała na ich pas.

– Co? – spytała Silky.

Zniecierpliwiony nacisnął klakson. Nic się nie stało. Nie dobiegł żaden dźwięk.

– Dlaczego to zrobiłeś? – dopytywała się Silky zwalniając, by przepuścić ciężarówkę.

Hamilton przyjął do wiadomości kolejną informację. W tym świecie pojęcie klaksonu samochodowego nie istniało. A przecież w potoku powracających do domu samochodów musi istnieć stały zgiełk.

Pozbawiając się bolączek tego świata, Edith Pritchett wyrzucała nie tylko pojedyncze obiekty, ale całe ich grupy. Prawdopodobnie w jakimś odległym miejscu i czasie dokuczył jej hałasujący klakson. Teraz w przyjemnej, fantazyjnej koncepcji jej świata takie rzeczy nie istniały. Po prostu ich nie było.

Lista niedogodności była niewątpliwie warta zastanowienia. Nie istniał, niestety, sposób na określenie, co zawiera. Nie mógł przestać myśleć o piosence Koko „Mikado”.

„... nieważne, kogo umieścisz na liście

i tak nikt nie będzie pominięty...”

Niezbyt pocieszająca myśl. Cokolwiek – rzecz, obiekt czy zdarzenie, które kiedykolwiek w ciągu pięćdziesięciu lat życia pani Pritchett poruszyło gładką powierzchnię jej jałowej egzystencji, zostało w tym świecie delikatnie usunięte. Mógł podać parę przykładów. Śmieciarze trzaskający pojemnikami. Domokrażcy. Rachunki i formularze podatkowe wszelkiego rodzaju. Płaczące niemowlaki (może wszystkie niemowlaki?). Alkohol, brudy, bieda, cierpienie jako takie.

Ciekawe, co zostało?

– O co chodzi? – spytała Silky. – Nie czujesz się dobrze?

– To smog – odparł. – Zawsze mnie męczy.

– Co to jest smog? – dopytywała się Silky. – Jakie śmieszne słowo.

Przez długi czas milczeli. Hamilton po prostu siedział i daremnie usiłował podjąć jakąś decyzję.

– Chcesz się zatrzymać gdzieś na szklanekę lemoniady? – spytała życzliwie Silky.

– Zamknij się – wrzasnął Hamilton.

Silky patrzyła na niego przerażona, mrugając oczyma. Już uspokojony sięgnął po starą wymówkę.

– Przepraszam. To nowa praca.

– Rozumiem.

– Rozumiesz? – Nie mógł pozbyć się lodowatego cynizmu w głosie. – Miałaś mi powiedzieć, gdzie teraz pracujesz.

– Tam, gdzie przedtem.

– A cóż to znowu?

– Nadal w Safe Harbor.

Trochę nadziei wstąpiło w Hamiltona. Coś jednak przetrwało. Safe Harbor istniało. Mała część realnego świata pozostawiona po to, by nie opuściło go poczucie bezpieczeństwa.

– Jedźmy tam – powiedziała zdecydowanie – na dwa piwa, zanim wrócimy do domu.

Kiedy dojechali do Belmont, Silky zaparkowała naprzeciw baru. Hamilton ocenił go krytycznym wzrokiem. Z takiej odległości bar nie zmienił się specjalnie. Był chyba bardziej czysty. Elementy marynistyczne zostały podkreślone, zaś aluzje do alkoholu subtelnie zmniejszone. Miał trudności z odczytaniem napisu „Golden Glow”. Jasnoczerwone litery zlały się w niewyraźną plamę. Jeśli nie wiedziałby, co tam jest napisane...

– Jack – odezwała się Silky łagodnym, zmartwionym głosem. – Szkoda, że nie możesz mi powiedzieć, co to jest.

– Co, jest co?

– Nie mogę tego wyrazić – uśmiechnęła się niepewnie do niego. – Czuję w tym coś

niestosownego. Mam wrażenie... wspomnienia krążą po mojej głowie, nic, co mogłabym nazwać, taki pęk luźnych, niewyraźnych impresji.

– Na jaki temat?

– O tobie i o mnie.

– O... – skinął głową. – O to chodzi. I pewnie o McFeyffe'ie?

– O nim też, i o Billy Lawsie. Wydaje mi się, jakby to zdarzyło się dawno temu. Ale to nie mogło się zdarzyć, prawda?

Przyłożyła dłonie do skroni. Hamilton od niechcienia zauważył, że Silky ma nie pomalowane paznokcie.

– Strasznie mi to przeszkadza.

– Szkoda, że nie mogę ci pomóc – odparł z przekonaniem. – Ale sam nie mogę pozbierać się w ostatnich dniach.

– Czy wszystko w porządku? Czuję się, jakbym stojąc na chodniku, miała zanurzyć się w nim po kostki. – Zaśmiała się nerwowo. – Muszę sobie znaleźć innego psychoanalityka.

– Innego? Więc masz już jakiegoś?

– Oczywiście – zwróciła się niespokojnie ku niemu. – Widzisz... Mówisz mi takie rzeczy i zaraz czuję się zagrożona. – Nie powinieneś mnie pytać, Jack. To nie w porządku. Zbyt boli.

– Przykro mi – powiedział niezręcznie. – To nie twoja wina, nie przejmuj się.

– Moja wina? Jaka?

– Nieważne. – Otworzył drzwiczki samochodu i stanął na chodniku. – Wejźmy do środka i wypijmy piwo.

Safe Harbor przeszedł wewnętrzną metamorfozę. Małe kwadratowe stoliczki przykryte wykrochmalonymi białymi obrusami ustawiono wygodnie w różnych miejscach. Paliły się świece. Na ścianach wisały reprodukcje Curriera i Ivesa. Kilka par w średnim wieku w ciszy spożywało sałatkę wiosenną.

– Tam z tyłu jest ładniej – zauważyła Silky, torując drogę między stolikami.

Wkrótce siedzieli już w ciemnym zakątku sali i studiowali menu.

Piwo, które dostali, okazało się chyba najlepszym, jakie pił kiedykolwiek. Sprawdzając menu stwierdził, że to prawdziwy McCoy, cudowne, niemieckie ciemne piwo, które rzadko miał okazję próbować. Po raz pierwszy poczuł się pewniej w tym zwariowanym świetle, był nawet zadowolony.

– To wypijmy... – powiedział podnosząc kufel. Uśmiechając się Silky zrobiła to samo.

– Bardzo dobrze siedzi mi się z tobą – stwierdziła popijając piwo.

– No pewnie.

Mieszając płyn zapytała:

– Czy możesz mi polecić jakiegoś psychoanalityka? Byłam już u stu... Ciągle ich zmieniam,

chcę znaleźć najlepszego. Każdy jakiegoś mi poleca.

– Niestety, nie znam żadnego.

– Naprawdę? To niesłychane. – Spojrzała na wiszące na ścianie reprodukcje Curriera i Ivesa przedstawiające Nową Anglię zimą roku 1845. – Chyba pójdę do SZP i odwiedzę ich specjalistę. Zwykle potrafią pomóc.

– Co to takiego ten SZP?

– Stowarzyszenie Zdrowia Psychicznego. Nie jesteś członkiem? Przecież każdy jest.

– Ale nie ja.

Wyjęła z torebki kartę członkowską i pokazała mu.

– Poradzą sobie ze wszystkimi twoimi problemami psychicznymi. To wspaniałe... badania, analizy o każdej porze dnia i nocy.

– Lekarstwa również?

– Masz na myśli psychosomatyki?

– No tak.

– O to również dbają. Mają dwudziestoczterogodzinną służbę dietetyczną.

Hamilton jęknął.

– (Tetragramaton) był lepszy.

– (Tetragramaton). – Silky nagle zamyśliła się. – Czy ja znam tę nazwę? Co ona oznacza? Mam niejasne wrażenie, że... – Smutno pokręciła głową. – Nie, nie mogę sobie przypomnieć.

– Opowiedz mi o służbie dietetycznej.

– Zajmują się twoją dietą.

– Tak sądziłem.

– Prawidłowe odżywianie jest bardzo ważne. Teraz żyję na melasie i wiejskim serze.

– Zjadłbym mostek z poledwicy – odezwał się Hamilton z rozmarzeniem.

Silky popatrzyła na niego przerażona.

– Stek? Zwierzęce mięso?

– No pewnie. Dużo mięsa. Przysmażonego z cebulką, z pieczonymi ziemniakami, zielonym groszkiem i gorącą czarną kawą.

Zbladła ze strachu.

– Och, Jack.

– Coś nie w porządku?

– Ty jesteś... dzikusiem.

Przechyliwszy się ku niej powiedział:

– A gdybyśmy wyskoczyli gdzieś poszaleć? Zaparkujemy w małej uliczce i odbędziemy stosunek seksualny.

Twarz dziewczyny wyrażała jedynie zdziwienie.

– Nie pojmuję, o co chodzi.

Hamilton osłabł.

– Zapomnij o tym...

– Ale...

– Zapomnij. – Ponuro wychłęptał resztę piwa. – No to jedziemy do domu na obiad. Marsha
pewnie zastanawia się, co się z nami dzieje.

10

Kiedy weszli do jasnego, małego pokoju gościnnego, Marsha powitała ich z ulgą.

– W samą porę – powiedziała i wspiąwszy się na palce pocałowała Hamiltona.

W swym wzorzystym fartuszkach prezentowała się całkiem przyjemnie, szczupła, pachnąca i ciepła.

– Idźcie umyć ręce i siadajmy do stołu.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała grzecznie Silky.

– Nie, nie trzeba. Jack, weź jej płaszcz.

– O, dziękuję. Rzucę go gdzieś w sypialni.

Wyszła zostawiając ich na chwilę samych.

– To najgorsze ze wszystkiego – stwierdził Hamilton, podążając za Marsha do kuchni.

– Masz ją na myśli?

– Tak.

– Kiedy ją spotkałeś?

– W zeszłym tygodniu. Przyjaciółka McFeyffe'a.

– Jest rezolutna. – Schyliwszy się Marsha wyjęła z piecyka gorący rondel. – Słodka i świeża.

– Kochanie, to dziwka.

– O! – Marsha zamruła oczyma. – Naprawdę? Nie wygląda na... na to, co powiedziałaś.

– Oczywiście, że nie. Nie ma ich tutaj.

Marsha ożywiła się.

– Więc nią nie jest. Nie może być.

– Właśnie, że jest. W prawdziwym świecie – zaszedł jej drogę, kiedy kierowała się z rondlem do pokoju – Silky jest zawodową dziwką naciągającą w barze mężczyzn.

– Czyżby? – powątpiewała Marsha. – Nie wierzę w to. Rozmawialiśmy długo przez telefon. Jest kelnerką czy coś w tym rodzaju. Czarujące dziecko.

– Kochanie, kiedy jej cnota była nienaruszona... – przerwał, bo pojawiła się Silky. Wyglądała nad wyraz schludnie w swoim stroju uczennicy.

– Jestem tobą zdumiona – odezwała się Marsha, przechodząc z powrotem do kuchni. – Powinieneś się wstydzić.

Zgarbiony, pokuśtykał do pokoju.

– Niech to diabli!

Wziął wieczorne wydanie oaklandzkiej „Tribune” i rzucił się na tapczan naprzeciw Silky. Zaczął odczytywać nagłówki.

„Feinberg ogłasza nowe odkrycie.

Wiekopomny lek przeciwko astmie”.

Obok artykułu na stronie pierwszej widniało zdjęcie uśmiechniętego, pulchnego i łysego lekarza w białym fartuchu, jakby żywcem wziętego z reklamy pasty do zębów. Artykuł dotyczył jego wstrząsającego światem odkrycia. Pierwsza kolumna, pierwsza strona.

Drugą kolumnę na tej stronie zajmował długi artykuł dotyczący ostatnich odkryć archeologicznych na środkowym Wschodzie. Odkopano garnki, naczynia, wazony, zlokalizowano całe miasto z epoki żelaza. Ludzkość przyglądała się temu z zapartym tchem.

Owładnęła nim chorobliwa ciekawość. Co też zaszło w sprawie zimnej wojny z Rosją? Szybko przerzucił pozostałe strony. To, co odkrył, sprawiło, że włos mu się zjeżył.

Rosja jako taka nie istniała. Była po prostu zbyt boleśnie kłopotliwa. Miliony mężczyzn i kobiet, miliony kilometrów kwadratowych łądu nie istniały. Co więc istniało zamiast tego? Jałowa ziemia? Mglista pustka? Ogromna dziura?

Właściwie nie było czołowego działu tej gazety... Zaczynała się od działu drugiego: świata kobiet. Moda, wydarzenia społeczne, śluby, zaręczyny, ciekawostki kulturalne, gry i zabawy. A komiksy? W zasadzie istniały, ale... Pozostały komiksy dla dzieci – lekkie, humorystyczne, rozrywkowe. Te sensacyjne, z twardymi facetami i rozebranymi panienkami zniknęły. Nie miało to większego znaczenia, chociaż białe plamy nie wyglądały zachęcająco.

Prawdopodobnie północna Azja wyglądała tak samo. Coś w rodzaju ogromnej plamy w miejscu, gdzie kiedyś żyły miliony istnień, na dobre i na złe. Na złe, dopóki tęga kobieta w średnim wieku nazwiskiem Edith Pritchett miała władzę. Rosja nie dawała jej spokoju, jak brzęczący komar uprzykrzała jej życie.

Pomyślawszy o tym uprzytomnił sobie, że wokół nie ma żadnych much, komarów, pajaków. Żadnych zwierzątek. Dopóki działa tutaj pani Pritchett, świat będzie bardzo przyjemny... jeśli coś z niego pozostanie.

– Czy nie niepokoi cię, że nie istnieje Rosja? – odezwał się nagle do Silky.

– Co? – spytała, unosząc głowę znad magazynu.

– Nieważne.

Rzuciwszy gazetę, powlókł się do kuchni.

– Nie mogę tego znieść – powiedział do żony.

– Co się stało, kochanie?

– Nic ich to nie obchodzi.

Marsha tłumaczyła łagodnie.

– Tutaj nigdy nie było żadnej Rosji, więc jak mogą się przejmować?

– Ale powinni. Gdyby pani Pritchett wyeliminowała słowo pisane, nie przejęliby się. Nie tęskniliby, nawet by nie zauważyli.

– Jeśli nie zauważyliby, to w czym problem?

Nie pomyślał o tym. Kiedy obie kobiety zaczęły nakrywać do stołu, pomagał im.

– To jeszcze gorzej, jeśli nie zauważyli. Edith Pritchett zmienia ich świat, ich życie, a oni nawet tego nie widzą. To straszne.

– Dlaczego? – sprzeciwiła się Marsha. – Może to nie jest takie straszne?

Zniżając głos, wskazała na Silky.

– Czy to straszne? Czy przedtem była dużo lepsza?

– Nie w tym rzecz – poszedł za nią zdenerwowany. – Tym razem to nie Silky. To ktoś inny.

Woskowy manekin stworzony przez panią Pritchett na miejsce Silky.

– Dla mnie wygląda jak Silky.

– Nie widziałaś jej nigdy przedtem.

Powoli obudziło się w nim bolesne podejrzenie.

– Podoba ci się tu – stwierdził łagodnym głosem. – Wolisz ten świat.

– Tego nie powiedziałam – odparła wymijająco.

– Powiedziałaś! Podobają ci się te ulepszenia.

Marsha ze sztucami w dłoni zatrzymała się w drzwiach kuchni.

– Myślałam dzisiaj o tym. Wiele rzeczy jest bardziej czystych, porządných. Nie tak niechlujnych. Wszystko jest... prostsze. Bardziej uporządkowane.

– Ale nie ma tak wielu rzeczy.

– Co w tym złego?

– Może i my staniemy się niepożądanymi elementami? Nie pomyślałaś o tym? – kontynuował gestykując. – To nie jest bezpieczne. Spójrz na nas, już zostaliśmy zmienieni. Jesteśmy bezpłciowi, podoba ci się to?

Odpowiedź nie nastąpiła natychmiast.

– Podoba ci się – stwierdził przerażony. – Ty to wolisz.

– Porozmawiamy o tym później – odrzekła Marsha wychodząc z pokoju.

Chwyciwszy żonę za ramię, Hamilton gwałtownie przyciągnął ją do siebie.

– Odpowiedz mi! Podoba ci się jej *idée fixe*, prawda? Podoba ci się pomysł wielkiej, tłustej, kapryśnej starej damy oczyszczającej świat z seksu i sprośności?

– No... – odparła w zamyśleniu Marsha – uważam, że światu przydałoby się trochę porządków. A jeśli wy, mężczyźni, nie możecie, albo nie chcecie...

– Powiem ci coś w tajemnicy – oświadczył rozwścieczony. – Tak szybko jak Edith Pritchett pozbywa się różnych pojęć, ja mam zamiar je przywracać. Pierwszym, co zamierzam przywrócić, jest seks. Od dzisiejszego wieczoru wprowadzę seks na nowo do tego świata.

– Zrobisz to, nieprawdaż? To coś, czego pragniesz, o czym myślisz nieustannie.

– Ta dziewczyna. – Hamilton zerknął w stronę pokoju, gdzie Silky w radosnym nastroju układała na stole serwetki. – Mam zamiar zaciągnąć ją na dół i pójść z nią do łóżka.

– Kochanie, ale ty nie możesz – praktycznie przypomniła mu Marsha.

– Dlaczego by nie?

– Ona – Marsha wzruszyła ramionami – ona nie jest wyposażona.

– A tobie jest wszystko jedno?

– Ależ to absurd. To tak jakby rozmawiać o purpurowych strusiach. Po prostu nie ma czegoś takiego.

Wkroczywszy do pokoju, Hamilton pewnie chwycił Silky za ramię.

– Chodź – rozkazał jej. – Schodzimy do pokoju muzycznego posłuchać kwartetów Beethovena.

Zaskoczona, potykając się, Silky bezwolnie ruszyła z nim.

– Ale co z obiadem?

– Do diabła z obiadem – odparł otwierając drzwi na klatkę schodową. – Idziemy na dół, zanim ona zlikwiduje muzykę.

Piwnica była chłodna i wilgotna. Hamilton włączył grzejnik elektryczny i spuścił rolety. Gdy pokój ogrzał się nabierając przyjemnej atmosfery, otworzył drzwi do kabiny nagraniowej i wywlókł stamtąd kolekcję płyt długogrających.

– Na co masz ochotę? – zapytał wojowniczo. Przestraszona Silky zatrzymała się przy drzwiach.

– Chcę jeść, Marsha przygotowała taki wspaniały obiad...

– Tylko zwierzęta jedzą – mruknął Hamilton. – To nieprzyjemne, niemiłe. Wyeliminowałem to.

– Nie rozumiem – protestowała płaczliwie Silky. Szperając przy wzmacniaczu, Hamilton sprawdzał kontrolki w obwodzie.

– Co myślisz o moim sprzęcie?

– Bardzo imponujący.

– Równoległe, przeciwsołbne wejścia. Wyciąga do trzydziestu tysięcy herców. Cztery głośniki niskotonowe. Osiem wysokotonowych. Ręcznie nawijany transformator. – Kładąc płytę na krążku adaptera dodał: – Silnik potrafi obracać ciężar dziesięciu ton bez zmiany swoich trzydziestu trzech i trzech dziesiątych na sekundę. Nieźle, co?

– Cu... cudownie.

Słuchali „Dafnis i Chloe”. Ponad połowa kolekcji jego longplayów zniknęła w tajemniczy sposób; w większości nowoczesne, atonalne, eksperymentalne utwory na perkusję. Pani Pritchett preferowała dobrą, standardową klasykę – Beethovena i Schumanna, poważną muzykę symfoniczną znaną dobrze mieszczańskim melomanom. Utrata cennej kolekcji dzieł Bartoka doprowadziła go do szału. Ta muzyka miała w sobie intymny nastrój docierający do najgłębszych pokładów jego osobowości. Nie miała racji bytu w świecie pani Pritchett, bardziej

bezlitosnej niż (Tetragramaton).

– Jak teraz? – spytał, automatycznie ściemniając światło. – Nic nie widzisz, prawda?

– Tego nigdy nie było, Jack – odparła zmartwiona. Zamglony fragment wspomnienia pojawił się w jej oczyszczonym umyśle.

– Ojej! Prawie nic nie widzę... boję się, że upadnę.

– Nie tak szybko – odparł sarkastycznie. – Czego się napijesz? Tak się składa, że mam butelkę szkockiej gdzieś w pobliżu.

Otworzywszy barek, ze znajomością rzeczy zaczął w nim czegoś szukać. Jego palce wyczuły szyjkę butelki, wyciągnął ją szybko i schylił się po szklanki. Butelka wyglądała jakoś inaczej. Dokładniejsze badanie potwierdziło, że bynajmniej nie zawierała szkockiej.

– Niech będzie krem miętowy – poprawił się zrezygnowany. – Może to i lepiej. Okay?

Dźwięki „Dafnis i Chloe” rozbrzmiewały pysznie w ciemności pokoju, gdy Hamilton poprowadził Silky do tapczanu.

Posadził ją. Przyjęła posłusznie swego drinka i popijała powoli. Na jej twarzy malowała się pustka i pokora. Krzątając się pozornie bez celu, Hamilton z miną znawcy dokonał kilku poprawek. Przesunął obrazek na ścianie, wyregulował wzmacniacz i wytrzepawszy poduszkę upewnił się, czy drzwi są zamknięte na klucz.

Na górze krzątała się Marsha. No cóż, sama tego chciała.

– Zamknij oczy i odpręż się – rozkazał gniewnie.

– Jestem odprężona. – Silky ciągle czuła się niepewnie. – Czy już nie dosyć?

– Oczywiście – mruknął uspokajająco. – W porządku. Mam pomysł, spróbuj ściągnąć buty i połóż nogi na tapczanie. Kiedy to zrobisz, doznasz zupełnie innych wrażeń słuchając Ravela.

Silky grzecznie zrzuciła białe mokasyny i podwinęła nogi pod siebie.

– Jak miło – odezwała się cicho.

– Dużo lepiej, prawda?

– Dużo.

Naraz wielki, przygniatający smutek dopadł Hamiltona.

– To nie ma sensu – powiedział pokonany. – Nie można tego zrobić.

– Czego nie można zrobić?

– Nie zrozumiałabyś.

Milczeli oboje przez chwilę. Potem cicho, powoli, Silky przysunęła się i dotknęła jego ręki.

– Przepraszam.

– Ja również.

– To moja wina, prawda?

– Tak jakby... w pewnej mierze. W bardzo nieokreślony i abstrakcyjny sposób.

Wahając się, zapytała:

– Czy mogę cię o coś prosić?

– Oczywiście, o co chcesz.

– Czy... – Jej głos był tak cichy, że prawie go nie słyszał. Patrzyła na niego wielkimi oczyma, ciemnymi w przyćmionym świetle. – Jack, czy pocałujesz mnie? Tak po prostu?

Objąwszy ją mocno ramieniem przyciągnął do siebie, podniósł jej drobną twarz i pocałował w usta. Przyłgnęła do niego krucha, lekka i tak strasznie szczupła, potem nagle odsunęła się. Zmęczona, opuszczona istota, niemal zagubiona w mroku.

– Czuję się tak strasznie – wyjąkała.

– Nie...

– Czuję taką pustkę. Boli mnie wszystko. Dlaczego, Jack? Co to jest? Dlaczego?

– To minie – powiedział z przekonaniem.

– Nie chcę tak się czuć. Chcę ci coś dać. Ale nie mam nic, co mogłabym ofiarować. Jestem pustką. Czymś w rodzaju wolnego miejsca, prawda?

– Niezupełnie.

W ciemności poruszyło się coś błyszczącego. Podniosła się, stała naprzeciw niego zamazana, zlewająca się z tłem. Kiedy spojrział znowu, zobaczył, że wysliznęła się ze swego ubrania. Leżało obok niego starannie złożone.

– Chcesz mnie? – spytała z wahaniem.

– Teoretycznie...

– Przecież jesteś w stanie, wiesz o tym.

Uśmiechnął się ironicznie.

– Jestem?

– Pozwalam ci.

Hamilton podniósł zawiniątko z ubraniem i wręczył jej.

– Ubierz się i chodźmy na górę. Marnujemy czas, a obiad stygnie.

– To nie ma sensu?

– Nie – odparł ostro, starając się nie patrzeć na jej nagie, płaskie ciało. – To zupełnie nie ma sensu. Ale zrobiłaś, co mogłaś.

Gdy tylko się ubrała, wziął ją za rękę i poprowadził do drzwi. Gramofon wciąż odtwarzał bogatą kompozycję dźwięków „Dafnis i Chloe”. Żadne nie słuchało. Niepocieszeni, wspinali się po schodach.

– Przykro mi, że cię zawiodłam.

– Zapomnij o tym.

– Może potrafię wynagrodzić ci to w jakiś sposób. Może potrafię...

Głos dziewczyny ucichł. Drobne, suche palce, które trzymał w dłoni, odpływały gdzieś w nicość.

Zaszokowany, obrócił się i spojrział w dół.

Silky odeszła. Została wymazana z tego świata.

Stał jakby przygwożdżony do miejsca, gdy na górze otworzyły się drzwi i u szczytu schodów stanęła Marsha.

– O! – powiedziała zaskoczona. – Tutaj jesteście. Chodźcie na górę, mamy gości.

– Gości... – mruknął.

– Pani Pritchett. Przyproceedziła ze sobą wszystkich. Wygląda to jak oficjalne przyjęcie. Wszyscy się śmieją, są podekscytowani.

Otępiały, pokonał resztę schodów i wszedł do pokoju. Powitała go paplanina i ruch. W grupie stojących osób wyróżniała się wielka bryła ciała pani Pritchett. Ubrana bez smaku w futro i ozdobny, niemal groteskowy kapelusz. Jej tlenione blond włosy przylegały do pulchnej szyi i policzków.

– Ach, jesteś! – krzyknęła uszczęśliwiona, kiedy go ujrzała. – Niespodzianka! Niespodzianka!

Podnosząc wypchany tekturowy karton, wyznała głośno:

– Przyniosłam tutaj najcudowniejsze ciasteczka, jakie kiedykolwiek jedliście. I najwspanialsze owoce, które...

– Co z nią zrobiłaś? – zaczął ostro Hamilton, zmierzając w kierunku pani Pritchett. – Gdzie ona jest?

Przez moment pani Pritchett wydawała się zakłopotana. Potem piegowate waleczki tłuszczu na jej twarzy rozluźniły się w szelmowskim uśmiechu.

– Cóż, wyeliminowałam ją, zniosłam tę kategorię. Nie wiedziałaś?

Kiedy Hamilton uparcie wpatrywał się w panią Pritchett, podeszła do niego Marsha i cicho szepnęła:

– Bądź ostrożny, Jack. Bądź ostrożny.

Odwrócił się.

– Też w tym maczałaś palce?

– Możliwe – wzruszyła ramionami. – Edith zapytała mnie, gdzie jesteś, a ja powiedziałam.

Nie szczegółowo... tylko tak orientacyjnie.

– Do jakiej kategorii należała Silky?

Marsha uśmiechnęła się.

– Edith bardzo dobrze ją określiła.

– Musi ich być strasznie dużo – zauważył Hamilton. – Czy warto?

Za Edith Pritchett nadeszli Bill Laws i Charley McFeyffe, obaj obładowani wiktuałami.

– Wielkie święto – oznajmił Laws, skinąwszy na pół przepraszająco w stronę Hamiltona. –

Gdzie jest kuchnia? Muszę to położyć.

– Jak leci, przyjacielu? – spytał przebiegle McFeyffe, mrugając do Hamiltona. – Dobrze się bawisz? Mam dwadzieścia puszek piwa w torbie, jesteśmy urzędzeni.

– Świetnie – odparł oszołomiony Hamilton.

– Lekceważ to wszystko – dodał McFeyffe; jego szeroka twarz była czerwona i mokra od potu. – To znaczy wszystko, co ona wyprawia.

Za McFeyfre'em pojawiła się nieduża, ponura postać Joan Reiss. Obok niej szedł Dawid Pritchett.

Na końcu utykał zgorzkniały, dostoyny weteran wojenny. Jego pokryta zmarszczkami twarz była maską bez wyrazu.

– Wszyscy? – dopytywał się skonsternowany Hamilton.

– Będziemy bawić się w szarady – poinformowała go radośnie Edith Pritchett. – Wpadłam na ten pomysł dziś po południu – wyjaśniła Hamiltonowi. – Twoja rezolutna żoneczka i ja przeprowadziłyśmy długą, serdeczną pogawędkę.

– Pani Pritchett – zaczął Hamilton, ale Marsha przerwała mu szybko:

– Chodź do kuchni i pomóż mi przygotować jedzenie – powiedziała rozkazującym głosem.

Niechętnie pospieszył za nią. W kuchni byli już McFeyffe i Bill Laws; stali niepewnie, nie wiedząc, czym się zająć. Laws uśmiechnął się przełomie, krzywiąc twarz ni to z obawy, ni to z poczucia winy. Hamilton nie mógł tego rozstrzygnąć, ponieważ Laws odwrócił się szybko i zaczął odwijać niekończącą się stertę kanapek i zimnych dań. Pani Pritchett lubiła przystawki.

– Brydż – zaproponowała głośno. – Ale potrzebujemy przynajmniej czterech osób. Czy można na panią liczyć, panno Reiss?

– Obawiam się, że nie jestem najmocniejsza w brydżu – odparła bezbarwnym głosem panna Reiss. – Ale postaram się.

– Laws – odezwał się Hamilton. – Ty jesteś za inteligentny do tego. Rozumiem, że McFeyffe może grać...

Laws nie patrzył na niego.

– Martw się o siebie – powiedział ochryplym głosem. – To moja sprawa.

– Nie masz na tyle rozsądku, by...

– Massa Hamilton – Laws zaczął parodiować. – Moja chcieć wykorzystać całą szansę, moja wtedy żyć długo.

– Przestań – Hamilton poczuł się dotknięty. – Nie mów do mnie tym bełkotem.

Laws odwrócił się z drwiącym spojrzeniem. Ale trząśł się przy tym tak bardzo, że Marsha musiała wziąć od niego funt wędzonego boczku, który właśnie trzymał w dłoni.

– Zostaw go w spokoju – zbesztala męża. – To jego życie.

– I tu się mylisz – stwierdził Hamilton. – To jej życie. Możesz żywić się jedynie zimnymi daniami i kanapkami?

– To nie jest takie złe – zauważył filozoficznie McFeyffe. – Otrząśnij się, przyjacielu. To świat tej starszej damy, prawda? Ona nim rządzi i ona jest szefem.

W drzwiach pojawił się Arthur Silvester.

– Czy mógłbym dostać szklanek letniej wody i trochę sody? Mój żołądek coś dzisiaj niedomaga.

Kładąc rękę na wątłym ramieniu Silvestera, Hamilton odezwał się do niego:

– Arthurze, twój Bóg nie unosi się w górze nad nami, nie podoba ci się tutaj.

Silvester minął go bez słowa, podchodząc do zlewu. Otrzymałszy od Marshy szklanek ciepłej wody i sodę, skupił się na tym, jakby nic innego nie istniało.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć – cicho powiedział Hamilton do żony.

– Uwierzyć, w co, kochanie?

– Silky. Zniknęła. Całkowicie. Jak ćma, którą pochwycisz w dłonie.

Marsha obojętnie wzruszyła ramionami.

– Jest gdzie indziej. Z powrotem zebrze w prawdziwym świecie o drinki i...

Sposób, w jaki wypowiedziała słowo „prawdziwy”, spowodował, że zabrzmiało to nieprzyzwoicie i podejrzanie.

– Czy mogę w czymś pomóc? – nieśmiało pisnęła Edith Pritchett, pojawiając się w drzwiach; wielka masa trzęsącego się ciała zapakowana w skandalicznie krzykliwą suknię z jedwabiu. – Gdzie mogę znaleźć fartuszek?

– Nad szafką, Edith – odparła Marsha. Hamilton odsunął się z instynktowną niechęcią, kiedy kołysząc się przeszła obok niego. Uśmiechnęła się głupkowato.

– Proszę się nie dąsać, panie Hamilton, i nie psuć naszego spotkania.

Kiedy pani Pritchett podreptała z powrotem do pokoju, Hamilton zaatakował Lawsa.

– Masz zamiar pozwalać, żeby ten potwór kontrolował twoje życie?

Laws wzruszył ramionami.

– Nigdy nie miałem życia. Nazywasz życiem oprowadzanie ludzi po bewatronie? Ludzi, którzy nic z tego nie rozumieją, którzy przywędrowali tutaj z ulicy, grupy turystów bez wykształcenia?

– Co robisz teraz?

Dreszcz nie ukrywanej dumy przeszył Lawsa.

– Jestem zatrudniony jako pracownik naukowy w Lackman Soap Company w San Jose.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Pani Pritchett to wymyśliła. – Nie patrząc na Hamiltona wyjaśnił: – Produkuje tam te fantastyczne perfumowane mydełka do kąpieli.

– Jezu! – jęknął Hamilton.

– Niezbyt ciekawe, prawda? Nie dla ciebie, ale zapewniam cię, nie zginąłbyś z takim zajęciem jak to.

– Nie produkowałbym perfumowanych mydeł dla Edith Pritchett.

– Powiem ci coś. – Laws mówił niskim, niespokojnym głosem. – Spróbuj być przez chwilę kolorowym. Spróbuj kłaniać się i mówić „tak, panie” jakiemuś draniowi z białej hołoty, który akurat przechodzi obok ciebie, jakiemuś frajerowi z Georgii, który smarka wprost na podłogę. Kretynowi, który sam nie potrafi znaleźć nawet toalety, a ja mam go oprowadzać. Praktycznie muszę pokazywać nawet, jak ma ściągnąć spodnie. Spróbuj choć przez chwilę. Spróbuj przez sześć lat college’u zmywać naczynia po białych w dwudziestocentowych jadłodajniach. Słyszałem o tobie, twój ojciec był grubą rybą wśród fizyków. Mielicie mnóstwo pieniędzy, nie pracowałeś w żadnej jadłodajni. Spróbuj zdobyć wykształcenie, tak jak ja zdobyłem. Spróbuj przez parę lat chodzić z dyplomem w kieszeni, szukając pracy. Z opaską na rękawie oprowadzać ludzi po bewatronie. Jak Żyd w obozie koncentracyjnym. Wtedy może nie przeszkadzałoby ci funkcjonowanie zakładu, produkującego perfumowane mydełka.

– Nawet jeśli nie istnieje?

– Tutaj istnieje. – Ciemna, szczupła twarz Lawsa wyrażała ostry sprzeciw. – I ja też tutaj jestem i dopóki tak będzie, mam zamiar godzić się z losem.

– Ale – zaprotestował Hamilton – to iluzja.

– Iluzja – Laws sarkastycznie wyszczerzył zęby, twardą pięścią uderzył o ścianę w kuchni – dla mnie wystarczająco realna.

– Przecież to wszystko jest myślami Edith Pritchett. Człowiek o twoim poziomie intelektualnym...

– Oszczędź sobie – przerwał brutalnie Laws. – Nie chcę o tym słyszeć. Tam nie byłeś tak zainteresowany moją inteligencją. Nie męczyło cię to specjalnie, nie przeszkadzało.

– Tysiące ludzie są przewodnikami – odparł Hamilton.

– Ludzie tacy jak ja, ale nie tacy jak ty. Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jest mi lepiej? Z twojego powodu, Hamilton. To twoja wina, nie moja. Przemyśl to. Gdybyś zrobił wtedy jakiś gest... ale nie zrobiłeś. Masz swoją żonę, dom, kota, samochód i pracę. Wszystko w porządku... naturalnie chcesz wrócić tam znowu. Ale ja nie, żyje mi się tu dobrze. I ja nie wrócę.

– Wrócisz, jeśli ten świat zniknie – stwierdził Hamilton. Zimna, dławiąca nienawiść pojawiła się na twarzy Lawsa.

– Chciałbyś to przerwać?

– Oczywiście.

– Chcesz, żebym znowu chodził z opaską na ramieniu, prawda? Jesteś taki sam jak reszta, dokładnie taki sam. Nigdy nie wierz białemu, tego mnie uczyli, ale ja myślałem, że jesteś moim przyjacielem.

– Laws – odezwał się Hamilton – jesteś najbardziej znerwicowanym skurwysynem, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

– Jeśli jestem, to z twojej winy.

– Przykro mi, że myślisz w tej sposób.

– To prawda – stwierdził z naciskiem Laws.

– Niezupełnie. Tylko część jest prawdą. Może masz rację, może powinieneś tutaj zostać. Może byłoby to lepsze miejsce dla ciebie. Pani Pritchett zadba o ciebie, jeśli będziesz chodził na czworakach i przytakiwał... Jeśli będziesz się trzymał we właściwej odległości i nie znudzisz jej. Jeśli zaakceptujesz perfumowane mydełka, zimne przystawki i lekarstwa na astmę. W realnym świecie musiałeś walczyć ze wszystkimi. Teraz odpoczywasz, ale i tak nie wygrasz.

– Przestań go gnębić – wtrącił przysłuchujący się rozmowie McFeyffe. – To Murzyn.

– Mylisz się – odparł Hamilton. – To człowiek i jest zmartwiony przegraną. Ale nie wygra tutaj, tak samo jak i ty nie wygrasz. Nikt nie wygra poza Edith Pritchett.

Zwrócił się do Lawsa.

– To gorsze niż być popychanym przez białych... w tym świecie jesteś całkowicie w rękach tłustej, białej kobiety.

– Obiad gotowy – zawołała ostro Marsha z pokoju gościnnego. – Proszę przyjść i częstować się.

Jeden za drugim wchodzili do pokoju. Hamilton zjawił się na czas, by ujrzeć kiciusia Matołka, który przyciągnięty zapachem jedzenia stanął w drzwiach. Rozbudzony, wyszedł ze

swojego pudełka po butach umieszczonego w niszy i pomaszerował prosto w kierunku Edith Pritchett.

– Boże! – odezwała się gniewnie, trochę zaskoczona. Kiciuś Matolek, przygotowujący się do skoku na czyjeś kolana, zniknął. Pani Pritchett szła dalej niewzruszona, ściskając tacę.

– Załatwiła twojego kota – powiedział głośno i oskarżająco Dawid Pritchett.

– Nie martw się – mruknęła obojętnie Marsha. – Jest ich dużo więcej.

– Nie – poprawił ją Hamilton. – Nie ma ich. Pamiętasz? Załatwiła wszystkie koty.

– Co pan powiedział? – zapytała pani Pritchett. – Co to za określenie? Nie zrozumiałam.

– Nie szkodzi. – Marsha szybko siadła przy stole i zaczęła podawać przystawki.

Inni też zajęli swoje miejsca. Ostatni zjawił się Arthur Silvester. Po wypiciu wody z sodą wyszedł z kuchni, niosąc dzbanek z herbatą.

– Gdzie mogę postawić? – zapytał wypatrując wolnego miejsca na stole dla wielkiego, szklanego naczynia, które trzymał w drżących rękach.

– Wezmę go – odparła pani Pritchett.

Gdy Silvester podszedł do niej, wyciągnęła rękę po dzbanek. Bez zmużenia oka podniósł go do góry i upuścił na głowę kobiety z całą swą starczą siłą. Wszyscy poderwali się, wydając jęk zaskoczenia.

Chwilę wcześniej Arthur Silvester zniknął. Dzbanek wyśliznąwszy się ze znikających rąk spadł na dywan.

Rozlana herbata utworzyła na nim brzydką plamę.

– O, Boże! – krzyknęła wzburzona pani Pritchett.

Wraz z Arthurem Silvesterem zniszczony dzbanek przestał istnieć.

– Jakie to przykre – odezwała się po chwili Marsha.

– Dobrze, że jest po wszystkim – powiedział cienkim głosem Laws, jego ręce drżały. – To już skończone.

Joan Reiss wstała gwałtownie.

– Nie czuję się dobrze. Wrócę za chwilę.

Odwróciła się szybko, wyszła do hallu i zniknęła w sypialni.

– Coś nie w porządku? – dopytywała się zaniepokojona pani Pritchett, spoglądając na zebranych. – Czy coś ją zdenerwowało? Może mogę...

– Panno Reiss – zawołała niecierpliwym, przejmującym głosem Marsha. – Proszę do nas wrócić, jemy obiad.

– Muszę zobaczyć, co ją zmartwiło – westchnęła pani Pritchett wstając.

Hamilton był już na zewnątrz.

– Ja tam pójdę.

Panna Reiss siedziała w sypialni z rękami na kolanach, obok leżały torebka, płaszcz

i kapelusz.

– Mówiłam mu, żeby nie... – odezwała się cicho do Hamiltona.

Zdjęła swe rogowe okulary, bawiła się nimi bezwiednie. Jej oczy były szkliste, prawie bezbarwne.

– To nie był sposób na nią – mruknęła.

– Więc zaplanowaliście wszystko?

– Oczywiście. Arthur, chłopiec i ja. Spotkaliśmy się dzisiaj, tylko na siebie mogliśmy liczyć. Baliśmy zbliżyć się do ciebie ze względu na twoją żonę.

– Możecie na mnie polegać – odparł.

Panna Reiss wyjęła małą buteleczkę z torebki i położyła obok siebie na łóżku.

– Chcemy ją uśpić – powiedziała beznamiętnie. – Jest stara.

Chwyciwszy butelkę Hamilton przyjrzał się jej pod światło. Był to ciekły chloroform używany do odurzania okazów biologicznych.

– Ale to ją zabije.

– Nie, nie zabije.

W drzwiach pojawił się zaniepokojony Dawid.

– Lepiej wracajcie... matka zaczyna się denerwować.

Wstając, panna Reiss wzięła butelkę i schowała ją do torebki.

– Już w porządku. Byłam zaskoczona. Obiecał, że tego nie zrobi... ale ci starzy oficerowie...

– Ja to zrobię – stwierdził Hamilton.

– Dlaczego?

– Nie chcę, żebyś ją zabiła. A wiem, że tak by się stało.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Potem panna Reiss szybkim, niecierpliwym ruchem wyłowiła butelkę z torebki i wepchnęła mu ją w dłoń.

– Zrób to. Dziś wieczorem.

– Nie. Jutro. Wywiozę ją za miasto, na wycieczkę. Pojedziemy w góry, wcześniej rano. Jak tylko się rozjaśni.

– Nie przestrasz się i nie zrezygnuj.

– Nie – odparł, chowając butelkę. Był pewien swej decyzji.

Świeciło chłodne, październikowe słońce. Na trawnikach widać było szron. Wczesnym rankiem miasto Belmont stało spokojne w chmurze białoniebieskiej mgły. Autostradą sunęły samochody, jeden za drugim, kierując się w górę półwyspu, ku San Francisco.

– Ojej – odezwała się zirytowana pani Pritchett. – Jaki tu ruch!

– Nie pojedziemy tamtędy – wyjaśnił Hamilton, skręcając ffordem coupe z autostrady Bayshore na boczną drogę. – Udamy się w kierunku Los Gatos.

– A potem? – spytała ożywiona, z dziecinną niemal ciekawością. – Nigdy nie jechałam tą drogą.

– Dalej cały czas w stronę oceanu – tłumaczyła podekscytowana Marsha. – Pojedziemy szosą numer jeden, a potem wybrzeżem aż do Big Sur.

– Gdzie to jest? – zapytała z wahaniem pani Pritchett.

– W górach Santa Lucia, nieco poniżej Monterey. Bliskie i jakże piękne miejsce na piknik.

– Cudownie – stwierdziła pani Pritchett, usadowiając się wygodnie i składając ręce na kolanach. – Jakże miło, że zaproponował pan ten piknik.

– Ależ, drobiazg – odparł Hamilton, naciskając pedał gazu.

– Nie rozumiem, co mieliście przeciwko parkowi Golden Gate – odezwał się podejrzliwie McFeyffe.

– Za dużo ludzi – odezwała się rozsądnie panna Reiss. – Big Sur jest częścią Rezerwatu Federalnego. Nadal jest dziki.

Pani Pritchett wyglądała na zamyśloną.

– Czy będziemy bezpieczni?

– Całkowicie – zapewniła ją panna Reiss. – Nie stanie się nic złego.

– Czy nie powinien pan być w pracy, panie Hamilton? – spytała pani Pritchett. – Przecież to nie wakacje. Pan Laws jest w pracy.

– Wziąłem wolny dzień – odparł Hamilton. – Będę mógł was obwieźć.

– Wspaniale – wykrzyknęła pani Pritchett, klepiąc się po kolanach.

Ssąc cygaro, McFeyffe powiedział:

– O co ci chodzi, Hamilton? Czy próbujesz nas nabrać?

Smuga dymu popłynęła w kierunku tylnego siedzenia, gdzie siedziała pani Pritchett. Marszcząc brwi, zlikwidowała cygara. McFeyffe zaczął chwytać powietrze, na moment jego twarz mocno poczerwieniała, potem stopniowo zbladła.

– Uh – mruknął.

– Co pan mówi? – zainteresowała się pani Pritchett. McFeyffe nie udzielił odpowiedzi,

niezdarnie przeszukiwał kieszenie, łudząc się, że choć jedno cygaro zostało przeoczone.

– Pani Pritchett – odezwał się ostrożnie Hamilton – czy wie pani, że Irlandczycy nie mają żadnego wkładu w dziedzictwo kulturowe ludzkości? Nie ma irlandzkich malarzy, muzyków.

– Jezus Maria! – krzyknął przerażony McFeyffe.

– Nie ma muzyków? – powtórzyła zdumiona. – Naprawdę tak jest? Nie, nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Irlandczycy to rasa barbarzyńców – kontynuował Hamilton z sadystyczną przyjemnością.
– Wszystko co robią...

– George Bernard Shaw! – zagrzmiął przestraszony McFeyffe. – Największy dramaturg świata. William Butler Yeats, największy poeta. James Joyce, naj... – przerwał szybko – też poeta.

– Autor „Ulissesa” – dodał Hamilton. – Skazany na banicję za lubieżność i wulgarne kawałki.

– To wielka sztuka – zaskrzeczał McFeyffe. Pani Pritchett rozmyślała chwilę.

– Tak – podjęła decyzję. – Sąd ustalił, że to sztuka. Nie, panie Hamilton, myślę, że nie ma pan racji. Irlandczycy byli bardzo utalentowani zarówno w dziedzinie teatru jak i poezji.

– Swift – szepnął odważnie McFeyffe. – Napisał „Podróże Guliwera”, słynne dzieło.

– W porządku – zgodził się Hamilton. – Nie miałem racji.

McFeyffe, prawie nieprzytomny ze strachu, sapał i ocierał pot, jego twarz była szara.

– Jak mogłeś – mruknęła oskarżająco Marsha. – Ty potworze!

Panna Reiss, rozbawiona, przyglądała się Hamiltonowi z zainteresowaniem.

– Poczyna pan sobie całkiem ostro.

– Tylko na tyle, na ile chcę – odparł Hamilton nieco sobą zdziwiony. – Przepraszam, Charley – rzekł po zastanowieniu.

– Nie szkodzi – odburknął szorstko McFeyffe.

Po prawej stronie drogi rozciągały się nieurodzajne gleby. Kiedy tamtędy przejeżdżali, Hamilton próbował sobie przypomnieć, czy przedtem czegoś tu nie było? W końcu, z wielkim wysiłkiem, uzmysłowił sobie, że powinien stać tutaj hałaśliwy, pełen ruchu kombinat przemysłowy: zespół fabryk i oczyszczalni. Farby, smary, chemikalia, plastik, budulce... wszystko znikło. Pozostała tylko otwarta przestrzeń.

– Byłam tu kiedyś wcześniej – odezwała się pani Pritchett, śledząc wyraz jego twarzy. – Usunęłam te rzeczy. Wstrętne, cuchnące, hałaśliwe.

– Więc nie ma już fabryk? – zaciekawiał się Hamilton. – Bill Laws musi czuć się rozczarowany bez swojej fabryki mydła.

– Fabryki mydła pozostawiłam – stwierdziła świętoszkowato pani Pritchett. – Te przynajmniej ładnie pachną.

Hamiltona zaczęło to już w pewnym stopniu bawić. Jej poczynania były absurdalne, niebezpieczne i niszczyielskie. Machnięciem ręki wymazywała całe rejony przemysłowe na świecie. Oczywiście ta fantazja nie mogła długo trwać. Jej podstawowa struktura załamywała się i rozpadała. Nikt się nie rodził, nic nie wytwarzano... całe kategorie rzeczy i zjawisk po prostu nie istniały. Seks i prokreacja były jedynie przypadkami klinicznymi. Fantasmagorie tej kobiety upadały wskutek braku wewnętrznej logiki.

To podsunęło mu pewien pomysł. Może obrał złą strategię? Może nie trzeba było głaskać kota pod włos?

Tylko że tu nie ma żadnych kotów. Wspomniał kiciusia, poczuł się smutny i przygnębiony. Tylko dlatego, że kocur przypadkiem znalazł się na jej drodze... ale przynajmniej w realnym świecie koty istniały. Arthur Silvester, kiciuś, komary, fabryki, Rosja jakoś tam sobie nadal radziły. Pocieszył się trochę.

Kiciusiowi nie spodobałoby się tutaj w żadnym wypadku. Muchy, myszy i susły były już załatwione.

– Spójrzcie – powiedział Hamilton, rozpoczynając eksperyment. Wjeżdżali do zrujnowanego, brudnego miasta. Lokale gier, saloony, zaniedbane hotele.

– Hańba – zdecydował. – Jestem oburzony.

Lokale gier, saloony, zaniedbane hotele przestały istnieć. Na całym świecie pojawiły się dalsze puste miejsca.

– Dużo lepiej – zauważyła nieco zaniepokojona Marsha. – Ale może niech pani Pritchett decyduje sama.

– Staram się tylko pomóc – odezwał się błyskotliwie. – W końcu pomagam szerzyć kulturę wśród ludu.

Panna Reiss chwyciła w lot.

– Spójrzcie na tego policjanta. Wręcza biednemu motocykliście mandat. Jak może?.

– Szkoda mi go – zgodził się litościwie Hamilton. – Wpadł w ręce krzepkiego dzikusa. Pewnie znowu Irlandczyk. Wszyscy są tacy.

– Wygląda raczej na Włocha – zaopiniowała pani Pritchett. – Ale czy policja nie czyni dobrze, panie Hamilton? Zawsze wydawało mi się...

– Policja tak – przyznał Hamilton – ale nie te gliny z drogówki. To co innego.

– O... rozumiem – pani Pritchett skinęła głową. Policjanci z drogówki, łącznie z tym napotkanym, przestali istnieć. Wszyscy prócz McFeyffe'a odetchnęli.

– To nie moja wina – stwierdził Hamilton. – Miej pretensje do panny Reiss.

– Wykluczamy też pannę Reiss – zaproponował McFeyffe.

– No, Charlie – Hamilton wyszczerzył zęby – to nieludzkie.

– Oczywiście – przytaknęła surowo pani Pritchett. – Zdumiewa mnie pan, panie McFeyffe.

McFeyffe zamilkł i zaczął wyglądać przez okno.

– Ktoś powinien pozbyć się tych bagien – oświadczył – cuchną tak strasznie.

Błotniste bagna przestały cuchnąć. Nigdzie nie było już błota. Zamiast tego na skraju szosy pojawiła się niewielka nizina. Hamilton zastanawiał się, jak głęboko sięga. Chyba nie głębiej niż na kilka jardów... Nad drogą przeleciała gromada dzikiego ptactwa, mieszkańców dawnych bagien.

– Trzeba powiedzieć – zauważył Dawid Pritchett – że to niezła zabawa.

– To się przyłącz – zachęcił go Hamilton. – Czyżbyś był czymś zmęczony?

Dawid odparł wymijająco:

– Niczym nie jestem zmęczony. Chcę tylko zobaczyć to wszystko.

To otrzeźwiło Hamiltona.

– Masz rację – powiedział. – Nie pozwól, by ktokolwiek zmieniał twoje postanowienia.

– Cóż z tego, że zostanę naukowcem, skoro nie będzie nic do badania... Gdzie znajdę wodę ze stawu do obserwacji pod mikroskopem? Wszystkie stojące wody zniknęły.

– Stojące wody... – powtórzyła pani Pritchett. – Cóż to takiego? Nie jestem pewna...

– I nie ma porozbijanych butelek na polach – uskarżał się Dawid. – Nie mogę znaleźć chrząszczy do mojej kolekcji. Wytepiłaś wszystkie węże i dlatego nie mogę wypróbować mojej pułapki. Co dałaś mi w zamian za oglądanie wagoników z węglem pędzących w dal? Nie ma już węgla. Przechodziłem zawsze przez Parker Ink Company... już nie istnieje... Czy zostawisz cokolwiek?

– Ład i estetykę – zganiła go matka. – Zostaną dla ciebie tylko wspaniałe rzeczy. Nie chcesz się bawić czymś brudnym i nieprzyjemnym, prawda?

– A Eleanor Root? – żywo kontynuował Dawid. – Dziewczyna, która wprowadziła się do domu naprzeciwko. Chciała pokazać mi coś, czego nie mam, jeśli pójdę z nią do garażu. Zrobiłem tak, lecz nie było co oglądać. Ale nie przejąłem się tym specjalnie.

Pani Pritchett, purpurowiejąc, szukała słów.

– Dawidzie Pritchett – krzyknęła. – Jesteś zepsutym, małym zwyrodnialcem. Cóż, na Boga, dzieje się z tobą? Jak możesz się tak zachowywać?

– Przejął to po ojcu – zauważył Hamilton. – Zła krew.

– Zapewne – z trudem oddychając, pani Pritchett mówiła dalej. – Na pewno nie po mnie. Dawidzie, kiedy wrócimy do domu, sprawię ci takie lanie, że popamiętasz. Nie będziesz mógł usiąść przez tydzień. W całym moim życiu...

– Pozbądź się go – zauważyła filozoficznie panna Reiss.

– Nie waż się – zagrzmiął wojowniczo Dawid. – Lepiej nie próbuj. To wszystko, co mam do powiedzenia.

– Porozmawiam z tobą później – warknęła pani Pritchett. – Chcę go nauczyć, że nie może

przestawać z przyzwoitymi ludźmi, jeśli zamierza zachowywać się w tak plugawy sposób.

– Sam znam kilka takich sposobów – zaczął Hamilton, ale Marsha kopnęła go w kostkę, więc zamilkł.

– Na twoim miejscu – zauważyła cicho – nie chwaliłabym się. Zaniepokojona i zdenerwowana pani Pritchett w milczeniu spoglądała przez okno, eliminując coraz to nowe pojęcia. Stare farmy z chwiejącymi się wiatrakami dematerializowały się. Pordzewiałe samochody znikwały z pola widzenia. Dobudówek też już nie było. Tak samo jak martwych drzew, odrapanych stodół, stert śmieci, nędznie odzianych wędrownych zbieraczy owoców.

– Co to jest? – dopytywała się zirytowana pani Pritchett. Po prawej stronie sterczały niskie, brzydkie budynki z betonu.

– To – wyjaśnił Hamilton – elektrownia należąca do Pacific Gas Company. Z niej prowadzą kable wysokiego napięcia.

– To chyba pożyteczne? – zastanawiała się.

– Tak się uważa – przyznał Hamilton.

– Mogłyby być nieco bardziej atrakcyjne – zauważyła pani Pritchett.

Gdy znajdowali się na wysokości budynków, ich nieskomplikowane zarysy zafalowały. Zanim je minęli, elektrownia zmieniła się w zespół malowniczych, pokrytych dachówką domów o pastelowych ścianach, otoczonych kwiatami nasturcji.

– Cudownie – mruknęła Marsha.

– Poczekajmy chwilę, aż przyjdą elektrycy sprawdzić kable – odezwał się Hamilton. – Ale będą zdziwieni.

– Nie – poprawiła go panna Reiss. – Nic nie zauważą.

Nie było jeszcze południa, kiedy Hamilton zjechał z autostrady numer jeden w gęstą, zieloną puszcę: las Los Padres. Otoczyły ich masywne, czerwone drzewa. Po obu stronach wąskiej drogi prowadzącej do parku Big Sur i samego stoku Cone Peak rozsiane były ponure, zimne polanki.

– Jak tu strasznie – powiedział Dawid.

Droga wznosiła się. Dotarli już do rozległego, krzaczastego stoku ze sterczącymi wśród wiecznie zielonego poszycia skałami. Rosły tutaj w olbrzymich ilościach ulubione kwiaty Edith Pritchett: złote maki kalifornijskie. Pani Pritchett aż krzyknęła z zachwytem.

– Och! Jak pięknie! Zatrzymajmy się na piknik.

Hamilton uczynnie zjechał z drogi na samą łąkę. Samochód wpadł jeszcze w kilka kolein, zanim pani Pritchett zdążyła je zlikwidować. Chwilę później zatrzymali się, Hamilton wyłączył silnik. Nie było słyhać nic poza włączonym ogrzewaniem i krzykiem ptaków.

– No, tak – odezwał się Hamilton. – Jesteśmy na miejscu.

Z ożywieniem opuścili samochód. Mężczyźni wyciągnęli z bagażnika koszyki zjedzeniem;

Marsha wyjęła koc i kamerę. Panna Reiss przyniosła termos z gorącą herbatą. Dawid podskakiwał, biegał wokoło, uderzał długim kijem po gałęziach krzaków, aż wypłoszył stamtąd przepiórczą rodzinę.

– Jakie ładne – zachwyciła się pani Pritchett. – Spójrzcie na młode.

Nie było widać innych ludzi. Jedynie bezmiar zielonego, kołyszącego się lasu sięgał do nieskończonego długiego, ołowianoszarego pasa wody, za którym rozpościerała się ogromna, wzburzona powierzchnia Oceanu Spokojnego. Zdumiało to nawet Dawida.

– Do licha – szepnął. – Naprawdę jest duży.

Pani Pritchett wybrała odpowiednie miejsce na piknik. Rozłożono koc. Otworzono koszyki. Serwetki, papierowe talerzyki, widelce, filiżanki krążyły wokoło.

Niedaleko, w cieniu zielonych drzew, stał Hamilton przygotowując chloroform. Nikt nie zwracał nań uwagi, kiedy rozłożył chusteczkę i zaczął ją nasączać. Chłodny wiatr rozwiał opary. Żadnego niebezpieczeństwa dla pozostałych: nos, usta i układ oddechowy tylko jednej osoby były zagrożone. To będzie szybkie, bezpieczne i skuteczne.

– Co robisz, Jack? – odezwała się nagle Marsha nad jego uchem.

Podskoczył, przyłapany na gorącym uczynku, o mało nie upuszczając butelki.

– Nic – odparł krótko. – Wracaj i zacznij obierać jajka na twardo.

– Przecież coś robisz. – Zmarszczywszy brwi, Marsha zajrzała przez ramię. – Jack! Czy to trucizna na szczury?

Pokręcił głową:

– Lekarstwo na kaszel.

Błękitne oczy Marshy powiększyły się.

– Masz zamiar coś zrobić. Zawsze masz jakieś dziwne pomysły.

– Chcę położyć kres tej śmiesznej sprawie – potwierdził Hamilton. – Mam już tego dosyć.

Marsha chwyciła go mocno za ramię.

– Jack! Na Boga...

– Podoba ci się tutaj tak bardzo? – zapytał gorzko, odwracając wzrok. – Tobie, Lawsowi i McFeyffe'emu. Dobrze się bawicie. Kiedy ta wiedźma pozbywa się ludzi, zwierząt, insektów – wszystkiego, czego nie akceptuje jej ograniczona wyobraźnia.

– Jack, nie rób nic. Proszę, obiecaj mi.

– Przykro mi – odparł. – Wszystko już postanowione. Nie odkręcisz tego.

Spojrzawszy na nich, pani Pritchett krzyknęła:

– Wracajcie. Czekają kanapki i jogurt. Pospieszcie się, póki jeszcze coś zostało.

Zastępując mężowi drogę, Marsha powiedziała szybko:

– Nie pozwól. Po prostu nie możesz, Jack. Nie rozumiesz? Przypomnij sobie Arthura Silvestera, przypomnij...

– Zejdź mi z drogi – przerwał. – To paruje.

Nagle, ku jego zdumieniu, oczy Marshy wypełniły się łzami.

– O Boże! Kochanie, co ja pocznę? Nie zniosę tego, jeśli pozbędzie się Ciebie. Umrę.
Serce Hamiltona zmiękło.

– Jesteś głuptas.

– To prawda.

Łzy spływały jej po policzkach. Przytuliwszy się do męża, próbowała go zawrócić. Traciła jednak tylko siły. Panna Reiss tak skutecznie wymanewrowała Edith Pritchett, że ta stała teraz tyłem do Hamiltona. Dawid rozmawiając z ożywieniem, przykuł uwagę matki jakimś dziwnym, odkopanym przez siebie kamieniem, w końcu rzucił nim przed siebie. Sytuacja była sprzyjająca, drugiej takiej nie będzie.

– Odsuń się – odezwał się łagodnie. – Odwróć się, jeśli nie możesz patrzeć.

Wyswobodził się zdecydowanym ruchem z uścisku i odsunął ją na bok.

– To ze względu na Ciebie. Na Ciebie, Lawsa, kiciusia i resztę nas. Na cygara McFeyffe'a też.

– Kocham Cię, Jack – powiedziała drżącym głosem Marsha.

– Spieszę się – odparł. – Okay?

Skinęła głową.

– Okay. Powodzenia.

– Dziękuję.

Idąc w kierunku towarzystwa, odezwał się ponownie:

– Cieszę się, że wybaczyłaś mi Silky.

– A czy ty mi wybaczyłeś?

– Nie – stwierdził niewzruszony. – Być może przebaczę, kiedy ujrzę ją znowu.

– Mam nadzieję, że tak się stanie – odpowiedziała żałośnie Marsha.

– Trzymaj kciuki.

Zostawił ją i szybko przemierzał gąbczasty teren, idąc w kierunku pochylonej postaci Edith Pritchett. Zajęta była właśnie popijaniem gorącej, pomarańczowej herbaty z papierowej filiżanki. W lewej ręce trzymała zjedzone już w połowie jajko na twardo. Na potężnych kolanach leżał talerz z sałatką ziemniaczaną i duszonymi morelami. Kiedy Hamilton podszedł do niej i pochylił się, panna Reiss bez drżenia w głosie odezwała się do starszej kobiety:

– Pani Pritchett, czy zechciałaby pani podać mi cukier?

– Dlaczego nie, oczywiście – odparła grzecznie pani Pritchett, odkładając na bok resztę jajka i sięgając po zawiniątko z cukrem.

– Na Boga – zmarszczyła nos – co to za nieprzyjemny zapach?

Trzymana przez Hamiltona w drżących rękach chusteczka nasączona chloroformem

zniknęła. Butelka przestała już gnieść go w biodro, uwolnił się od niej. Pani Pritchett uprzejmię podała cukier pannie Reiss i powróciła do swego jajka na twardo. To był koniec. Cała strategia upadła, całkowicie i bez hałasu.

– Cudowna herbata – wykrzyknęła pani Pritchett, kiedy nadeszła Marsha. – Moje gratulacje, kochana. Jesteś urodzoną kucharką.

– Ha! – powiedział Hamilton. – To jest to.

Siadł na ziemi, zatarł ręce i zajął się ogłędzinami jedzenia.

– Co my tutaj mamy?

Dawid Pritchett spoglądał na niego zdziwionymi oczyma.

– Butelka zniknęła – jęczał. – Ona ją zabrała.

Ignorując go Hamilton zaczął degustację.

– Widzę, że trzeba będzie spróbować wszystkiego – odezwał się serdecznie. – Naprawdę wygląda apetycznie.

– Proszę się częstować – zachęcała wylewnie pani Pritchett z ustami pełnymi jedzenia. – Polecam ten cudowny seler i ser kremowy. To naprawdę wyśmienite.

– Dziękuję, z przyjemnością.

Zrozpaczony Dawid Pritchett skoczył na równe nogi i wskazując palcem matkę, krzyknął histerycznie:

– Ty stara, paskudna żabo! Zabrałaś nasz chloroform! Przez ciebie zniknął. Co teraz zrobimy?

– Tak, kochanie – stwierdziła rzeczowo pani Pritchett, nakładając sobie kolejną porcję sałatki ziemniaczanej. – To brzydki, obrzydliwie pachnący środek chemiczny i szczerze mówiąc nie wiem, do czego mógłby ci się przydać. Dlaczego nie skończysz posiłku i nie pójdziesz sprawdzić, ile gatunków paproci potrafisz zidentyfikować?

– Pani Pritchett, co zamierza pani z nami zrobić? – odezwała się zduszonym, nieco spiętym głosem panna Reiss.

– Łaskawa pani – odparła Edith Pritchett – co oznacza to pytanie? Proszę jeść, moi kochani. Jesteście zbyt szczupli, powinniście nabrać trochę ciała.

Cała grupa mechanicznie zaczęła jeść. Jedynie pani Pritchett wydawała się delectować posiłkiem, jadła ze smakiem... i to dużo.

– Jak tu spokojnie – zauważyła. – Tylko szum wiatru kołysze gałęziami sosen.

Gdzieś w oddali zabrzączał cicho samolot, patrol straży przybrzeżnej dokonywał przelotu wzdłuż linii wybrzeża.

– Popatrzcie – pani Pritchett ściągnęła brwi. – Nieproszony gość.

Ten samolot i wszystkie inne przestały istnieć.

– No, tak – odezwał się z niefrasobliwą drwiną Hamilton – to jest sposób. Ciekaw jestem, na

co teraz kolej?

– Wilgoć – odparła z naciskiem pani Pritchett.

– Nie rozumiem.

– Wilgoć. – Niecierpliwie wierciła się na poduszce. – Czuję wilgoć w ziemi. To bardzo męczące.

– Czy może pani zlikwidować abstrakcje? – dopytywała się panna Reiss.

– Mogę, kochanie.

Ziemia pod całą szóstką stała się gorąca i sucha jak tost.

– A wiatr? Nie uważacie, że jest przejmująco zimny? Wiatr osłabł i przyjemnie owiewał ich twarze.

Hamilton poczuł dzikie podniecenie. Co miał do stracenia? Nic im już nie pozostało, to był koniec.

– Czy nie wydaje się wam, że ocean ma nieodpowiedni kolor? – zakomunikował. – Dla mnie jest zbyt monotony.

Ocean nie był już nudnie ołowianoszary. Przybrał kolor wesołej, pastelowej zieleni.

– Dużo lepiej – wyznała Marsha.

Siedząc blisko męża, ścisnęła go kurczowo za ramię.

– Kochanie – zaczęła niepewnie.

– Spójrz na tę mewę krążącą nad wodą.

– Szuka ryb – stwierdziła panna Reiss.

– Złośliwy ptak – ocenił Hamilton. – Zabija bezbronne ryby.

Mewa zniknęła.

– Ale ryby zasługują na to – powiedziała w zamyśleniu panna Reiss. – Ich łupem są małe, jednokomórkowe pierwotniaki.

– Okrutne, paskudne ryby – poparł ją Hamilton.

Na wodzie pojawiło się kilka zmarszczek. Ryby jako rodzaj przestały istnieć. Ze środka stołu zniknął wędzony śledź.

– Och! – odezwała się Marsha. – Był sprowadzony z Norwegii.

– Musiał sporo kosztować – jęknął niewyraźnie McFeyffe. – Wszystkie importowane towary kosztują.

– Kto chce pieniędzy? – dopytywał się Hamilton.

Wyjął garść drobnych i rozrzucił je naokoło. Kawalki jasnego metalu błyszcząły w popołudniowym słońcu.

– Brudne pieniądze.

Lśniące blaszki zniknęły. Portfel w kieszeni dziwnie mlasnął, papierowe banknoty rozpląnęły się.

– Cudownie – chichotała pani Pritchett. – Jak miło z waszej strony, że mi pomagacie. Pozbywam się tego wszystkiego...

W oddali stokiem szła krowa. Kiedy na nią spojładali, krowa zrobiła coś, o czym nie mówi się w towarzystwie.

– Pozbądź się krów – krzyknęła panna Reiss. – Są niepotrzebne.

Edith Pritchett także poczuła się zdegustowana. Krowy już nie było. Tak samo jak paska Hamiltona. I butów jego żony, torebki panny Reiss. Wszystkie przedmioty wykonane ze skóry. Z obrusu zniknęły jogurt i ser kremowy.

Pochylając się panna Reiss szarpnęła mocno za kępkę wyschniętych, dokuczliwych trzciny.

– Jakie natrętne rośliny – uskarżała się. – Jedna z nich ukłuła mnie.

Trzciny zniknęły tak jak większość suchej trawy na polach, gdzie wcześniej pasły się krowy. W ich miejscu widniała goła, sucha ziemia.

Biegając wokół jak szalony, Dawid krzyknął:

– Znalazłem trujące dęby. Trujące dęby.

– W lasach jest ich mnóstwo – przyznał Hamilton. – I pokrzywy. I zdradzieckie pnącza.

Po ich prawej stronie zadrżały korony drzew. Lasem wstrząsnął słaby, niemal niewidoczny skurcz. Upadek wegetacji stał się ewidentny.

Marsha z ciężkim sercem zdjęła pozostałość swoich butów – nici i metalowe spinki.

– Czy to nie smutne? – powiedziała żałośnie do Hamiltona.

– Zlikwiduj buty – zaproponował Hamilton.

– To dobry pomysł – zgodziła się pani Pritchett, jej oczy pojaśniały z ożywieniem. – Buty krępują stopy.

Resztki butów zniknęły w rękach Marshy, tak samo jak buty pozostałych osób. Wielkie, jaskrawe skarpetki McFeyffe’a wyrzwały na słońce. Zmieszany, schował stopy pod siebie.

Na horyzoncie dostrzegli smużkę dymu z parowca.

– Głupi kupiecki frachtowiec – stwierdził Hamilton. – Wymaż go z krajobrazu.

Mgiełka ciemnego dymu zniknęła. Transport morski dobiegł kresu.

– Dużo czystszy świat – skomentowała panna Reiss. Autostradą jechał samochód. Słysząc było popiskujące fałszywie radio.

– Zlikwiduj radia – polecił Hamilton. Hałas ucichł.

– Odbiorniki telewizyjne i kina.

Nie wystąpiły żadne widoczne zmiany. Niemniej życzenie zostało spełnione.

– Pospolite instrumenty muzyczne: akordeony, harmonijki i gitary.

Na całym świecie wszystkie te instrumenty zniknęły.

– Reklamy – wykrzyknęła panna Reiss, gdy jadąca autostradą wielka ciężarówka z wymalowanymi na skrzyni kolorowymi reklamami zbliżyła się do nich.

Napisy rozpląnęły się.

– Ciężarówka także.

Ciężarówka zniknęła, rzucając kierowcę do rowu na skraju drogi.

– Jest ranny – odezwała się słabo Marsha.

Kierowcy już nie było.

– Benzyna – powiedział Hamilton. – Wiozła ją ta ciężarówka.

Na całym świecie zniknęła benzyna.

– Olej i terpentyna – dodała panna Reiss.

– Piwo, alkohol, herbata – ciągnął Hamilton.

– Naleśniki, miód, jabłeczniki – podsuwała panna Reiss.

– Jabłka, pomarańcze, cytryny, morele i gruszki – dorzuciła Marsha.

– Rodzynki i brzoskwinie – mruknął opryskliwie McFeyffe.

– Orzechy, słodkie ziemniaki – powiedział Hamilton. Pani Pritchett sumiennie likwidowała poszczególne kategorie rzeczy. Filiżanki były puste. Zapasy jedzenia topniały.

– Jajka i parówki – wykrzyknęła panna Reiss podskakując.

– Sery, klamki, wieszaki – przyłączył się Hamilton. Pani Pritchett zachichotała.

– Naprawdę – wysapała rozbawiona – czy nie posuwamy się za daleko?

– Cebula, tostery, szczotki do zębów – kontynuowała wyliczankę Marsha.

– Siarka, ołówki, pomidory i mąka – wyrecytował Dawid, kołysząc się w takt słów.

– Ziola, samochody i pługi – krzyknęła panna Reiss. Stojący za nimi ford coupe zniknął. Na wzgórzach i stokach parku Big Sur roślinność ponownie zubożała.

– Chodniki – zaproponował Hamilton.

– Studnie i zegary – dodała Marsha.

– Politura – wrzasnął Dawid podnosząc się i siadając.

– Szczotki do włosów – powiedziała panna Reiss.

– Komiksy – przypomniał sobie McFeyffe. – Wszystkie kruche ciasta, te z napisami też.

Wszystkie francuskie specjały.

– Krzesła – dorzucił Hamilton, nagle oszołomiony ich odwagą.

– I tapczany.

– Tapczany są niemoralne – zgodziła się panna Reiss. – Precz z nimi. I szkło. Wszystko co szklane.

Pani Pritchett wypełniając dokładnie jej polecenie, zlikwidowała swoje okulary i wszystkie pokrewne przedmioty we wszechświecie.

– Metal – wykrzyknął słabym, zdumionym głosem Hamilton. Zamek błyskawiczny u jego spodni zniknął. To, co zostało z termosu – metalowa osłona – także przepadło. Zegarek Marshy, plomby w zębach, zapinki w damskiej bieliźnie, wszystko przestało istnieć.

Dawid podskoczył jak szalony, wrzeszcząc:

– Odzież!

W okamgnieniu byli nadzy. Praktycznie nie zwrócili na to uwagi, jako że pojęcie seksu dawno już nie istniało.

– Roślinność – powiedziała Marsha, wstając i trwożliwie przysuwając się do męża.

Tym razem zmiana była zdumiewająca. Wzgórza, rozległe górskie przestrzenie stały się gładkie jak kamień. Nie pozostało nic poza brązową ziemią, wysuszoną przez chłodne, jesienne słońce.

– Chmury – odezwała się panna Reiss, krzywiąc twarz. Kilka delikatnych białych obłoczków dryfujących nad nimi zniknęło.

– I mgła.

Słońce pojaśniało gwałtownie.

– Oceany – powiedział Hamilton. Pastelowozielona przestrzeń mignęła nagle, pozostała tylko niewiarygodnie głęboka jama suchego piasku, rozciągająca się tak daleko, jak okiem sięgnąć. Wstrząśnięty, zawahał się na chwilę, dając czas panie Reiss, by krzyknęła:

– Piasek.

Olbrzymi dół pogłębił się. Nie było już widać dna. Niski, złowróżbny huk wstrząsnął podłożem, równowaga geologiczna została zachwiana.

– Prędko – dyszała panna Reiss, krzywiąc z pasją twarz. – Co dalej? Co zostało?

– Miasta – wydusił Dawid. Hamilton odsunął go zniecierpliwiony.

– Kanały – ryknął.

Znaleźli się na równinie, wszystkie zagłębienia zostały zlikwidowane. Sześć nagich, białych postaci popatrzyło wokół gorączkowo.

– Wszystkie zwierzęta oprócz ludzi – wysapała panna Reiss. Tak się stało.

– Wszystkie istoty żyjące oprócz ludzi – uzupełnił Hamilton.

– Kwasy – wykrzyknęła panna Reiss, momentalnie upadając na kolana ze zniekształconą bólem twarzą.

Wszyscy wili się w męce, skład chemiczny organizmów zmienił się radykalnie.

– Sole metali – wrzasnął Hamilton.

– Azotany – dodała ostro panna Reiss.

– Fosfor.

– Chlorek sodu.

– Jod.

– Wapń – półprzytomna panna Reiss upadła na łokcie.

Leżeli rozciągnięci bezradnie na ziemi, cierpiąc niewymownie. Nalane, drżące ciało Edith Pritchett wiło się spazmatycznie, z jej ust wyciekała ślina, kiedy usiłowała skupić się nad

kolejnymi pojęciami.

- Hel – jęknął Hamilton.
- Dwutlenek węgla – szepnęła słabo panna Reiss.
- Neon – wydusił Hamilton.

Wszystko wokół zafalowało i pociemniało, pograżyli się w chaosie nieskończoności, ponurej ciemności.

- Freon, gleon.
- Wodór – wyszeptaly wśród cieni wokół usta panny Reiss.
- Azot – jęknął Hamilton, gdy wir nieistnienia zamknął się wokół niego.

W ostatnim słabym przyptywie energii panna Reiss uniosła się i drżącym głosem szepnęła:

- Powietrze.

Warstwa atmosfery przestała istnieć. Z pustymi płucami Hamilton tonął powoli w miażdżących oparach śmierci.

Kiedy wszechświat odpływał... dostrzegł, jak bezwładne ciało Edith Pritchett wiło się w drgawkach; świadomość i osobowość opuściły ją.

Wygrali. Utraciła nad nimi władzę. Doprowadzili rzecz do końca, nareszcie, choć w agonii, byli wolni.

Żył. Leżał wyciągnięty, zbyt wyczerpany, by się poruszyć. Jego tors unosił się i opadał, palce ścisnęły ziemię. Gdzie, u diabła, się znajdował?

Z ogromnym wysiłkiem otworzył oczy.

To nie był świat pani Pritchett. Wokoło ciemność pulsowała jak serce, napierając złowieszczo. Jak przez mgłę odróżniał pozostałe kształty rozciągnięte wokół.

Niedaleko leżała Marsha, cicho i bezwładnie. Za nią Charley McFeyffe, z otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczyma. W mroku ledwo rozpoznawał Arthura Silvestera, Dawida Pritcheta, ciągle nieprzytomnych.

Więc powrócili do bewatronu? Przeszył go krótki, przejmujący dreszcz radości... i minął. Nie. To nie był bewatron.

W głębi gardła zbulgotało i głuchy jęk wydostał się spomiędzy warg. Desperacko, chaotycznie, usiłował uciec od rzeczy, majaczącej gdzieś w górze; cienkiej, kościstej powłoki życia, która, kurcząc się, pochylała się nisko ku niemu.

W uchu rozbrzmiewał suchy, świdrujący szept. Wibrując równomiernie, bębnił i odbijał się echem, nadchodząc raz po raz, dopóki Hamilton nie przestał próbować go zagłuszyć i zaniechał bezskutecznych wysiłków, by go oddalić.

– Dziękuję – usłyszał metaliczny szept. – Wykonałeś swoje zadanie bardzo dobrze. Stało się tak, jak planowałam.

- Odejdź! – wrzasnął.

– Odejdę – obiecał głos. – Chcę, żebyś wstał i zajął się własnymi sprawami. Chcę cię mieć na oku. Wszystko, co dotyczy ciebie, jest bardzo interesujące. Obserwowałam cię już długo, ale nie tak, jak chciałam. Chcę widzieć cię z bliska, w każdej chwili. Chcę wiedzieć o wszystkim, co robisz. Chcę być wokół ciebie, wewnątrz ciebie, gdzie będę mogła do ciebie dotrzeć, gdy tylko będę potrzebowała. Chcę móc dotykać ciebie. Chcę mieć nad tobą władzę. Chcę widzieć, jak reagujesz. Chcę. Chcę...

Teraz wiedział, gdzie jest. Wiedział, w czym znaleźli się świecie. Rozpoznał chłodny, metaliczny szept bezlitośnie docierający do jego mózgu i uszu.

Był to głos Joan Reiss.

– Dzięki Bogu – powiedział głos powoli i wyraźnie. Energiczny głos kobiety. – Wróciliśmy. Jesteśmy z powrotem w prawdziwym świecie.

Kałuże ciemności zniknęły. Rozciągał się przed nimi znajomy krajobraz, las i ocean. Zieleń parku Big Sur i wstęga autostrady u stóp Cone Peak znów istniały.

Nad nimi znajdowało się żywe, błękitne, popołudniowe niebo. Złote maki kalifornijskie pobłyskiwały w jesiennej mgle. Powrócił stół biesiadny, słiki, naczynia, papierowe talerzyki i filizanki. Po prawej stronie rósł chłodny, wiecznie zielony las. Opodał, na skraju łąki, stał zaparkowany ford coupe, jasny i błyszczący.

Nad zamglonym horyzontem przeleciała mewa. Dieselowska ciężarówka hałaśliwie sunęła drogą, zostawiając za sobą chmury czarnych spalin. W suchych gałęziach krzewów na zboczu przemknęła w stronę swej brudnej, kruchej norki wiewiórka ziemna.

Wokół Hamiltona poruszali się pozostali. Było ich siedmioro. Bill Laws, gdzieś w San Jose, opłakiwał zniknięcie fabryki mydła. W zgiętej bólem postaci Hamilton rozpoznał swoją żonę. Marsha uklękła, drząc rozglądała się bezmyślnie wokoło. Tuż za nią leżała nadal bezwładna Edith Pritchett, dalej Arthur Silvester i Dawid Pritchett. Na skraju polany ocknął się Charley McFeyffe.

Tuż obok Hamiltona siedziała szczupła, schludna Joan Reiss. Zabrała swoje okulary i torebkę. Jej twarz była prawie bez wyrazu, kiedy ostrożnie dotknęła swego mocno spiętego koka.

– Dzięki Bogu – powtórzyła, wstając zręcznie z miejsca. – Minęło.

To jej głos obudził Hamiltona. McFeyffe patrzył na nią bezmyślnie, twarz miał pobladłą.

– Wróciliśmy – powtórzył beznamiętnie.

– Jesteśmy z powrotem w prawdziwym świecie – stwierdziła rzeczowo panna Reiss. – Czyż to nie cudowne?

Następnie zwróciła się do nieruchomej, rozciągniętej na wilgotnej trawie postaci:

– Proszę wstać, pani Pritchett. Nie ma już pani nad nami władzy. – Pochylając się uszczypnęła ją w rękę. Wszystko wróciło do normy.

– Dzięki Bogu – mruknął żałośnie Arthur Silvester, usiłując wstać. – O Boże, co za okropny głos.

– To już koniec? – westchnęła Marsha.

Jej brązowe oczy zabłysły niedowierzaniem i ulgą. Otrząsane się, wstała niepewnie.

– Ta straszna zjawa na końcu... Zaledwie uchwyciłam jej zarys...

– Co to było? – dopytywał się Dawid Pritchett, drżąc ze strachu. – To miejsce i ten głos mówiący do nas...

– Minęło – powiedział słabo McFeyffe. – Jesteśmy bezpieczni.

– Pomogę panu wstać, panie Hamilton – odezwała się panna Reiss, idąc ku niemu.

Wyciągnęła szczupłą, kościstą rękę i uśmiechała się swoim bladym, bezbarwnym uśmiechem.

– Jak pan się czuje z powrotem w prawdziwym świecie?

Nie był w stanie nic powiedzieć. Mógł tylko leżeć, skamieniały z przerażenia.

– No jazda – powiedziała spokojnie panna Reiss. – Będzie pan musiał wstać prędzej czy później.

Wskazując forda wyjaśniła:

– Chcę, aby zawiózł nas pan z powrotem do Belmont. Im wcześniej każdy wróci do domu, zdrowy i bezpieczny, tym będę szczęśliwsza.

Na jej surowej twarzy nie było śladu emocji.

– Chcę widzieć was wszystkich, tam gdzie powinniście się znajdować. Dopiero wtedy będę usatysfakcjonowana.

Prowadził samochód odruchowo, bezmyślnie, bez udziału woli – podobnie było z innymi czynnościami. Przed nimi, wśród szarych wzgórz, ciągnęła się autostrada stanowa, gładka, starannie utrzymana. Od czasu do czasu mijały ich samochody, byli w pobliżu Bayshore Freeway.

– To nie potrwa długo – mówiła panna Reiss. – Jesteśmy prawie w Belmont.

– Słuchaj – odezwał się ochryplym głosem Hamilton. – Przestań udawać. Przestań bawić się w tę sadystyczną grę.

– O jaką grę chodzi? – dopytywała się łagodnie panna Reiss. – Nie rozumiem pana, panie Hamilton.

– Nie jesteśmy w prawdziwym świecie. Jesteśmy w twoim prozaicznym, okrutnym...

– Ale ja stworzyłam go dla was – wyjaśniła panna Reiss. – Nie widzicie tego? Rozejrzyjcie się wokół. Czyż nie wykonałam dobrej roboty? To wszystko zostało zaplanowane znacznie wcześniej. Znajdziecie wszystko na swoim miejscu, nie przeoczyłam niczego.

Hamilton ścisnął kierownicę zbielełymi palcami.

– Czekałaś? Wiedziałaś, że po Edith Pritchett nastąpi twoja kolej?

– Oczywiście – wyjaśniła spokojnie, maskując zadowolenie. – Po prostu nie wpadł pan na to, panie Hamilton. Dlaczego Arthur Silvester pierwszy objął nad nami kontrolę? Ponieważ nie stracił przytomności. A dlaczego po nim była Edith Pritchett?

– Poruszała się – powiedziała wstrząśnięta Marsha. – Tam, na podłodze w bewatronie. Ja... my widzieliśmy ją w nocy, podczas snu.

– Powinna pani zwracać większą uwagę na swoje sny, pani Hamilton – zauważyła panna Reiss. – Mogłaby pani wtedy zobaczyć, kto leżał na przodzie. Po pani Pritchett ja byłam najbliższa przytomności.

– A po pani? – dociekał Hamilton.

– To nie ma znaczenia, kto byłby po mnie, ponieważ ja jestem ostatnia. Wróciliście... dotarliście do końca waszej wycieczki. Tu jest wasz mały świat, czyż nie jest cudowny? I należy do was. Dlatego go stworzyłam, żebyście mogli mieć to, czego pragniecie. Znajdziecie wszystko nietknięte... mam nadzieję, że rozpoczniecie życie takie, jak przedtem.

– Sądzę – powiedziała trzeźwo Marsha – że będziemy musieli. Nie mamy innego wyboru.

– Dlaczego nie pozwoli nam pani odejść? – zapytał mimochodem McFeyffe.

– Nie mogę tego zrobić – odparła. – Musiałabym przestać istnieć, aby tak mogło się stać.

– Niezupełnie – upierał się McFeyffe matowym, drżącym głosem. – Mogłaby pani pozwolić nam użyć czegoś, na przykład chloroformu, czegoś, co pozbawiłoby panią przytomności. Czegoś...

– Panie McFeyffe – przerwała chłodno panna Reiss. – Pracowałam bardzo ciężko. Planowałam to przez długi czas, od chwili wypadku w bewatronie. Od momentu kiedy pojęłam, że nadejdzie moja kolej. Czyż nie byłoby głupotą pozwolić temu wszystkiemu zmarnować się? Może nie będzie następnej szansy... Nie, to zbyt cenna okazja do stracenia. Nad wyraz cenna.

Po chwili odezwał się Dawid Pritchett.

– Oto Belmont.

– Jak miło wrócić do domu – powiedziała niepewnym głosem Marsha. – To takie śliczne miasteczko.

Hamilton, na polecenie panny Reiss, porzwoził wszystkich do domów. Na końcu został sam z Marsha. Siedzieli w samochodzie zaparkowanym przed domem panny Reiss. Ta, zebrawszy swoje rzeczy, zwinnie wyskoczyła na zewnątrz.

– Jedźcie do domu – nakazała. – Gorąca kąpiel i ciepłe łóżko będzie dla was najlepszą rzeczą na świecie.

– Dziękujemy – odparła Marsha niemal niedosłyszalnie.

– Spróbujcie odprężyć się i rozerwać – poinstruowała ich panna Reiss. – I proszę, spróbujcie zapomnieć o tym, co się wydarzyło. To już za wami, pamiętajcie!

– Tak – przytaknęła odruchowo Marsha, słysząc beznamiętny ton nauczycielki. – Będziemy

pamiętać.

Idąc ku schodom, panna Reiss stanęła na chwilę. Otulona w długi, aksamitny płaszcz, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Z torebką na ramieniu, rękawiczkami i egzemplarzem „New Yorkera” kupionym w kiosku, mogła być wracającą z pracy urzędniczką. Chłodny, wieczorny wiatr potargał jej włosy koloru piasku. Ukryte za okularami w rogowej oprawie oczy były powiększone i zniekształcone. Patrzyła na dwoje ludzi w samochodzie.

– Może wpadnę za kilka dni w odwiedziny – zaproponowała. – Moglibyśmy spędzić przyjemny wieczór po prostu siedząc i gawędząc.

– Tak – wydusiła Marsha. – Byłoby nam miło.

– Dobranoc – powiedziała panna Reiss, kończąc rozmowę. Skinęła rażno głową, odwróciła się, weszła po schodach, potem otworzyła masywne, frontowe drzwi i zniknęła w mrocznym hallu wyłożonym dywanami.

– Jedźmy do domu – powiedziała Marsha niskim, dźwięcznym głosem. – Jack, jedźmy do domu. Proszę.

Ruszył tak szybko, jak to tylko było możliwe. Wjechał na prowadzącą do domu drogę, szarpnął hamulec, wyłączył silnik i kopnięciem otworzył drzwi.

– Jesteśmy.

Marsha siedziała obok, nieruchoma. Była blada jak wosk. Łagodnie, lecz stanowczo wyprowadził żonę z samochodu. Niosąc ją na rękach, skierował się ku frontowej werandzie.

– Jak by nie było – zauważyła Marsha – kiciuś wróci. I seks także. Wszystko wróci, prawda? Będzie dobrze?

Nie odpowiedział. Skoncentrował się na otwieraniu drzwi.

– Chce władzy nad nami – kontynuowała Marsha. – Ale reszta jest w porządku. Mamy świat, stworzyła go dla nas. Myślę, że wygląda tak samo, widzisz jakieś różnice? Jack, na miłość boską, powiedz coś.

Pchnął ramieniem drzwi i włączył światło.

– Jesteśmy w domu. – Marsha bojaźliwie rozglądała się wokół, kiedy energicznie postawił ją na podłodze.

– Tak, jesteśmy. – Zatrzasnął drzwi.

– To nasz stary dom, prawda? Taki sam jak przedtem, zanim wszystko się zaczęło.

Zaczęła odpinać guziki płaszcza, przechadzała się po pokoju, sprawdzając zasłony, reprodukcje na ścianach i meble.

– Jak tu dobrze. Taka ulga... wszystko znajome. Nikt nie ciska na nas węży, nie likwiduje rzeczy... Czyż nie jest wspaniale?

– Fantastycznie – potwierdził gorzko Hamilton.

– Jack – podeszła cicho w płaszczu narzuconym na ramiona. – Nie możemy nic poradzić. To

nie tak jak z panią Pritchett, ona jest zbyt przebiegła. Wyprzedziła nas.

– O milion lat – zgodził się. – Zaplanowała wszystko. Myślała, medytowała, spiskowała, knuła. Czekala na swoją szansę, aby przejąć kontrolę.

Wyczuł w kieszeni twardy przedmiot, ostrym szarpnięciem wyrwał go stamtąd i cisnął o ścianę. Pusta butelka po chloroformie zawirowała, potoczyła się po ziemi i zatrzymała nie stłuczona.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie – zauważył. – Możemy dać sobie spokój. Tym razem jesteśmy pokonani.

Marsha wyjęła z szafy wieszak i powiesiła na nim płaszcz.

– Bill Laws będzie czuł się źle.

– Powinien mnie zabić.

– Nie – zaprzeczyła Marsha. – To nie twoja wina.

– Jak spojrzę mu w twarz? Jak spojrzę komukolwiek z was? Chcieliście zostać w świetle Edith Pritchett, a jak was zaprowadziłem tutaj, wpadłem przez jej psychotyczną strategię.

– Nie martw się tym, Jack. To niczego nie zmieni.

– Tak, niczego nie zmieni – przyznał.

– Przygotuję gorącą kawę.

Odwróciła się w drzwiach.

– Dolać ci brandy?

– Oczywiście, świetny pomysł.

Siląc się na uśmiech, Marsha zniknęła w kuchni. Przez chwilę panowała cisza.

Potem rozległ się wrzask.

Hamilton natychmiast zerwał się na równe nogi, wbiegł do hallu, stanął w drzwiach kuchni. W pierwszej chwili nic nie zauważył, opierająca się o stół kuchenny Marsha zasłaniała widok.

Zobaczył TO dopiero wtedy, gdy przesunął się, by pochwycić żonę. Upiorny widok wżarł się w jego umysł, niemal go rozdzierając. Zamknął oczy, wywlókł z kuchni żonę. Położył rękę – jej rękę na ustach, usiłując powstrzymać żalostny krzyk Marshy. Próbował nie przyłączać się do tego wrzasku, całą siłą woli kontrolował własne emocje.

Panna Reiss nigdy nie lubiła kotów. Bała się ich. Były jej wrogami.

Na podłodze leżał kicius. Wywrócony na drugą stronę, przeniecony. Wciąż żył, spleciona masa nadal stanowiła funkcjonujący organizm. Panna Reiss dopilnowała i tego, nie zamierzała pozwolić zwierzęciu uciec.

Drgający, trzęsący się, wilgotny kłęb kości i tkanki przelewał się na oślep po kuchni. Powolny, nieustanny rozkład trwał już przez jakiś czas, prawdopodobnie od chwili, gdy zaczął istnieć świat panny Reiss. Groteskowej masie w ciągu trzech i pół godziny udało się przeobrazić w rodzaj długiej na pół kuchni, drgającej robaczkowym ruchem substancji.

– On nie może... – zawodziła Marsha. – On nie może zostać przy życiu.

Wziąwszy łopatę z podwórza, zagarnął na nią drgającą masę i wyniósł na zewnątrz. Modląc się, by w ogóle dało się go zabić, napełnił metalowe wiadro wodą i wrzucił do środka ów kłęb narządów, kości i tkanek. Przez moment strzępy ciała pływały, przywierając do ścianek, usiłując znaleźć jakiś sposób na wydobyć się z wiadra. Potem stopniowo, wydając ostatnie drgania, zatoneły i umarły...

Spalił resztki, pospiesznie wykopał dół i przykrył ziemią szczątki. Umył ręce, odłożył łopatę i wrócił do domu. Wszystko trwało kilka minut... wydawało się, że o wiele dłużej. Marsha siedziała cicho w pokoju. Złożywszy ręce, tępo patrzyła przed siebie. Nie podniosła wzroku, kiedy wszedł.

– Kochanie – odezwał się.

– Już po wszystkim?

– Po wszystkim. Nie żyje. Powinniśmy być zadowoleni. Już nic mu nie może zrobić.

– Zazdroszczę. Z nami nawet jeszcze nie zaczęła.

– Ale ona nienawidziła kotów, a nie nas.

Marsha odwróciła się nieco.

– Pamiętasz, co powiedziałaś jej tej nocy? Nastraszyłeś ją. A ona ma dobrą pamięć.

– Tak – przyznał. – Niewątpliwie. Ona nie zapomina niczego.

Wróciwszy do kuchni, zajął się przygotowaniem kawy. Nalewał ją właśnie do filiżanki, kiedy cicho weszła Marsha. Zaczęła wyjmować śmietankę i cukier.

– No... – powiedziała – oto nasza odpowiedź.

– Na jakie pytanie?

– Na pytanie: „Czy możemy żyć?” Odpowiedź brzmi: „Nie”. Gorzej niż nie.

– Nie może brzmieć gorzej niż nie – odparł, ale w jego głosie nie było przekonania.

– Ona jest obłąkana, prawda?

– Najwyraźniej. Paranoja z fantazjami dotyczącymi spisku i prześladowań. Wszystko co widzi, jest istotną częścią intrygi skierowanej przeciwko niej.

– A teraz – dokończyła Marsha – nie musi się martwić. Ponieważ po raz pierwszy w życiu jest w stanie z tym walczyć.

Popijając gorącą czarną kawę, Hamilton wtrącił:

– Sądzę, że ona naprawdę wierzy, iż ten świat jest repliką prawdziwego. Jej prawdziwego świata przynajmniej. Dobry Boże, z pewnością przekroczy najśmielsze fantazje reszty z nas. – Przez chwilę milczał, potem dokończył: To, co zrobiła kiciusiowi. Prawdopodobnie wyobraża sobie, że zrobilibyśmy jej coś podobnego. Myśli chyba, że zagrożenie istnieje cały czas.

Hamilton wstał i zaczął opuszczać zasłony. Był wieczór. Słońce zginęło za horyzontem. Ulice miasta były ciemne i zimne.

– To, że ona kieruje tym światem – stwierdził z napięciem przypatrując się żonie – nie oznacza jeszcze, że jest wszechobecna.

Wepchnął pistolet do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Pod materiałem utworzyła się podejrzana wypukłość. Marsha uśmiechnęła się blado.

– Wyglądasz jak kryminalista.

– Jestem prywatnym detektywem.

– A gdzie twoja oddana sekretarka?

– To ty – odparł, odwzajemniając uśmiech. Na pół świadomie Marsha uniosła rękę.

– Zastanawiałam się, czy zauważysz, że wróciłam do swojej postaci.

– Zauważyłem.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała nieśmiało.

– Jestem skłonny tolerować cię. Ze względu na pamięć dawnych czasów.

– Jaka dziwna sprawa... czuję się teraz tak prostacko. Mam wrażenie, że jestem ordynarna.

Przechadzała się po pokoju z zaciśniętymi ustami.

– Jak sądzisz, czy przyzwyczaję się znowu? To wydaje mi się takie dziwne... Muszę być ciągle pod wpływem Edith Pritchett.

– To było poprzednie miejsce. Teraz wpadliśmy w inny kierat – stwierdził ironicznie Hamilton.

Pograżona w rozmyślaniach, jakby go nie słuchała.

– Chodźmy na dół, Jack. Do pokoju muzycznego. Możemy odprężyć się i posłuchać płyt.

Podeszła do niego i zarzuciła mu na ramiona drobne ręce.

– Możemy...? Proszę...

Odepchnawszy ją, powiedział szorstko:

– Innym razem.

Marsha stała zdumiona i boleśnie zraniona.

– O co ci chodzi?

– Nie pamiętasz?

– O! – skinęła głową. – Ta dziewczyna, kelnerka. Zniknęła, prawda? Kiedy ty i ona byliście tam na dole.

– Ona nie jest kelnerką.

– Tak, wiem – potwierdziła. – Jednak już wróciła. Więc wszystko w porządku. Prawda? I... – spojrzała ufnie na niego. – Nie gniewam się o nią. Rozumiem.

Nie był pewien, czy powinien być zirytowany czy rozbawiony.

– Co rozumiesz?

– Jak się czuleś. Sądzę, że nie miało to nic wspólnego z nią. Była po prostu sposobem sprawdzenia się. Nie zrobiłeś tego.

Objął ją ramieniem i przytulił mocno.

– Jesteś niewiarygodnie inteligentną osobą.

– Wierzę w nowoczesny sposób rozumienia niektórych spraw – powiedziała odważnie.

– Miło mi to słyszeć.

Wyzwoliwszy się z objęć, przymilnie skubała kołnierzyk jego koszuli.

– Pójdziemy? Nie puszczałeś mi płyt od miesiący... tak jak miałeś w zwyczaju. Byłam taka zazdrosna, kiedy zeszlście na dół we dwoje. Chciałabym posłuchać naszych starych ulubieńców.

– Masz na myśli Czajkowskiego? Tego zazwyczaj chcesz, gdy mówisz o „naszych starych ulubieńcach”.

– Włącz światło i ogrzewanie. Przygotuj wszystko jak należy. Niech będzie ładnie, jasno i przytulnie, jak zejść.

Pochyliwszy się pocałował ją w usta.

– Czuję promieniujący erotyzm.

Marsha zmarszczyła nos.

– Wy, naukowcy...

Schody były ciemne i zimne. Ostrożnie, po omacku, Hamilton schodził w mrok. Powrócił dobry nastrój wprowadzony przez znajomy rytuał ich miłości. Pomrukując pod nosem, posuwał się w głąb ciemnej piwnicy, kierowany odruchami nabytymi przez długie doświadczenie...

Coś oślizłego i obrzydliwego otarło się o jego nogę i przyklepiło. Ciężka, klejąca się lina nasączona lepłą ciecżą. Gwałtownie szarpnął nogę. Na dole schodów, pod nim, coś włochatego i niezgrabnego popędziło do pokoju muzycznego i zamarło tam w bezruchu.

Hamilton przywarł do ściany. Wyciągając ramię namacał wyłącznik światła. Palce dotknęły go i ślizgając się wcisnęły. Wyprostował się. Światło zamrugało i rozbłysło żółtą plamą w mroku.

W poprzek piwnicznych schodów zwieszał się prymitywny zwój sznurków połączonych w bezkształtną płatanię. Niezdarna i ordynarna pajęczyna wykonana pospiesznie, bez odrobiny finezji, przez coś olbrzymiego, przysadzistego i potwornego. Stopnie pod stopami pokryte były kurzem. Sufit znaczyły szerokie pręgi brudu, tak jakby tkacz czołgał się i pełzał, badając każdy kąt i szparę.

Hamilton, zupełnie wyczerpany, opadł na stopień. Czuł, że coś czeka tam na dole w pokoju muzycznym, w cuchnącej ciemności. Wpadając w gigantyczną pajęczynę, odstraszył kreaturę. Sieć nie była wystarczająco mocna, aby go zatrzymać. Mógł się z niej uwolnić.

Zrobił to ze staranną dbałością, niszcząc pajęczynę w możliwie nieznacznym stopniu. Liny odpadły i noga była wolna. Spodnie pokrywała gruba warstwa kleistej substancji, tak jakby przesunął się po nich gigantyczny ślimak. Wzdrygnął się, chwycił poręcz i zaczął wspinać się z powrotem na górę.

Zrobił zaledwie dwa kroki, kiedy nogi odmówiły posłuszeństwa. Jego ciało rozumiało to, czego nie akceptował umysł. Schodził. Do pokoju muzycznego.

Oszołomiony, przerażony, odwrócił się usiłując iść w przeciwnym kierunku. Znowu pojawiła się ta potworna, postrzępiona zjawa. Znowu w dół... ku ceniom rozsypanym pośród brudnego rumowiska.

Wpadł w pułapkę.

Kiedy przykucnął, wpatrując się z hipnotyczną fascynacją w pochyłość pod nim, z góry dobiegł jakiś dźwięk. Z tyłu, na szczycie schodów, stanęła Marsha.

– Jack? – zawołała z wahaniem.

– Nie schodź! – warknął, odwracając nieco głowę, tak że mógł rozpoznać oświetlony zarys jej ciała. – Trzymaj się z dala od schodów.

– Ale...

– Stój tam, gdzie jesteś.

Oddychając ciężko, przywarł do stopnia, jego palce oplótły mocno poręcz. Próbował zebrać myśli. Musiał działać powoli, musiał powstrzymać się od skoków i bezmyślnego wdrapywania się w stronę drzwi i stojącej tam szczupłej postaci żony.

– Powiedz mi, co się dzieje? – zapytała ostro Marsha.

– Nie mogę.

– Powiedz mi, albo przyjdę na dół. – W jej głosie brzmiało zdecydowanie.

– Kochanie – odezwał się ochryplym głosem. – Zdaje mi się, że nie mogę stąd się wydostać.

– Jesteś ranny? Upadłeś?

– Nie jestem ranny. Coś się stało. Kiedy próbuję iść do góry – wziął głęboki oddech – okazuje się, że schodzę w dół.

– Czy... czy mogę ci pomóc? Dlaczego nie odwrócisz się do mnie? Musisz stać tyłem?

Hamilton zaśmiał się dziko.

– Oczywiście, odwrócę się do ciebie.

Ściskając poręcz, wykonał ostrożnie zwrot w tył i... ponownie stał w tej samej pozycji, twarzą ku mrocznej jaskini kurzu i cieni.

– Proszę – błagała Marsha – odwróć się i spójrz na mnie.

Wstąpiła w niego złość... bezsilna furia, której nie sposób wyrazić. Zaklął szpetnie i przykucnął.

– Do diabła z tobą – rzucił – do diabła z...

Z oddali dobiegł dźwięk dzwonka u drzwi.

– Ktoś jest za drzwiami – krzyknęła Marsha nieprzytomnie.

– No to idź i wpuść go.

Przestał się przejmować, zrezygnował.

Przez chwilę Marsha walczyła ze sobą. Potem, śmignawszy spódnicą, wybiegła. Światło z hallu spływało na dół, kładąc cień postaci na klatce schodowej. Jego własny cień, wydłużony, ogromny...

– Na Boga – odezwał się męski głos. – Co tam robisz na dole, Jack?

Zerkając przez ramię, dojrzał okazałą, wyprostowaną postać Billa Lawsa.

– Pomóż mi – poprosił cicho.

– Oczywiście.

Laws odwrócił się szybko do Marshy, która właśnie nadeszła i stanęła obok niego.

– Zostań na górze – polecił jej. – Trzymaj się czegoś, żebyś nie upadła.

Chwył jej rękę i przycisnął do występu ściany.

– Możesz tak trzymać?

W milczeniu skinęła głową.

– T... tak, chyba tak.

Wziąwszy ją za drugą rękę, pełen werwy stanął na schodach. Schodził stopień po stopniu, nie zwalniając uścisku. Kiedy doszedł jak tylko mógł najdalej, przykucnął i wyciągnął rękę do Hamiltona.

– Możesz mnie chwycić? – spytał.

Hamilton nie odwracając się, wyciągnął ramię i naprężył je z całych sił. Nie mógł zobaczyć Billa Lawsa, który znalazł się tuż nad nim i usiłował pochwycić po omacku jego palce.

– Nie ma szans – stwierdził Laws, wyzuty z emocji. – Jesteś zbyt niska.

Rezygnując, Hamilton opuścił obolałe ramię i stał dalej na stopniu.

– Czekał tam, gdzie jesteś – powiedział Laws. – Zaraz wrócę.

Hałasując i tupiąc zawrócił do hallu, pociągnął za sobą Marshę i zniknął.

Kiedy wrócili, był z nimi Dawid Pritchett.

– Trzymaj rękę pani Hamilton – poinstruował chłopca – i nie zadawaj pytań. Rób, co ci każe.

Ściskając występ ściany na górze schodów, Marsha podała dłoń chłopcu. Laws poprowadził go w dół, tak daleko, jak to było możliwe. Później łapiąc rękę Dawida, zaczął schodzić po schodach.

– Idę – mruknął. – Jesteś gotów, Jack?

Ściskając poręcz, Hamilton wyciągnął rękę w kierunku niewidocznej przestrzeni za sobą. Chrapliwy oddech rozbrzmiewał tuż przy nim, słyszał, jak trzęsą się stopnie, gdy Laws schodził coraz niżej. Potem, nie do uwierzenia, jego dłoń chwyciła twarda, lekko spocona ręka Lawsa. Nagłym szarpnięciem poderwał go z miejsca i powlókł na górę.

Sapiąc i dysząc, czołgali się w stronę jasnego korytarza. Dawid gramolił się przerażony, Marsha niespokojnie stawała na palce, aby szybko pochwycić trzęsącego się męża.

– Co się stało? – spytał Laws, złapawszy oddech. – Co tam się działo na dole?

– Ja... – Hamilton mówił z trudem. – Nie mogłem wejść na górę. Nieważne, w którą stronę się odwróciłem.

Po chwili dodał:

– Wszystkie drogi prowadziły w dół.

– Coś tam musi być – stwierdził Laws. – Widziałem.

Hamilton skinął głową.

– Ona czekała na mnie.

– Ona?

– Tam ją zostawiłem. Była na schodach, kiedy Edith Pritchett pozbyła się jej.

Marsha jęknęła.

– On ma na myśli kelnerkę.

– Wróciła, ale nie jest kelnerką. Nie w tym świecie.

– Możemy zabić drzwi deskami – zaproponował Laws.

– Tak – zgodził się Hamilton – zabić je... Odgrodzić ją, by nie mogła mnie dosięgnąć.

– Zrobimy to – zapewnił Laws.

Obydwoje z Marsha trzymali go kurczowo, gdy stał spoglądając w mroczną głębię klatki schodowej.

– Zabijemy je deskami. Nie pozwolimy, żeby cię dosięgła.

13

– Musimy złapać pannę Reiss – odezwał się Hamilton, kiedy reszta grupy wypełniła wejście frontowe i pokój gościnny. – Musimy ją zabić. Szybko i definitywnie. Bez wahania. Gdy tylko uda nam się do niej dotrzeć.

– Zniszczy nas – mruknął McFeyffe.

– Nie wszystkich, ale większość tak.

– To i tak będzie lepsze – powiedział Laws.

– Tak – zgodził się Hamilton – dużo lepsze niż siedzenie tu i czekanie. Ten świat musi dojść do swojego końca.

– Czy ktoś się nie zgadza? – zapytał Arthur Silvester.

– Nie – powiedziała Marsha. – Wszyscy się zgadzają.

– A pani, pani Pritchett? – spytał Hamilton. – Co pani powie?

– Oczywiście, ona musi zostać uśpiona – stwierdziła pani Pritchett. – Biedne stworzenie...

– Biedne?

– To jest świat, w którym ona żyje. Okropny, obłąkany świat. Wyobraźcie sobie... rok po roku. Świat okrutnych wizji.

Utkwiwszy wzrok w zabitych deskami drzwiach piwnicy, Dawid Pritchett zapytał nerwowo:

– Czy ta rzecz może się tutaj przedostać?

– Nie – odparł Laws. – Nie może. Zostanie tam, aż umrze z głodu, chyba że zniszczymy pannę Reiss.

– Więc wszyscy się zgadzamy – zakończył Hamilton. – To już coś. W tym świecie żadne z nas nie chce pozostać.

– W porządku – odezwała się Marsha. – Wiemy, co chcemy zrobić. Teraz pytanie, jak to zrobimy?

– Właściwe pytanie – zauważył Arthur Silvester. – Będzie ciężko.

– Ale nie bez szans – stwierdził Hamilton. – Powiodło nam się z panem, z Edith Pritchett...

– Czy zauważył pan – powiedział w zamyśleniu Silvester – że za każdym razem jest trudniej? Teraz żałujemy, że nie jesteśmy z powrotem w świecie Edith Pritchett.

– A kiedy byliśmy w jej świecie – dokończył skwaszony McFeyffe – żalowaliśmy, że nie jesteśmy w świecie Silvestera.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – dopytywał się niespokojnie Hamilton.

– Może znów będziemy żałować – podjął Silvester – kiedy znajdziemy się w następnym świecie.

– Następny powinien być prawdziwy – oświadczył Hamilton. – Prędzej czy później

wydostaniemy się z tego szczyrzego labiryntu.

– Jeszcze nie tym razem – powątpiewała Marsha. – Jest nas ośmioro, a przeszliśmy tylko przez trzy. Może czeka nas jeszcze pięć?

– Byliśmy w trzech światach fantazji – stwierdził Hamilton. – Trzy zamknięte światy nie mające nic wspólnego z realnymi. Kiedy w nie wpadamy, już nic nie możemy poradzić. Dotychczas nie mieliśmy szczęścia – kończył w zamyśleniu – ale nie sędzę, by reszta z nas żyła w światach jakichś totalnych mrzonek.

Po chwili odezwał się Laws.

– Ach... ty zadowolony z siebie skurwysynu.

– Przecież tak może być.

– Prawdopodobnie jest.

– To dotyczy także ciebie.

– Nie, dziękuję...

– Jesteś – zauważył Hamilton – neurotykiem i cynikiem, tym niemniej jesteś realistą. Tak jak ja. Jak Marsha. Jak McFeyffe. Jak Dawid Pritchett. Myślę, że jesteśmy u kresu królestw fantazji.

– O co panu chodzi, panie Hamilton? – dopytywała się zakłopotana pani Pritchett. – Nie rozumiem.

– Nie liczyłem na to – odparł. – Nieważne.

– Interesujące – skomentował McFeyffe. – Może masz rację. Zgadza się co do ciebie, siebie, Lawsa i chłopca. Ale nie co do Marshy. Przepraszam, pani Hamilton.

– Nie zapomniałeś, prawda? – powiedziała pobladła Marsha.

– To mój pogląd na świat fantazji.

– Mój również – zauważyła, zaciskając białe wargi. – Jesteś osobą...

– O czym oni rozmawiają? – spytał Hamiltona Laws.

– Nieistotne – uciął Hamilton.

– Może jest istotne. O co chodzi?

Marsha spojrzała na męża.

– Nie boję się powiedzieć wszystkim. McFeyffe już zrobił z tego problem.

– Musimy zrobić z tego problem – oznajmił trzeźwo McFeyffe. – Od tego zależy nasze życie.

– Marsha została posądzona o komunizm – wyjaśnił Hamilton. – McFeyffe dostarczył dowodów, oczywiście bzdurnych.

Laws zastanowił się.

– To może być istotne. Nie chciałbym wylądować w takim świecie.

– Nie wylądujesz – zapewnił go Hamilton.

Przez twarz Lawsa przemknął zimny grymas goryczy.

– Już raz mnie zawiodłeś, Jack.

– Przepraszam.

– Nie – zaprzeczył Laws. – Prawdopodobnie miałeś rację. Nie zniósłbym długo zapachu perfumowanych mydełek.

– Ale... – wzdrygnął się – w sumie pomyliłeś się. Dopóki nie wydostaniemy się z tego bałaganu... – Przerwał. – Zapomnijmy o przeszłości i zajmijmy się teraźniejszością, tu i teraz. Jest sporo spraw.

– Jeszcze jedno – zauważył Hamilton. – Potem możemy zapomnieć.

– Co takiego?

– Dziękuję za wciągnięcie mnie na górę.

Laws uśmiechnął się niewyraźnie.

– Okay. Naprawdę byłeś tam na dole taki mały, smutny i skulony. Sądzę, że zszedłbym po ciebie, nawet gdybym nie mógł się potem stamtąd wydostać. Krucho było z tobą, tam na schodach, zważywszy na to, co widziałem w piwnicy.

– Zaparzę kawę – powiedziała Marsha, kierując się w stronę kuchni. – Czy ktoś chce coś zjeść?

– Jestem strasznie głodny – przyznał ochoczo Laws. – Przyjechałem wprost z San Jose, kiedy fabryka mydła zniknęła.

– Co pojawiło się na jej miejscu? – zapytał Hamilton, kiedy poszli za Marsha.

– Trudno to określić. Jakaś fabryka produkująca narzędzia: obcęgi, szczypce, klamry podobne do chirurgicznych, wziąłem kilka i obejrzałem dokładnie, ale niczego nie przypominają.

– Nie ma takich przyrządów?

– Nie w prawdziwym świecie. Panna Reiss widziała je prawdopodobnie tylko z daleka i nigdy dokładnie nie pojęła do czego służą.

– Narzędzia tortur – zgadywał Hamilton.

– Bardzo możliwe. Oczywiście, uciekłem stamtąd i złapałem autobus jadący na półwysep.

Stojąc na drabince, Marsha otworzyła szafkę nad zlewem.

– Co powiecie na brzoskwinie z puszeki?

– Świetnie – odparł Laws. – Cokolwiek masz pod ręką.

Kiedy Marsha sięgnęła do szafki, puszka ześliznęła się z półki, potoczyła w dół i uderzyła ją boleśnie w stopę. Sycząc z bólu, Marsha odskoczyła. Zabrzęczała następna puszka, zawisła na brzegu szafki i spadła jak kamień. Ledwie zdołała się uchylić.

– Zamknij szafkę – polecił krótko Hamilton.

Bez korzystania z drabiny udało mu się dosięgnąć drewnianych drzwiczek i zatrzasać je. Usłyszał tępe uderzenie metalowych puszek o drewno. Dźwięk brzmiał przez chwilę, potem

stopniowo zamarł.

– Wypadek – powiedziała niefrasobliwie pani Pritchett.

– Starajmy się myśleć racjonalnie – stwierdził Laws. – To się zdarza.

– Ale nie jesteśmy w normalnym świecie – zauważył Arthur Silvester – lecz w świecie panny Reiss.

– Gdyby jej przydarzyła się taka rzecz – zgodził się Hamilton – nie myślałaby, że to przypadek.

– Więc wszystko było zamierzone? – spytała cicho Marsha, pochylając się i pocierając zranioną stopę. – Ta puszka z brzoskwiniami?

Hamilton podniósł puszkę i wziął otwieracz.

– Musimy być ostrożni. Jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo. I zemstę.

Po pierwszym kęsie twarz Lawsa wykrzywiła się, natychmiast odstawił naczynie do zlewozmywaka.

– Rozumiem, o co chodzi – powiedział.

Hamilton skosztował ostrożnie. Zamiast zwykłego, delikatnego soku jego język poczuł gorzki, metaliczny smak przyprowadzający o mdłości. Wypluł wszystko do zlewu.

– Kwas – wyrzucił z siebie zdławionym głosem.

– Trucizna – powiedział spokojnie Laws. – Na to też musimy uważać.

– Może powinniśmy zrobić spis – odezwała się niespokojnie pani Pritchett. – Powinniśmy stwierdzić, jak w ogóle zachowują się poszczególne przedmioty.

– Dobry pomysł – potwierdziła drżącym głosem Marsha. – Wtedy nie będziemy się dziwić.

Z grymasem bólu założyła but na nogę i utykając podeszła do męża.

– Wszystko obdarzone własnym życiem, okrutne i nikczemne, usiłujące wyrządzić krzywdę...

Kiedy ruszyli do hallu, światło zamrugało i zgasło. Pokój gościnny utonął w ciemności.

– Tak – odezwał się łagodnie Hamilton. – Następny wypadek. Przepalona żarówka. Kto chce iść i ją wymienić?

Nie było chętnych.

– Zostawmy to – zdecydował. – Nie warto zaczynać. Jutro przy świetle dziennym zajmę się naprawą.

– Co będzie – spytała Marsha – jeśli przepalą się wszystkie?

– Dobrze pytanie – przyznał Hamilton. – Wtedy, do diabła, spróbujemy znaleźć świece, inne źródła mocy, takie jak latarki, zapalniczki...

– Biedna, obłąkana istota – mruknęła Marsha. – Pomyślcie, za każdym razem kiedy zgaśnie światło, siedzi w ciemności, czekając na czyhające wokół potwory, myśląc przez cały czas, że to część zaplanowanego spisku.

– Tak jak my teraz – zauważył cierpko McFeyffe.

– Ale to jest... – stwierdził Laws – to jej świat. Tutaj, kiedy gaśnie światło...

W ciemności living-roomu zabrzączał telefon.

– A to? – odezwał się Hamilton. – Jak sądzicie, o czym myśli, gdy dzwoni telefon? Lepiej wykryjmy zawczasu, co oznacza dzwoniący telefon dla paranoika.

– Zapewne zależy to od paranoika – odparła Marsha.

– Oczywiście. W tym wypadku chodzi o zwabienie jej do ciemnego pokoju. Więc nie pójdziemy.

Czekali. W końcu telefon umilkł. Cała siódemka odetchnęła.

– Lepiej zostanmy w kuchni – powiedział Laws odwracając się. – Nic nas tu nie zrani, jest miło i przytulnie.

– Coś w rodzaju fortecy – zauważył cierpko Hamilton. Gdy Marsha usiłowała włożyć drugą puszkę brzoskwiń do lodówki, drzwi odmówiły posłuszeństwa. Stała, bezmyślnie trzymając puszkę w jednej ręce, drugą ściskając uchwyt lodówki. Hamilton podszedł do niej i delikatnie odsunął na bok.

– Jestem po prostu nerwowa – mruknęła. – Pewnie wszystko w porządku.

– Czy ktoś to włączył? – spytała pani Pritchett. Stojący na kuchennym stolczku toster brzączał cicho. – Jest gorący jak piec.

Hamilton podszedł i sprawdził. Po bezskutecznym zmaganiu się z termostatem zrezygnował i wyrwał sznur. Spirala tosterka pociemniała.

– Jakim rzeczom możemy ufać? – dopytywała się przestraszona pani Pritchett.

– Żadnym – odparł Hamilton.

– To... groteskowe – zaprotestowała Marsha.

Laws, zamyślony, otworzył szufladę przy zlewozmywaku.

– Możliwe, że będziemy potrzebowali ochrony.

Zaczął szperać w szufladach, aż znalazł to, czego szukał: stalowy nóż do mięsa z ciężką rączką. Palce Lawsa zacisnęły się na rękojeści. Hamilton zbliżył się i szarpnął go za ramię.

– Bądź ostrożny – ostrzegł. – Przypomnij sobie puszkę brzoskwiń.

– Ale to jest nam potrzebne – stwierdził zirytowany Laws. Omijając Hamiltona podniósł nóż.

– Muszę mieć coś do obrony, ty masz tę cholerną pukawkę sterczącą w kieszeni jak cegła.

Przez chwilę nóż spoczywał w jego dłoni, potem zręcznie podrygując uderzył prosto w brzuch Murzyna. Laws zwinnie uniknął ciosu i ostrze wbiło się w drewnianą obudowę zlewu. Laws w okamgnieniu uniósł swój ciężki but i kopnął rączkę. Zabłyśnął metal, rękojeść odpadła, pozostawiając tkwiące w drewnie gołe ostrze.

– Widzisz – odezwał się sucho Hamilton.

Pani Pritchett zasłabła i osunęła się na stojące przy stole krzesło.

– O Boże! – jęknęła. – Cokolwiek zrobimy...

Jej głos przeszedł w nieokreślone zawodzenie.

– Och...

Marsha pospiesznie chwytając szklanę z suszarki, odkręciła kurek.

– Dam pani trochę wody, pani Pritchett.

Ale ciecz, która wypłynęła z kranu, nie była wodą. Ujrzeni ciepłą, gęstą, czerwoną krew.

– Ten dom... – zaczęła słabo Marsha zamykając kran. Z białego, emaliowanego zlewu krew powoli i niechętnie spływała do odpływu. – Ten dom żyje.

– Tak jest – przyznał Hamilton. – A my jesteśmy w środku.

– Chyba wszyscy się zgodzą, że musimy wydostać się na zewnątrz. Pytanie, czy potrafimy?

Hamilton podszedł do drzwi i szarpnął zasuwę. Była na swoim miejscu. Pociągnął ze wszystkich sił, lecz ani drgnęła.

– Nie tędy droga – stwierdził.

– Zawsze się zacinała – zauważyła Marsha. – Spróbujemy przez drzwi frontowe.

– Ale to oznacza przejście przez pokój gościnny – zwrócił uwagę Laws.

– Masz lepszą propozycję?

– Nie – poddał się. – Bez względu na to, co zrobimy, lepiej będzie, jak znajdziemy się gdzie indziej.

Cała siódemka zmierzała ostrożnie, gęsiego poprzez ciemny hall ku czarnej plamie, jaką był pokój gościnny. Hamilton prowadził procesję. Świadomość, że był to jego dom, dodawała mu trochę odwagi. Być może, błysnęła mglista nadzieja, mógł oczekiwać jakiejś szczególnej dyspensy.

Z otworu wentylacyjnego dochodziło regularne sapanie. Hamilton zatrzymał się i nasłuchiwał. Powietrze było ciepłe, przesycone jakąś wonią. Nie martwym, stęchłym powiewem pracującym w układzie mechanicznym, ale ciepłym oddechem żywego organizmu. Na dole w piwnicy piec oddychał. Powietrze poruszało się tam i z powrotem, kiedy dom – żywa istota – oddychał.

– On jest płci męskiej czy żeńskiej? – spytała Marsha.

– Męskiej – odparł McFeyffe. – Panna Reiss boi się mężczyzn.

Wydostające się powietrze pachniało ostrym dymem papierosowym, nieświeżym piwem i męskim potem. Tę kompozycję zapachów musiała zapewne znosić panna Reiss w autobusach, windach, restauracjach. Ostry, czosnkowy zapach mężczyzn w średnim wieku.

– Tak pewnie pachnie jej przyjaciel – zauważył Hamilton – kiedy oddycha nad jej szyją...

Marsha wzruszyła ramionami.

– I wszystko wokół niej tak pachnie. Prawdopodobnie sieć elektryczna była teraz układem

nerwowym przenoszącym bodźce ożywionego domu. Dlaczego nie?

Przez rury kanalizacyjne przepływała krew. Przez rury pieca – powietrze do płuc w piwnicy. Za oknem pokoju gościnnego dojrzał bluszcz, który Marsha usilnie próbowała zmusić do pięcia się w górę, na dach. W ciemności nocy nie był już zielony, ale brązowy.

Jak włosy. Jak przetłuszczone, pełne łupieżu włosy urzędnika w średnim wieku. Bluszcz powiewał słabo na wietrze, złowieszczo szeleściły spadające na trawnik gałązki.

Podłoga pod stopami Hamiltona poruszyła się. W pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi. Dopiero gdy pani Pritchett zaczęła zawodzić, zauważył niewielkie falowanie.

Schylając się dotknął dłonią klepki. Była ciepła jak ludzkie ciało.

Ściany również były ciepłe i bynajmniej nie twarde. Zamiast sztywnych, solidnych powierzchni farb, papieru, tynku i drewna napotkał miękkie, łatwo poddające się dotykowi palców, płaszczyzny.

– Dalej – powiedział twardo Laws. – Ruszajmy się.

Ostrożnie, jak tropione zwierzęta, cała siódemka przemykała się w ciemnościach pokoju. Pod ich stopami drżał niespokojnie dywan. Czuli niepokojącą obecność żywej istoty, marszczącej się i denerwującej, która ulegała irytującej animacji.

Droga przez pokój gościnny wydawała się strasznie długa. Lampy i książki wokoło poruszały się złowieszczo. W pewnej chwili pani Pritchett wydała paniczny jęk przerażenia, kabel od telewizora zaplątał się dookoła jej kostki. Bill Laws szybkim ruchem chwycił sznur i uwolnił kobietę. Oderwany kabel chłostał za nim podłogę, wściekle, bezsilnie.

– Już prawie jesteśmy – odezwał się Hamilton do niewyraźnych kształtów za plecami.

Dojrzał drzwi i klamkę, już sięgał w tym kierunku. Modląc się cicho, podchodził do niej: jeden krok, dwa, trzy...

Wydawało mu się, że wspina się pod górę.

Zdumiony cofnął rękę. Znajdował się na coraz bardziej pochylonej powierzchni, począł się zsuwać. Nagle skulił się i upadł. Wymachiwał rękoma, usiłował wstać. Cała siódemka ślizgała się i zderzała ze sobą, przesuając w kierunku środka pokoju i samego hallu, który był zupełnie ciemny, nawet światło w kuchni zgasło. Tylko za oknami słabo połyskiwały gwiazdy, drobniutkie plamki światła daleko stąd...

– To dywan – zawyrokował Laws stłumionym, niedowierzającym szeptem. – Ściąga nas z powrotem.

Dywan pod nimi poruszał się niespokojnie. Ciepła, gąbczasta powierzchnia zrobiła się wilgotna. Hamilton uderzył w ścianę i cofnął się. Spływała po niej gęsta ciecz; łakoma, ciekąca ślina.

Ożywiony dom przygotowywał się do posiłku.

Hamilton przywarł do ściany próbując umknąć z pułapki. Koniuszek dywanu z ręcznie

przesuwał się dookoła szukając Hamiltona, gdy ten, cały spocony, zmierzał do drzwi frontowych. Krok, drugi, trzeci, czwarty. Za nim pojawiły się pozostałe osoby, ale nie wszystkie.

– Gdzie jest pani Pritchett? – spytał.

– Tam – odparła Marsha. – Potoczyła się do hallu.

– To gardło – odezwał się Bill Laws.

– Jesteśmy w jego ustach – szepnął Dawid Pritchett. Ciepłe, wilgotne ściany jamy ustnej falowały napierając na Hamiltona. Ich dotyk powodował konwulsje i mdłości. Czołgając się dotarł znowu do klamki i skoncentrował swoją uwagę na tym małym kawałku pobłyskującego słabo metalu. W końcu zdołał ją chwycić i jednym silnym pociągnięciem otworzył drzwi na oścież. Postacie za nim westchnęły na widok nocy panującej na zewnątrz. Gwiazdy, ulice, ciemne domy w oddali, drzewa kołyszące się na zmiennym wietrze... i zimne rześkie powietrze.

To było wszystko. Bez ostrzeżenia kwadratowy zarys począł się kurczyć. Wejście zaczęło maleć, aż napór ścian zamknął je ostatecznie. Pozostała tylko maleńka szczelina; ściany, niczym usta, które się zaciskały.

Z tyłu doleciał czosnkowy, zjęczały oddech. Język zafalował łapczywie. Ściany spływały śliną. W mroku rozbrzmiewały przerażone ludzkie głosy. Ignorując je, Hamilton wyciągnął ręce w kierunku zmniejszającego się otworu, który był kiedyś drzwiami. Podłoga pod nogami zaczęła podnosić się, a sufit powoli i nieubłaganie opadał w dół. Rytmicznie zbliżały się do siebie, by za chwilę połączyć się...

– Żuje – wyjęczała Marsha w ciemnościach, obok niego.

Hamilton kopnął drzwi z całej siły. Opierając się o nie ramieniem, drapał i rwał ciało. Strzępy organicznej substancji pozostawały mu w rękach. Żłobiąc w ciele, wydrapywał wielkie bryły materii.

– Pomóżcie mi – wrzasnął do cisnących się wokół osób. Bill Laws i Charley McFeyffe wydobyli się spod warstwy śliny i zaciekle zaczęli szarpać drzwi. Pojawił się otwór; z pomocą Marshy i Dawida wydrążyli okrągłą dziurę.

– Wychodzić – warknął Hamilton, przepychając żonę. Marsha wywróciła się na werandzie i przeturlała dalej.

– Ty następny – powiedział do Silvestera. Przepchnięto szybko starszego mężczyznę, potem Billa Lawsa i McFeyffe'a. Rozglądając się wokoło, Hamilton nie zobaczył już nikogo poza Dawidem Pritchetem i sobą samym. Sufit i podłoga triumfalnie zmierzały ku sobie, nie zostawiając czasu na martwienie się o innych.

– Tędy – mruknął i przerzucił chłopca przez pulsujący otwór. Potem skręcając się i wzdragając przeszedł sam. Za nim usta istoty, sufit i podłoga, spotkały się. Dał się słyszeć ostry chrzęst, kiedy twarde powierzchnie zetknęły się ze sobą. Dźwięk powtarzał się raz po raz.

Pani Pritchett, której nie udało się wydostać, była właśnie przeżuwana.

Ocaleni członkowie grupy zebrali się w bezpiecznej odległości na placyku przed domem. Nikt nie odezwał się, gdy tak stali i spoglądali na rytmicznie pulsującą kreaturę. Trawiła. W końcu ruch ustał. Stwór drgnął spazmatycznie po raz ostatni i ucichł.

Zasłony w oknach opadły z lekkim trzaskiem, tworząc matowe cienie.

– Śpi – odezwała się Marsha nieobecny głosem. Hamilton zastanawiał się, co powiedzą śmieciarze, kiedy przyjadą zebrać odpadki. Na tylnej werandzie będzie leżał spory, połyskujący stos, najpierw ze znawstwem wybranych, wyssanych, a potem wyrzuconych kości. A także kilka guzików i metalowych zapinek...

– Więc to tak – mruknął Laws. Hamilton skierował się do samochodu.

– Zabicie jej będzie prawdziwą przyjemnością – stwierdził.

– Nie jedźmy samochodem – ostrzegł Laws. – Nie możemy mu ufać.

Hamilton zamyślił się.

– Pójdziemy do niej pieszo. Spróbuję wywabić ją na zewnątrz. Jeśli złapiemy ją na otwartej przestrzeni, bez wchodzenia do środka...

– Ona prawdopodobnie jest już na zewnątrz – zauważyła Marsha. – To jest groźne również dla niej. A może już nie żyje, może mieszkanie pożarło ją, gdy weszła?

– Ona żyje – zapewnił Laws. – W przeciwnym razie nie znajdowalibyśmy się tutaj.

Z cienia wokół garażu wyłoniła się szczupła postać.

– To prawda – powiedziała cichym, znajomym głosem. – Nadal żyję.

Hamilton wyjął z kieszeni płaszcz czterdziestkę piątkę. Kiedy palce nacisnęły bezpiecznik, przyszła mu do głowy dziwaczna myśl. Nigdy przedtem nie używał tej broni ani nawet nie widział jej. W prawdziwym świecie nie posiadał czterdziestki piątki. Broń pojawiła się w świecie panny Reiss. W tej dzikiej, patologicznej fantazji była częścią jego osobowości i egzystencji.

– Uciekłaś? – spytał pannę Reiss Bill Laws.

– Byłam dość rozsądna, aby nie wchodzić na górę – odparł kobiecy głos. – Zorientowałam się co planujecie, gdy tylko postawiłam nogę na dywanie w hallu.

Teraz w głosie panny Reiss zabrzmiał dźwięk szalonego triumfu.

– Nie jesteście tacy mądrzy, jak sądziłam.

– Mój Boże – odezwała się Marsha. – My nigdy...

– Zamierzacie mnie zabić, prawda? – dopytywała się panna Reiss. – Wszyscy, cała grupa. Spiskujecie już od jakiegoś czasu, czyż nie?

– To prawda – przyznał gwałtownie Laws. – Tak jest w istocie.

Panna Reiss zaśmiała się szorstko.

– Wiedziałam. Czy nie boicie się tak po prostu przyjść i oznajmić mi to?

– Panno Reiss – odparł Hamilton – oczywiście, planowaliśmy zabić panią. Ale nie możemy.

W tym obłąkanym świecie nie ma ludzkiej istoty, która mogłaby nacisnąć cyngiel. Te okropności, które sama pani wymyśla...

– Ale – przerwała panna Reiss – wy nie jesteście ludźmi.

– Co? – zdziwił się Arthur Silvester.

– Oczywiście, że nie. Wiedziałam o tym od chwili, kiedy po raz pierwszy was zobaczyłam, tego dnia w bewatronie. Dlatego przeżyliście wypadek. To była zwykła próba zepchnięcia mnie stamtąd i spowodowania mojej śmierci. Ale ja nie umarłam – panna Reiss uśmiechnęła się. – Mam kilka sposobów na swój użytek.

Hamilton bardzo powoli zapytał:

– Jeśli nie jesteśmy ludźmi, to czym jesteśmy?

W tej chwili Bill Laws drgnął. Podrywając się gwałtownie z mokrej trawy, sunął prosto ku małej, szczupłej postaci Joan Reiss. Rozwinięte, zakurzone, pergaminowe skrzydła trzepotały i szeleściły w mroku nocy. Jego precyzja była doskonała, znalazł się na czubku głowy panny Reiss, zanim zdążyła uskoczyć czy krzyknąć.

To, co wcześniej wydawało się istotą ludzką, było teraz chitynowym stworem o wielu członach, który brzęczał i łopotał wokół opędzającej się panny Reiss. Wydłużona tylna część kreatury skręciła się, ostrym dźgnięciem ukłuła kobietę, zanurzając trujący ogon głęboko w jej ciele, potem, nasycona, wycofała się. Stopniowo trzask i chrzęst kleszczy ucichł. Panna Reiss chwając się upadła na kolana. Leżała oszołomiona, zwrócona twarzą ku mokrej trawie, oddychała z trudem.

– Ucieknie! – krzyknął Arthur Silvester.

Podbiegł, skoczył na skurczone ciało i odwrócił je. Gwałtownie strzyknął szybko schnącym wokół kościstych bioder spoiwem. Obracając ciałem panny Reiss, omotał ją siecią twardych włókien. Kiedy skończył, długi owad, dawniej Bill Laws, chwycił kokon w swe kleszcze i zaniósł słabo popiskującą ofiarę w miejsce, gdzie Silvester uprzął długą nić, którą przerzucił nad konarem drzewa. Po chwili na pół sparaliżowana panna Reiss wisiała głową w dół w worku z lepkiej pajęczyny. Z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ustami kołysała się lekko na wietrze.

– To powinno ją powstrzymać – stwierdził z satysfakcją Hamilton.

– Dobrze, że jej nie zabiliście – łakomie mlaskając powiedziała Marsha. – Zabawimy się z nią, nie może nam nic zrobić.

– Ale musimy ją zabić – zauważył McFeyffe. – Potem, gdy już się nasycimy.

– Ona zabiła moją matkę – odezwał się cienkim, wibrującym głosem Dawid Pritchett.

Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wyrwał się do przodu, przykucnął i skoczył na kołyszący się kokon. Wysuwając i rozszerzając ssawkę, usunął nici kokona, rozerwał suknię kobiety i łapczywie wbił się w blade ciało, sięgając głęboko do wnętrza. Potem opadł na ziemię,

pękaty i syty, zostawiając odwodniony, wyschnięty worek skóry, ścięgien i kości.

Strzęp kobiety żył jeszcze, ale śmierć zbliżała się szybko. Zamglone bólem oczy spoglądały na nich nieprzytomnie. Joan Reiss przestała już myśleć, pozostała tylko mała isierka jej osobowości. Członkowie grupy przyglądali się z satysfakcją, świadomi, że upływają ostatnie sekundy jej agonii.

– Zasłużyła na to – zauważył niepewnie Hamilton. Teraz, kiedy zrealizował swój zamiar, zaczynał mieć wątpliwości.

Stojący za nim, wysoki, wieloczłonowy, pokryty chityną owad, który był Billem Lawsem, pokiwał głową na znak zgody.

– Oczywiście, że zasłużyła – zabrzmiał jego cienki, brzęczący głos. – Za to, co zrobiła Edith Pritchett.

– Będzie cudownie wydostać się z tego świata – odezwała się Marsha. – Wrócić z powrotem do naszego.

– I do naszych kształtów – dodał Hamilton, patrząc niespokojnie na Arthura Silvestera.

– Co masz na myśli? – spytał Laws.

– On nie rozumie – powiedział Silvester z nutą cierpkiego rozbawienia. – To są nasze kształty, Hamilton, tylko że dotąd nie ujawniły się. Przynajmniej nie na tyle, abyś mógł je zauważyć.

Laws zaśmiał się gorzko.

– Posłuchaj go, Silvester. Posłuchaj, co on o tym myśli. Hamilton, jesteś naprawdę interesujący.

– Może powinniśmy dowiedzieć się, jakie jeszcze ma pomysły – zaproponował Arthur Silvester.

– W porządku – zgodził się Laws. – Podejźmy bliżej, przekonamy się co ma do powiedzenia. Dowiemy się, na co go stać.

Hamilton odparł z przerażeniem:

– Zabijcie ją, skończmy z tym, jesteście częścią jej szaleństwa i nie zdajecie sobie z tego sprawy.

– Zastanawiam się, jak szybko potrafi biegać – dociekał Arthur Silvester, zbliżając się powoli do Hamiltona.

– Zostawcie mnie w spokoju – krzyknął Hamilton sięgając po broń.

– A jego żona... – ciągnął Silvester. – Z nią też można by się pościgać.

– Dajcie ją mnie – mlasnął łakomie Dawid Pritchett. – Pozwólcie mi ją wziąć. Możecie przytrzymać ją dla mnie, jeśli zechcecie. Możecie ją powstrzymać od...

Wisząca w kokonie panna Reiss cicho umarła. Świat wokół nich rozsypał się bezgłośnie na drobne, chaotyczne kawałki.

Nieco osłabiony Hamilton przyciągnął do siebie żonę i stał, trzymając ją w objęciach.

– Dzięki Bogu – powiedział. – Wydostaliśmy się stamtąd.

Marsha przytuliła się do niego.

– W samą porę, prawda?

Wirujące cienie przesuwaly się wokoło, Hamilton stał czekając cierpliwie. Powinien czuć ból, leżąc na zasypanej gruzem betonowej podłodze bewatronu. Wszyscy byli ranni. Teraz nastąpi cierpienie, potem okres powolnej rekonwalescencji, długie, puste dni w szpitalu. Ale warto. Nawet bardzo warto przez to przejść.

Cienie zniknęły, lecz nie byli w bewatronie.

– Znów tu jesteśmy – odezwał się ciężko Charley McFeyffe. Podniósł się z wilgotnego trawnika i stanął chwytając poręcz werandy.

– Ale to niemożliwe – powiedział głupio Hamilton. – Przecież już nie pozostał nikt, przeszliśmy wszystko.

– Mylisz się – stwierdził McFeyffe. – Przykro mi, Jack. Ale mówiłem ci. Ostrzegałem cię przed nią, a ty nie słuchałeś.

Przed domem Hamiltonów zaparkował czarny, groźnie wyglądający samochód. Drzwiczki wozu otworzyły się i z tylnego siedzenia wysiadł tęgi mężczyzna. Kołysząc się zmierzał przez ciemny placyk prosto w stronę Hamiltona. Za nim ciężko kroczyli ponurzy mężczyźni w płaszczach, kapeluszach, z rękoma w kieszeniach.

– Tutaj jesteś – mruknął korpulentny mężczyzna. – W porządku, Hamilton. Podejdz no.

Hamilton nie rozpoznał go od razu. Twarz mężczyzny była krągłą bryłą ciastowatego ciała zdeformowaną jedynie przez ledwo zarysowany podbródek i głęboko zapadnięte w tłuszcz małe oczka. Palce, które przywarły do ramienia Hamiltona, przypominały mięsiste szpony. Cuchnął nieświeżą, choć drogą wodą kolońską oraz – krwią.

– Dlaczego nie byłeś dzisiaj w pracy? – chrząknął przysadzisty mężczyzna. – Zrobiłeś mi przykrość, Jack, znałem twojego ojca.

– Dowiedzieliśmy się o tym wiecu – dodał jeden z obstawy.

– Tillingford – odezwał się zdumiony Hamilton – to naprawdę pan?

Łypiąc na niego, doktor Guy Tillingford, nadęty, unurzany we krwi kapitalista, zawrócił i poczłapał do zaparkowanego cadillaca.

– Przywieźcie go – polecił swoim ludziom. – Muszę wracać do laboratoriów Epidemie Development Agency. Otrzymaliśmy nowe trucizny bakteryjne, które chcemy wypróbować. Będzie dobrym materiałem.

Śmierć legła ciężko wśród chłodnych ciemności nocy. W mroku przed nimi umierał wielki, skorodowany organizm. Z roztrzaskanego, połamanego i pociętego kształtu boleśnie sączyły się na chodnik wewnętrzne płyny, wokół utworzyła się rosnąca stale kałuża błyszczącej, bulgoczącej cieczy.

Przez chwilę Hamilton nie potrafił go rozpoznać. Kształt zadrgał lekko, gdy przechylał się na jedną stronę. W rozbitych szybach słabo pulsowało światło gwiazd. Jak spróchniałe drewno, wybrzuszona skorupa samochodu przekrzywiła się i runęła. Gdy się temu przyglądał, maska wozu rozpadła się jak rozbite jajko, zardzewiałe części wypadły i rozsypały się wokoło, na pół zanurzone w benzynie, oleju, wodzie i płynie hamulcowym.

Przez moment konstrukcja wozu stawiała opór. Potem z jękiem protestu resztki silnika zsunęły się z zardzewiałych podpórek i osiadły na chodniku. Podstawa silnika załamała się i powoli, równomiernie zaczęła rozpadać się na chaotyczne nagie części.

– Tak – odezwał się zrezygnowany kierowca Tillingforda. – Więc to tak...

Tillingford spoglądał posepnie na wrak, który kiedyś był jego cadillakiem. Ogarnęło go wściekłe oburzenie.

– Wszystko się rozpada – stwierdził.

Kopnął ze złością resztki samochodu. Cadillac zmienił się w bezkształtną kupę metalu, która rozplynęła się w cieniach nocy.

– To niczego nie zmieni – zauważył jeden z jego ludzi. – Można go równie dobrze zostawić.

– Będziemy mieli kłopoty z dostaniem się do zakładu – powiedział Tillingford strząsając krople oleju z mankietów spodni. – Po drodze jest dzielnica robotnicza.

– Całkiem możliwe, że zabarykadowali autostradę – zgodził się kierowca.

W półmroku faceci z ochrony byli nie do odróżnienia; przypominali Hamiltonowi krzepkich, germańskich osiłków.

– Ilu mamy ludzi? – dopytywał się Tillingford.

– Trzydziestu – padła odpowiedź.

– Zapalmy pochodnie – zaproponował ktoś bez szczególnego przekonania. – Jest zbyt ciemno, żeby zobaczyć ich, kiedy ruszą.

– Czy to na serio? – spytał Hamilton, przepychając się w kierunku doktora Tillingforda. – Czy ci ludzie naprawdę wierzą...

Przerwał, kiedy w resztki cadillaca trafiła cegła. Niewyraźne postacie przebiegły i rozplynęły się w gęstniejącym mroku.

– Rozumiem już – powiedział przerażony.

– O mój Boże! – zapiszczała Marsha. – Jak to przeżyjemy?

– Może nie przeżyjemy – odparł Hamilton.

Następna cegła pomknęła ze świstem w ciemność. Marsha zadrżała i przysunęła się do męża.

– Prawie mnie uderzyła, zabijają każdego, kto tu jest...

– Szkoda, że nie trafiła – zauważyła Edith Pritchett. – Wtedy wydostalibyśmy się stąd.

Zaskoczona Marsha krzyknęła rozpaczliwie. Zacięte, groźne twarze członków grupy były gipsowo białe w świetle pochodni.

– Wszyscy w to wierzycie. Myślicie, że jestem komunistką.

Tillingford odwrócił się szybko. Na jego twarzy widniało niemal histeryczne przerażenie.

– Fakt. Zapomniałem. Wszyscy byliście na wiecu partyjnym.

Hamilton chciał zaprzeczyć, lecz nagle ogarnęło go zniechęcenie. Cóż to wszystko mogło znaczyć? Prawdopodobnie w tym świecie znaleźli się na komunistycznym wiecu, zebraniu Partii Postępowej z tańcami ludowymi, pieśniami lojalistów hiszpańskich, sloganami, mowami i petycjami.

– No tak – odezwał się łagodnie do żony. – Przeszliśmy długą drogę, przez trzy światy, aż w końcu znaleźliśmy się tutaj.

– O co chodzi? – wyjąkała Marsha.

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś.

Jej oczy wyrażały zdumienie.

– Ty też mi nie wierzysz?

Uniesiona dłoń Marshy zabłysła bielą w ciemnościach. Hamilton, przeszyty bólem, zadygotał. Moment później Marsha dała upust swemu rozgoryczeniu.

– To nieprawda – powiedziała zrozpaczona. Pocierając obrzmiały, palący policzek, Hamilton zastanawiał się.

– Ciekawe. Sądziliśmy, że nie będziemy w stanie dowiedzieć się, co ludzie myślą, dopóki nie zajrzemy do ich umysłów. No i oto jesteśmy. Byliśmy w umyśle Silvestera, Edith Pritchett, obłąkanym umyśle panny Reiss...

– Jeśli ją zabijemy – zauważył od niechcienia Silvester – wydostaniemy się stąd.

– Wrócimy z powrotem do naszego świata – stwierdził McFeyffe.

– Zostawcie ją w spokoju – ostrzegł Hamilton. – Trzymajcie się z dala od mojej żony.

Otoczała ich zwarta, wrogo usposobiona grupa. Nikt się nie poruszył. Sześć osób stało sztywno, w napięciu, z rękami przy bokach. Wreszcie Laws drgnął rozluźniając ciało, wycofał się.

– Zapomnijcie o tym – mruknął przez ramię. – Pozwólcie, niech Jack sam się tym zajmie. To jego problem.

Marsha zaczęła gwałtownie łapać powietrze.

– Okropne... Nie rozumiem – smutno pokręciła głową. – Przecież to nie ma sensu.

Wokół nich upadało coraz więcej kamieni. W rozedrganym cieniu słychać było słabe, rytmiczne dźwięki, które przeistaczały się w pompatyczne pieśni. Tillingford, okrutny, zgorzkniały grubas, stał nasłuchując.

– Słyszysz ich? – spytał Hamilton. – Ukrywają się w ciemności.

Jego pospolita twarz wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia.

– Bestie.

– Doktorze – zaprotestował Hamilton. – To nie są pańskie myśli. Musi pan wiedzieć, że nie jest pan sobą.

Nie patrząc na niego, Tillingford odrzekł:

– Idź, przyłącz się do swoich czerwonych przyjaciół.

– A więc tak się ma sprawa...

– Jesteś komunistą – stwierdził beznamiętnie Tillingford. – Twoja żona też jest komunistką. Ludzkie wraki. Nie ma dla ciebie miejsca w mojej fabryce, w przyzwoitym ludzkim towarzystwie. Wynoś się stąd i nie śmiej wracać. – Po chwili dodał: – Wracaj na ten swój komunistyczny wiec.

– Czy zamierza pan go rozpędzić? – spytał Hamilton.

– Oczywiście.

– Każe pan teraz strzelać? Pozabija pan tych ludzi?

– Jeśli nie my – odparł logicznie Tillingford – oni nas zabiją. Taka jest kolej rzeczy. To nie moja wina.

– Tak nie może dłużej być – powiedział niezadowolony Laws do Hamiltona. – W tej taniej komunistycznej sztuce występują bezmyślni aktorzy. Kiepska parodia pod tytułem „Życie w Ameryce”. Prawdziwe życie jest cholernie blisko, już prawie je widać.

Wokół zabrzmiała seria głuchych trzasków. To robotnicy ustawili karabiny maszynowe na dachach pobliskich domów. W miarę przybliżania się linii strzału, kłęby cementowego pyłu zaczęły przesłaniać widok. Tillingford padł na ziemię, chowając się za wrakiem cadillaca. Jego ludzie, schyleni, biegnąc, zaczęli się ostrzeliwać. Ktoś rzucił ręczny granat. Hamilton skulił się uderzony podmuchem, słup eksplodującego ognia poraził mu oczy i twarz. Chwilę później ujrzał głęboki dół wypełniony złomem niewiadomego pochodzenia. Kilku ludzi Tillingforda leżało w rumowisku, ich ciała były niewiarygodnie poskręcane.

Gdy Hamilton patrzył tępo na ich niemrawe wysiłki, Laws szepnął mu do ucha:

– Czy nie przypominają ci kogoś? Przyjrzyj się.

W falującej ciemności Hamilton z trudem rozróżniał kształty. Ale jedna z tych rannych, bezwładnych osób wydawała mu się dziwnie znajoma. Zbity z tropu patrzył na nią. Kim była

postać leżąca wśród ruin, odpadków, porozrywanych płyt chodnikowych i tłących się zgłiszcz?

– To ty – powiedział łagodnie Laws.

Tak było. Zafalowały zamglone rysy realnego świata widoczne poza tą zdeformowaną fantazją. Jakby twórca tej scenerii miał przy jej projektowaniu podstawowe wątpliwości. Zaśmiecony chodnik nie był ulicą, lecz podłogą bewatronu. Tu i ówdzie leżały znajome postacie. Ruszając się powoli, zaczynały powracać do życia.

Wśród płonących ruin poruszało się kilku techników i pielęgniarzy. Z największą uwagą torowali sobie drogę, poruszając się ślamazarnie, krok po kroku. Dbali o to, by nie narazić się na niebezpieczeństwo. Cicho jak złodzieje skakali z dachów domów na wypaloną ulicę... ale czy to była ulica? Teraz bardziej przypominała ściany bewatronu i pomosty bezpieczeństwa prowadzące na podłogę. Czerwone opaski na rękawach robotników były podobne do opasek Czerwonego Krzyża. Zdezorientowany Hamilton zrezygnował z prób uporządkowania napływających miejsc i kształtów.

– To nie potrwa długo – powiedziała cicho panna Reiss. Gdy załamał się jej świat, pojawiła się znowu, taka sama jak przedtem, w długim aksamitnym płaszczu, w rogowych okularach, ściskająca cenną torebkę.

– Ten spisek nie jest tak udany. Nie jest tak dobrze przemyślany jak poprzedni.

– Ostatni wydawał się pani przekonywający? – spytał kwaśno Hamilton.

– Tak. Na początku prawie się nabrałam. Myślałam... – Panna Reiss uśmiechnęła się. – Bardzo udany. Niemal uwierzyłam, że to mój świat. Ale oczywiście, kiedy stanęłam na dywanie w moim mieszkaniu, zrozumiałam, jaka jest prawda. Kiedy znalazłam listy z pogrózkami na stole w hallu...

– Co tu jest nie w porządku? – spytała Marsha, klękawszy obok Hamiltona. – Wszystko wydaje się takie dziwne.

– Już prawie po wszystkim – stwierdziła niedbale panna Reiss.

Marsha z nadzieją przywarła do męża.

– Już...? Budzimy się?

– Być może – odparł. – Niektórzy tak twierdzą.

– To cudownie.

– Naprawdę?

Na jej twarzy pojawił się strach.

– Oczywiście. Nienawidzę tego miejsca, nie znoszę go. Jest takie dziwaczne. Takie podle i okrutne.

– Porozmawiamy o tym później.

Skoncentrował swoją uwagę na osobie Tillingforda. Ociężały boss zebrał swoich ludzi i skandował coś niskim głosem.

– Tych goryli – zauważył spokojnie Laws – nic nie uspokoi. Obejrzymy jeszcze walkę, zanim się stąd wydostaniemy.

Tillingford skończył wywody. Wskazując kciukiem na Lawsa, powiedział:

– Powieście go, tego z boku.

Laws wyszczerzył zęby.

– Następny Murzyn będzie zlincowany. Kapitaści robią to cały czas.

Niewiarygodne. Hamilton niemal zaśmiał się w głos. Tillingford był śmiertelnie gorliwy.

– Doktorze – odezwał się niskim głosem. – Wszystko wokół istnieje dlatego, że Marsha w to wierzy. Pan, walka, ta szalona fantazja... ona sprawi, że to się rozwieje. To nie jest realny świat, to jej iluzja. Proszę mnie posłuchać.

– Tego Czerwonego – odezwał się znudzonym głosem Tillingford. Otarł nabrzmiałe czoło jedwabną chusteczką.

– I tę Czerwoną dziwkę. Oblejcie ich benzyną, kiedy zaczną wierzgać. Żałuję, że nie zostaliśmy w fabryce. Przynajmniej przez jakiś czas bylibyśmy bezpieczni. Dałoby się opracować lepszy plan obrony.

Robotnicy jak duchy czołgali się ku rumowisku. Ekspłodowały coraz to nowe granaty, powietrze gęstniało od popiołu i spadającego drobnego gruzu.

– Spójrzcie – odezwał się przerażony Dawid Pritchett.

Na tle ciemnego, mrocznego nieba pojawiły się ogromne litery. Zamglone, niewyraźne, pobłyskujące z lekka plamy, które stopniowo rozwijały się w słowa. Już częściowo rozproszone, hasła otuchy napisane w ciemnej pustce.

Nadchodzimy

Trzymajcie się

Walczący o pokój

Powstańcie

– Bardzo pocieszające – przyznał Hamilton z niesmakiem. W ciemności rozległ się stłumiony śpiew. Zimny wiatr prznosił frazy wykrzykiwanej pieśni w stronę ukrywającej się grupki.

– Może nas uratują – powiedziała niepewnie pani Pritchett. – Ale te straszne napisy, tam w górze... czuję się tak dziwnie.

Wokoło poruszali się ludzie Tillingforda, gromadząc kamienie, rupiecie, wznosząc obronne fortyfikacje. Zagubieni w chmurach mgły i dymu, byli prawie niewidoczni. Od czasu do czasu wybuch oświetlał jakąś kościstą, surową twarz, tak że stawała się na chwilę widoczna, a potem znów tonęła w ciemności. Kogo mu przypominali? Hamilton usiłował się skoncentrować. Nasunięte na czoło kapelusze, haczykowate nosy...

– Gangsterzy – zauważył Laws. – Chicagowscy gangsterzy z lat trzydziestych.

Hamilton skinął głową.

– Masz rację.

– Wszystko jak w książce. Musi pamiętać ją doskonale.

– Zostaw ją w spokoju – powiedział Hamilton bez większego przekonania.

– Co się teraz stanie? – spytał z ironią Laws skuloną Marszę. – Kapitalistyczni bandyci będą szaleć. Czy tak?

– Wyglądają tak nieprzyjemnie – zaniepokoiła się pani Pritchett. – Nie rozumiem, jak tacy ludzie mogą w ogóle istnieć.

W tym momencie jeden z płomiennych sloganów eksplodował. Kawałki płonącego materiału spadały na ziemię zapalając sterty śmieci. Klnąc i klepiąc się po ubraniu, Tillingford niechętnie uskokczył, strzęp napisu opadł na niego i podpalił płaszcz. Po prawej stronie, na pół pogrzebani pod ogromnym, żarzącym się portretem Bułganina, opadłym prosto z nieba, leżeli jego ludzie.

– Pogrzebani żywcem – stwierdził z zadowoleniem Laws. Spadło coraz więcej wyrazów. Ogromne, skwierczące słowo „Pokój” wylądowało na schludnym domku Hamiltona. Dach, ściany, garaż, sznur do suszenia bielizny, wszystko stanęło w ogniu. Nieszczęśliwy obserwował, jak jasno rozbłyskuje pożar wysyłając w niebo migoczące języki ognia. Od strony ciemnego miasta nie było słyhać zawodzenia syren, ulice i domy tonęły cicho w mroku, zamknięte, jakby nie dowierzające temu, że mogą spłonąć.

– Dobry Boże – odezwała się Marsha. – Chyba rozpadnie się ta wielka wspólnota.

Skulony, podobnie jak jego ludzie, Tillingford stracił kontrolę nad sytuacją.

– Bomby i pociski – powtarzał raz po raz monotonnym, niskim głosem.

Przeżyło zaledwie paru jego goryli.

– Bomby i pociski nie zatrzymają ich. Już maszerują.

W przesywanych rozbłyskami ciemnościach przesuwiał się ku nim szereg postaci. Dźwięki hymnu grzmiały teraz, ponure, potężniejące z każdą chwilą. Wyprzedzały orszak krzepkich surowych mężczyzn maszerujących pośród rumowisk.

– Chodź – powiedział Hamilton.

Chwyciwszy szczupłą dłoń żony, wyprowadził ją szybko z panującego wokół zamieszania.

Odnajdując instynktownie drogę, Hamilton poprowadził Marszę obok ich płonącego domu, wzdłuż cementowej ścieżki, na tylne podwórko. Część płotu zwęgliła się i rozpadła. Ciągnąc żonę lawirował pomiędzy płonącymi częściami ogrodzenia, zmierzał w kierunku ciemnego placu. Mętne kształty domów majaczyły złowieszczo. Od czasu do czasu, przelotnie, pojawiały się sylwetki biegnących ludzi. Pozbawieni twarzy, sztampowi robotnicy spokojnie podchodzili do sceny walk. Kształty i dźwięki stopniowo zamierały. Blask płomieni słabł. Wydostali się ze strefy bezpośredniej bitwy.

– Zaczekaj.

Laws i McFeyffe z trudem łapiący oddech pojawili się za nimi.

– Tillingford wpadł w szal – wysapał Laws. – Boże, ale rozróżba.

– Nie do uwierzenia – mruczał McFeyffe, przekrzywiając świecąca potem twarz. – Łażą na czworakach. Umazani brudem i krwią. Walczą jak zwierzęta.

Przed nimi zamigotały światła.

– Co to? – dopytywał się podejrzliwie Laws. – Lepiej trzymajmy się z dala od głównej ulicy.

Była to dzielnica handlowa Belmont. Ale nie taka, jaką pamiętali.

– Tak – stwierdził kwaśno Hamilton. – Powinniśmy byli się tego spodziewać.

W mroku nocy jaśniały walące się rudery. Jak trujące grzyby sterczały tu i tam zniszczone sklepy, brzydkie i rażące. Bary, kasyna bilardowe, kręgielnie, domy publiczne, sklepy z bronią... nad tym wszystkim górował metaliczny skrzek. Ogłuszający wrzask amerykańskiego jazzu dobiegającego z głośników zamontowanych nad wyzywającymi arkadami. Migotały neony. Uzbrojeni żołnierze błakali się bez celu, przebierając w tandetnym towarze tej zepsutej moralnie dzielnicy.

W oknie wystawowym Hamilton dojrzał coś dziwnego. W wyściełanych pudełkach leżały rzędami noże i rewolwery.

– Dlaczego nie? – odezwał się Laws. – Komunistyczny obraz Ameryki: gangsterskie miasta pełne okrucieństwa i zbrodni.

– Na wsi – dodała spokojnie Marsha – Indianie, okropne mordy i lincze. Bandytyzm, masakry, rozlew krwi.

– Wydaje się, że jesteś dobrze poinformowana – stwierdził Laws.

Zdeprymowana Marsha usiadła na krawężniku.

– Nigdzie nie pójdę – oświadczyła.

Trzej mężczyźni zawahali się nie wiedząc, co zrobić.

– No, chodźże – odezwał się ostro Hamilton. – Zamarzniesz.

Marsha nie odpowiedziała. Skuliła się, pochyliła głowę, splotła dłonie; jej drobne, kruche ciało drżało z zimna.

– Lepiej wejdźmy gdzieś do środka – powiedział Laws. – Może do którejś z tych restauracji.

– To wszystko nie ma sensu – stwierdziła Marsha. – Prawda?

– Przypuszczam, że nie – odparł krótko Hamilton.

– Nie obchodzi cię, czy wrócimy?

– Nie...

– Czy jest coś, co mogę wyjaśnić?

Stojąc za żoną, wskazał ręką dookoła.

– Mogę to sam zobaczyć, wszędzie wokół nas.

– Przykro mi – odezwał się niezręcznie McFeyffe.

– Nie twoja wina.

– Ale czuję się odpowiedzialny.

– Zapomnij o tym. – Pochylając się Hamilton położył dłoń na drżącym ramieniu żony. – Chodź, kochanie. Nie możesz tu zostać.

– Nawet jeśli nie ma dokąd iść?

– Tak jest. Nawet jeśli nie ma dokąd iść. Nawet jeśli dotarliśmy do końca świata.

Hamilton nie odpowiedział. Pochylił się, chwycił żonę za rękę, zmuszając do wstania. Apatycznie pozwoliła wlec się dalej. Skrawek materii podążający za nim bezwiednie w chłodzie i ciemności.

– Wydaje się, że to było tak dawno temu – wspominał Hamilton. – Dzień, kiedy spotkaliśmy się w klubie i powiedziałem ci, że wzywa mnie pułkownik TE. Edwards.

Marsha pokiwała głową.

– Dzień, w którym zwiedzaliśmy bewatron.

– Pamiętaj – odezwał się szorstko McFeyffe. – Gdybyś się tam nie znalazł, nie odkryłbyś prawdy.

Restauracje były ostentacyjnie bogate. Personel kłaniał się w pas, szurając przy tym nogami. Podobni do szczurów kelnerzy posłusznie biegali między suto zastawionymi stolikami. Hamilton i jego towarzystwo włóczyli się bez celu, bez jakichś szczególnych zamiarów. Ulice prawie opustoszały, od czasu do czasu przemykała chyłkiem zagubiona postać, zgarbiona, chowająca się przed wiatrem.

– Może jacht? – zaproponował martwo Laws.

– Co takiego?

– Jacht. – Laws wskazał w stronę potężnego rozświetlonego okna wystawowego. – Całe mnóstwo. Chcesz kupić?

Na innych wystawach eksponowano drogie futra i biżuterię. Perfumy, importowane artykuły żywnościowe... i nieśmiertelne restauracje w stylu rokoko z kłaniającą się obsługą, luksusowymi wnętrzami. Grupki mężczyzn i kobiet w łachmanach oglądały wystawy, nie mogąc kupić leżących tam towarów. Środkiem ulicy przejechał zaprzężony w konie wóz. Siedzieli na nim, zapatrzeni tępo w dal, członkowie jakiejś biednej rodziny, kurczowo ściskając tobołki ze skromnym dobytkiem.

– Uchodźcy z nękanego przez suszę Kansas – zawyrokował Laws. – Z Dust Bawal. Przypominasz sobie?

Przed nimi leżała jasna od czerwonych świateł ulica.

– Tak – odezwał się Hamilton – co na to powiesz?

– Cóż mamy do stracenia? – mruknął Laws. – Doszliśmy tak daleko jak tylko można było,

nic już nie pozostało.

– Może powinniśmy się zabawić – powiedział McFeyffe. – Póki jeszcze możemy. Zanim ta bezbożna konstrukcja całkiem upadnie...

Bez słów skierowali się ku błyszczącym neonom, reklamom piwa, wrzeszczącym głośnikom i trzepoczącym na wietrze poszarpanym markizom. Do starego, znajomego Safe Harbor.

Znużona Marsha z zadowoleniem opadła na krzesło przy stoliku w kącie sali.

– W porządku – stwierdziła. – Miło i ciepło.

Hamilton stał zauroczony miłą atmosferą baru; poręcznymi popielniczkami pełnymi niedopałków, kolekcją opróżnionych butelek piwa, metalicznym brzękiem szafy grającej. Safe Harbor nie zmieniło się. Przy barze, jak zwykle, siedziała grupka robotników pochylając się nad piwem. Drewniana podłoga zaśmiecona była niedopałkami papierosów. Barman ospale przecierający kontuar brudną szmatą skinał na McFeyffe'a, gdy usadowili się wokół Marshy.

– Wszyscy piją piwo? – spytał Laws. Przytaknęli. Laws powędrował w kierunku baru.

– Przeszliśmy długą drogę – odezwała się niepewnie Marsha, zdejmując płaszcz. – Nie wydaje mi się, abym zaglądała tu przedtem.

– Chyba nie – zgodził się Hamilton.

– A ty tu bywasz?

– Tak, wpadaliśmy na piwo do Safe Harbor, kiedy pracowałem u pułkownika Edwardsa.

– O, przypominam sobie, wspominałeś o tym.

Pojawił się Laws, niosąc cztery butelki piwa Golden Glow.

– Częstujcie się – powiedział siadając ostrożnie.

– Zauważyłeś coś? – spytał Hamilton, popijając piwo. – Spójrz na te dzieciaki.

W mrocznych zakątkach baru widać było tu i ówdzie nastolatki. Zafascynowany, obserwował młodą dziewczynę, mającą nie więcej niż czternaście lat, jak wędruje w kierunku baru. To było coś nowego, nie przypominał sobie czegoś takiego. W prawdziwym świecie... był taki odległy. Teraz otaczała go komunistyczna fantazja: krucha i niewyraźna. Bar, rzędy butelek i szklanek tworzyły jednolitą plamę. Popijająca młodzież, stoły, butelki piwa zmieszały się w ciemną chmurę. Nie był w stanie zlokalizować zaplecza pomieszczenia. Znajomych czerwonych napisów „Dla pań”, „Dla panów” nie było widać.

Zmrużył oczy i przyglądał się. Daleko za stołami i pijącymi majaczyła czerwona plama. Co to było?

– Co tam jest napisane? – spytał Lawsa wskazując palcem.

– Wygląda na wyjście zapasowe – odparł tamten. Po chwili dodał: – Mieści się w górze na ścianie bewatronu. Na wypadek pożaru.

– Mnie to przypomina bardziej napisy „Dla pań”, „Dla panów” – stwierdził McFeyffe. – Wcześniej właśnie tam się znajdowały.

– Przyzwyczajenie – skwitował Hamilton.

– Dlaczego te dzieci piją? – dopytywał się Laws. – Narkotyzują się? Spójrzcie na nich, mają trawkę, to jasne.

– Coca-cola, narkotyki, alkohol, seks – wyliczał Hamilton. – System deprawuje moralnie. Zapewne pracują w kopalniach uranu.

Nie mógł pozbyć się goryczy w głosie.

– Rosną po to, by stać się gangsterami i nosić obrzyny.

– Chicagowscy gangsterzy – skomentował Laws.

– Potem wstępują do armii, żeby mordować wieśniaków, palić ich chaty. To system, który mamy, to kraj, w którym żyjemy. Kolebka morderców i wyzyskiwaczy. – Odwracając głowę do żony spytał: – Mam rację, kochanie? Dzieci zażywające narkotyki, kapitaliści z krwią na rękach, głodujący włóczędzy myszkujący po śmietnikach...

– Nadchodzi twoja przyjaciółka – zauważyła spokojnie Marsha.

– Moja? – zaskoczony Hamilton odwrócił się niepewnie na krzesło.

Spiesząc ku nim, wyszła z cienia szczupła, smukła blondynka o długich, spływających na ramiona włosach. W pierwszej chwili nie rozpoznał jej. Miała na sobie ściągniętą paskiem krótką i pomiętą bluzkę. Twarz błyszczała od makijażu. Obcisła spódnica była rozcięta niemal po biodra. Na nogach nie miała pończoch, tylko zniszczone mokasyny na niskim obcasie. Kołysała imponujących rozmiarów biustem. Kiedy podeszła do stolika, Hamiltona otoczyła woń perfum i ciepło...

Skomplikowana mieszanina zapachów przywołała równie skomplikowane wspomnienia.

– Cześć – odezwała się niskim, zachrypniętym głosem. Pochylając się, dotknęła ustami jego skroni.

– Czekałam na ciebie.

Hamilton podniósł się i zaproponował jej krzesło.

– Dzień dobry, pani Hamilton. Cześć, Charlie. Dzień dobry, panie Laws.

– Mogę o coś zapytać? – sucho zapytała Marsha.

– Proszę.

– Jaki jest rozmiar pani biustonosza?

Bez wahania Silky podciągnęła bluzkę, odsłaniając swe wielkie piersi.

– Czy taka odpowiedź panią zadowala?

Nie nosiła biustonosza.

– Tak, dziękuję. – Marsha zaczerwieniła się i umilkła. Spoglądając z nieukrywanym podziwem na sterczące piersi, Hamilton stwierdził:

– Zapewne biustonosz jest kapitalistycznym wynalazkiem, wymyślonym, by oszukiwać masy.

– Porozmawiajmy o życiu mas – zaproponowała niby życzliwie Marsha, wytrącona z równowagi tym widokiem. – Musi mieć pani problemy z odnalezieniem zagubionych części garderoby.

– W społeczeństwie komunistycznym proletariąt nigdy niczego nie wyrzuca – wyraził swą opinię Laws.

Silky zaśmiała się krótko. Siedziała zamyślona, dotykając biustu długimi, szczupłymi palcami. Potem szybkim ruchem obciągnęła bluzkę, wygładziła rękawy i oparła dłonie na stole.

– Co nowego?

– Wielka bitwa na naszej ulicy – wyjaśnił Hamilton. – Krwiożercze wampiry z Wall Street przeciw bohaterkim, bystrym robotnikom radośnie śpiewającym hymny.

Silky zerknęła na niego zaniepokojona.

– Kto wygra?

– No – przyznał Hamilton. – Sporo kłamliwych, faszystowskich sługusów leży pogrzebanych pod zwęglonymi transparentami.

– Spójrz – odezwał się Laws. – Widzisz?

W rogu stał automat z papierosami.

– Przypominasz sobie?

– Jasne.

– A tam następny – wskazał na automat z cukierkami w przeciwnym kącie baru, prawie niewidoczny w mroku.

– Pamiętasz, co z tym zrobiliśmy?

– Pamiętam. Po naszych poprawkach dawał najwyższej jakości brandy.

– Zamierzaliśmy zmienić świat – powiedział Laws. – Poprawić go. Pomyśl, co moglibyśmy zrobić, Jack.

– Właśnie myślę...

– Moglibyśmy wyprodukować wszystko, na co ktokolwiek i kiedykolwiek miał ochotę. Żywność, lekarstwa, whisky, komiksy, pługi, środki antykoncepcyjne. Cóż to była za zasada...

– Zasada boskiej cyrkulacji. Prawo cudownego podziału. – Hamilton pokiwał głową. – Bardzo przydałoby się w tym szczególnym świecie.

– Prześcignęlibyśmy partię – zauważył Laws. – Oni muszą budować tamy i ciężki przemysł. Wszystkim, czego my potrzebowaliśmy, był batonik.

– I kawałek neonowej rurki – dodał Hamilton. – Tak... byłoby dużo zabawy.

– Dlaczego jesteś taki smutny? – spytała Silky. – Czy coś się stało?

– Nic – odparł Hamilton. – Zupełnie nic.

– Mogę w czymś pomóc?

– Nie – uśmiechnął się słabo. – Niemniej dziękuję.

– Moglibyśmy pójść na górę – obciągnęła spódnicę. – Zawsze pragnęłam, abyśmy byli razem.

Hamilton pogładził ją po ręce.

– Jesteś dobrą dziewczyną. Ale to mi nie pomoże.

– Jesteś pewien?

Zachęcająco odsłoniła nagie, połyskujące uda.

– Poczulibyśmy się lepiej... spodobałoby ci się...

– Może kiedyś, ale nie teraz.

– Miła, słodka rozmowa? – mruknęła Marsha. Jej twarz była ściągnięta i skurczona.

– Żartowaliśmy – odparł łagodnie Hamilton. – Nie mieliśmy nic złego na myśli.

– Śmierć kapitalizmowi monopolistycznemu – wtrącił uroczyście Laws.

– Władza w rękach klasy pracującej – dodał posłusznie Hamilton.

– Za demokrację Stanów Zjednoczonych – oświadczył Laws.

– Za Związek Socjalistycznych Ameryk.

Kilku robotników przy barze podniosło głowy znad kufla piwa.

– Uspokójcie się – ostrzegł niespokojnie McFeyffe.

– Słuchajcie! Słuchajcie! – krzyczał Laws rzucając na stół scyzoryk.

Otworzył nóż i wymachiwał nim groźnie.

– Oskalpuję jednego z tych krwio pijców z Wall Street.

Hamilton obserwował go podejrzliwie.

– Murzyni nie noszą takich noży. To burżuazyjny stereotyp.

– Ja noszę – stwierdził stanowczo Laws.

– Więc – zdecydował Hamilton – nie jesteś Murzynem. Jesteś pseudo-Murzynem, który zdradził swoją religię.

– Religię? – powtórzył jak zahipnotyzowany Laws.

– Pojęcie rasy jest wymysłem faszystowskim – wyjaśnił Hamilton. – Murzyni są grupą religijną i kulturową, niczym więcej.

– Niech to diabli! – wykrzykiwał zaciekawiony Laws. – Słuchaj, to nie jest takie złe.

– Zatańczysz? – natarczywie zaproponowała Silky Hamiltonowi. – Szkoda, że nie mogę nic dla ciebie zrobić... tak strasznie mi ciebie żal.

– Przyjdę do siebie – odparł krótko.

– Jak możemy pomóc rewolucji? – dopytywał się ożywiony Laws. – Kogo zabić?

– Nieważne – stwierdził Hamilton. – Kogokolwiek zobaczysz. Kogokolwiek, kto potrafi czytać i pisać.

Silky i kilku robotników wymieniło spojrzenia.

– Jack – odezwała się zaniepokojona – to nie jest temat do żartów.

– Na pewno nie – zgodził się Hamilton. – Ten wściekły pies monopolistycznej finansjery, Tillingford, omal nas nie zlinczował...

– Zlikwidujemy Tillingforda – wrzasnął Laws.

– Zrobię to – powiedział Hamilton. – Roztrzaskam mu łeb i wycisnę z niego wszystkie soki.

– Śmiesznie brzmi to, co mówisz – zauważyła Silky wpatrując się w Hamiltona. – Proszę, Jack, nie mów tak, to mnie przeraża.

– Przeraża cię? Dlaczego?

– Ponieważ – wrzuszyła z wahaniem ramionami – sędzę, że jesteś złośliwy.

Marsha krzyknęła histerycznie:

– O Boże! Ona też...

Kilku robotników zsunęło się ze swoich stołków; nadchodzili, cicho przesuwając się pomiędzy nimi. Hałas w barze ucichł. Szafa grająca milczała. Nastolatki schowały się gdzieś w mroku.

– Jack – powiedziała niespokojnie Silky – bądź ostrożny. Na litość boską!

– Teraz rozumiem wszystko – stwierdził Hamilton. – Jesteś działaczką polityczną? Ty? Uczciwa, kochająca dom dziewczyna? Zepsuta przez system?

– Przez kapitalistyczne złoto – dodał Laws ponuro, ocierając czoło i wywracając pustą butelkę po piwie. – Uwiedziona przez spasionego przedsiębiorcę. Może ministra. W bibliotece nad kominkiem powiesił jej błonę dziewiczą.

– To nie jest prawdziwy bar? – spytała Marsha rozglądając się wokół. – Tylko wygląda jak bar.

– Z przodu to jest bar – oświadczył Hamilton. – Czego więcej chcesz?

– Ale z tyłu – ciągnęła niespokojnie Marsha – jest komunistyczna komórka. A ta dziewczyna jest...

– Pracujesz dla Guya Tillingforda, prawda? – zapytała Hamiltona Silky. – Wtedy właśnie tam cię spotkałam.

– Tak jest, ale Tillingford wyrzucił mnie... uważam, że nie skończyliśmy jeszcze porachunków.

Dostrzegł, że stojący wokół niego mężczyźni są uzbrojeni. W tym świecie każdy był uzbrojony. W taki czy inny sposób. Nawet Silky.

– Czy – odezwał się głośno – to ta sama osoba, którą znałem?

Dziewczyna wahała się przez chwilę.

– Oczywiście... ale... – potrząsnęła niepewnie głową. – Wszystko jest tak pogmatwane. Ledwie mogę się w tym połapać.

– Tak – przyznał Hamilton – zrobił się bałagan.

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi – jęczała Silky. – Myślałam, że jesteśmy po tej samej

stronie.

– Jesteśmy – stwierdził Hamilton. – Albo byliśmy... kiedyś. Gdzie indziej. Daleko, daleko stąd.

– Ale... czy nie chciałeś wykorzystać mnie?

– Moja droga – powiedział smutno. – Zawsze pragnąłem cię wykorzystać. Cały czas. We wszystkich miejscach, we wszystkich światach. Wszędzie. Będę tego chciał aż do dnia śmierci. Chciałbym cię wziąć i wykorzystywać, dopóki twe ogromne piersi nie będą drzeć jak osika na wietrze.

– Tak myślałam – odparła drżącym głosem.

Przez chwilę opierała się o niego, złożywszy głowę na jego piersi. Niezręcznie odgarnął jej z czoła kosmyk włosów.

– Żałuję – powiedziała spokojnie – że sprawy nie ułożyły się lepiej.

– Ja też – przytaknął. – Może mógłbym wpadać od czasu do czasu i wypić z tobą drinka.

– Kolorowa woda – zauważyła Silky. – To wszystko. Barman stawia mi tylko jedną kolejkę.

Nieco zakłopotani robotnicy wyciągnęli swoje karabiny.

– Teraz? – zapytał jeden z nich.

Silky wstała, uwalniając się z objęć Hamiltona.

– Tak sędzę – mruknęła prawie niedosłyszalnie. – Naprzód, skończ z tym.

– Śmierć faszystowskim psom – powiedział nieszczerze Laws.

– Śmierć niegodziwcom – dodał Hamilton. – Możemy wstać?

– Oczywiście. Co tylko chcecie. Szkoda... tak mi przykro, Jack. Naprawdę. Ale nie jesteście z nami, prawda?

– Sędzę, że nie – zgodził się Hamilton niemal rozbawiony.

– Przeciw nam?

– Tak musi być – przyznał. – Nie ma innej możliwości. Zgadza się?

– Twoi przyjaciele – odezwał się głucho McFeyffe. – Zrób coś, powiedz coś. Nie możesz podyskutować z nimi?

– Nic dobrego z tego nie wyniknie – skwitował Hamilton. – Nie będą dyskutować.

Zwracając się do żony, pomógł jej wstać.

– Zamknij oczy. I odpręż się. Nie będzie boleć.

– Co zamierzasz zrobić? – szepnęła Marsha.

– Mam zamiar wydostać nas stąd. Jedynym sposobem, jaki wydaje się skuteczny.

Gdy krąg karabinów zacieśniał się wokół, Hamilton cofnął pięść, wycelował precyzyjnie i uderzył żonę w szczękę.

Marsha drgnęła i opadła w ramiona Billa Lawsa. Hamilton podtrzymał jej szczupłe ciało i stał z głupim wyrazem twarzy. Głupim, ponieważ beznamiętni robotnicy, nadal namacalni

i prawdziwi, ładowali broń.

– Mój Boże – jęknął zafrasowany Laws. – Oni nadal są tutaj. Nie jesteśmy w bewatronie. –
Oszołomiony, pomagał Hamiltonowi podtrzymać bezwładną Marszę. – To wcale nie jest
świat Marshy.

– Ale to nie ma sensu – powiedział Hamilton, sztywno trzymając ciepłe ciało żony. – To musi być świat Marshy, bo czyj inny?

I wtedy zrozumiał. Poczł ogromną ulgę.

Charley McFeyffe zaczął się zmieniać. Było to bezwiedne. McFeyffe nie mógł zapanować nad sobą. Zmiana płynęła z najgłębszych pokładów jego wierzeń. I najskrytszych poglądów na świat.

McFeyffe wyraźnie rósł. Przestał być przysadzistym mężczyzną z wielkim brzuchem i zadartym nosem. Stał się wysoki, dostoyny. Jakby spłynęła na niego łaska Boga. Jego ramiona były kolumnami mięśni, tors miał masywny. W oczach błyszczał sprawiedliwy gniew. Kwadratowa, znamionująca stanowczość szczęka przyjęła bezkompromisową linię, gdy spoglądał surowo dookoła.

Podobieństwo do (Tetragranmatona) było zaskakujące. McFeyffe najwyraźniej nie był w stanie wyzwolić się ze swych religijnych przekonań.

– Co to? – dopytywał się zafascynowany Laws. – W kogo on się zmienił?

– Nie czuję się dobrze – powiedział dźwięcznym boskim głosem McFeyffe. – Wezmę trochę bromu.

Krzepcy robotnicy opuścili karabiny. Przerażeni, drżący, spoglądali na niego z nabożną czcią.

– Towarzyszu komisarzu – mruknął jeden z nich. – Nie poznaliśmy was.

McFeyffe zwrócił się do Hamiltona.

– Przekłęci głupcy! – ryknął wielkim, autorytatywnym głosem.

– No tak, niech to diabli – powiedział łagodnie Hamilton. – Sam święty ojczulek.

Szlachetne usta McFeyffe'a otworzyły się i zamknęły, ale nie dobiegł z nich żaden dźwięk.

– To tłumaczy wszystko. Kiedy parasol wzniósł się do nieba, (Tetragranmaton) przyjrzał ci się dobrze. Nic dziwnego, że byłeś wstrząśnięty. I nic dziwnego, że cię zdmuchnął.

– Byłem zaskoczony – przyznał McFeyffe po chwili. – Naprawdę nie wierzyłem, że on jest tam na górze. Myślałem, że to kant.

– McFeyffe, jesteś komunistą – stwierdził Hamilton.

– Tak – huknął z przekorą. – Jak by nie było, jestem.

– Jak długo?

– Długo. Od czasu kryzysu.

– Rodzony brat zastrzelony przez Herberta Hoovera?

– Nie. Po prostu głodny, wyrzucony z pracy, zmęczony noszeniem tego ciężaru na grzbiecie.

– Na swój sposób – powiedział Hamilton. – Ale wewnątrz jesteś całkiem pomylony. Bardziej obłąkany niż panna Reiss. Bardziej wiktoriański niż pani Pritchett. Bardziej bogobojny niż Arthur Silvester. Jesteś najgorszą częścią ich wszystkich razem wziętych. Dużo gorszą.

– Nie muszę tego słuchać – oświadczyło dostojnie pozłacane bóstwo.

– Na dodatek jesteś wywrotowcem, kłamcą bez sumienia, żądnym władzy szachrajem i łajdakiem. Jak mogłeś to zrobić Marshy? Jak mogłeś zebrać ten cały materiał?

– Mówi się, że cel uświęca środki – odparła po chwili promienna postać.

– Taktyka partyjna?

– Ludzie pokroju twojej żony są niebezpieczni.

– Dlaczego?

– Nie należą do żadnej grupy. Kręcą się wszędzie. Gdy tylko się odwrócimy...

– Więc niszczycie ich. Oddajecie w ręce obłąkanych patriotów.

– Obłąkanych patriotów – powiedział McFeyffe – możemy zrozumieć. Ale nie twoją żonę. Podpisuje partyjne apele pokojowe i czyta chicagowską „Tribune”. Tacy ludzie są większym zagrożeniem dla partyjnej dyscypliny, niż jakakolwiek inna grupa. Hołdują indywidualizmowi. Idealiści ze swoimi własnymi sprawami, swoją własną etyką. Odmawiający zaakceptowania autorytetów. Podkopują społeczeństwo. Wywracają całą strukturę. Nic trwałego nie można na tym zbudować. Oni po prostu nie wykonują poleceń.

– McFeyffe, będziesz musiał mi wybaczyć – wyznał Hamilton.

– Dlaczego?

– Ponieważ zamierzam zrobić coś bezowocnego, daremnego. Zdaję sobie sprawę, że to bezsensowne, ale mam zamiar wykopać z ciebie tego żyjącego Jezusa.

Zbliżył się do McFeyffe’a i zobaczył napięte, stalowe mięśnie. Pojedynek od początku był nierówny, nie mógł nawet dosięgnąć jego głowy. McFeyffe cofnął się, poprawił i oddał cios.

Zamykając oczy, Hamilton ścisnął McFeyffe’a i nie puszczał go. Potłuczony, z powybijanymi zębami, w poszarpanym ubraniu, zawisł na McFeyffe’u jak żarłoczny szczur. Ogarnął go rodzaj religijnego szału. Chwyciwszy McFeyffe’a, zaczął tłuc jego głową o ścianę. Ten, szarpiąc palcami, chciał zwolnić uścisk, lecz Hamilton nie ustępował.

Praktycznie było już po wszystkim, jego desperacki atak poszedł na marne. Rozciągnięty Laws leżał z rozbitą głową opodal skurczonej postaci Marshy. Była tam, gdzie Hamilton ją upuścił. On zaś, wciąż stojąc na nogach, dostrzegł otaczających go strzelców. Jego czas nadszedł.

– No, chodźcie – zachęcał ich dysząc. – To już nie ma znaczenia, nawet jeśli rozdrzecie nas na strzępy. Nawet jeśli zbudujecie barykady z naszych ciał. Nawet jeśli staniemy się mięsem armatnim. To nie jest świat Marshy i wszystko, co...

Jeden z mężczyzn dzielił go kolbą karabinu; Hamilton zamknął oczy i skrzył się z bólu.

Któryś z robotników kopnął go w krocze, ktoś inny parokrotnie zdzielił po żebrach. Hamilton miał wrażenie, że masywne ciało McFeyffe'a odpycha od niego. Z wirów ciemności wyłoniły się kształty robotników. Chrypiąc, pełzną na czworakach, przez zalewającą mu oczy mgiełkę krwi Hamilton starał się dojrzeć postać McFeyffe'a. Jednocześnie usiłował wymknąć się atakującym.

Rozległy się krzyki. Wzniesiona kolba runęła na jego czaszkę, upadł. Macając dłońmi, wyczuł spoczywający bezwładnie kształt i popęztał w jego stronę.

– Zostawcie go – mówiły głosy.

Ignorując go, sięgnął dalej, szukając McFeyffe'a. Ale nieruchomy, żałosny kształt nie był McFeyffe'em; należał do panny Reiss.

Po jakimś czasie znalazł Charliego. Drżąc z osłabienia, szukał pomiędzy śmieciami czegoś twardego, żeby go zabić. Palce zacisnęły się na kawałku betonu. W tej samej chwili, pod wpływem potężnego kopnięcia, wypuścił bryłkę z rąk. Nieruchomy kształt odplynął, Hamilton został sam, zagrzebany w rumowisku pośród wirujących cząstek popiołu.

Otoczające go szczątki były kiedyś częściami bewatronu. Ostrożnie, omijając gruz podchodzili sanitariusze i technicy.

Widać pod gradem ciosów zadawanych na oślepiec McFeyffe także został znokautowany. Nie otrzymał dyspensy, na takie drobiazgi najwyraźniej nie zwracano uwagi wśród ogólnego mordy.

Po prawej stronie Hamiltona leżała bezwładnie Marsha, w nadpalonej, porwanej odzieży. Z ręką wciśniętą pod siebie, podciągniętymi kolanami – żałosny kłębek na osmalonej betonowej powierzchni. Niedaleko leżał McFeyffe. Hamilton odruchowo podpełznął w jego kierunku. W połowie drogi zatrzymał go zespół medyczny, usiłując podsunąć nosze. Oszołomiony, nie ufając im, odepchnął mężczyzn, podniósł się i usiadł z wysiłkiem.

Pozbawiony przytomności przez zbrojnych własnej partii, McFeyffe miał na twarzy wyraz znieważonej godności, zmieszany na poharatanym, tłustym obliczu ze złością i przerażeniem. Grymas nie zniknął nawet, gdy zaczął powracać do przytomności. Oddychał chrapliwie i nierówno. Mamrocząc coś, próbował wstać, czepiając się rękoma pustki.

Na wpół zanurzona w śmieciach, panna Reiss drgnęła. Klękając z trudem, usiłowała po omacku znaleźć strzaskane okulary.

– Och – jęknęła słabo, z nie widzących oczu płynęły łzy strachu. – Co... – Obronnym gestem sięgnęła po swój nadpalony płaszcz i owinęła się nim.

Grupa techników dotarła do pani Pritchett. Szybko odrzucili szczątki urządzeń przygniatające jej ciężkie, popalone ciało. Hamilton wstał z trudem, powłókł się w kierunku żony i zaczął gasić uderzeniami dłoni smugi iskier wędrujące po jej poszarpanej, zwęglonej sukni. Marsha zadrżała i skuliła się nieruchomo.

– Nie ruszaj się, możesz mieć coś złamanego – ostrzegł ją. Leżała posłusznie,

wyprostowana, z zamkniętymi oczami.

Z oddali, poprzez chmury stygnącego cementowego popiołu usłyszał zawodzenie przerażonego Dawida Pritcheta. Wszyscy poruszali się teraz, wszyscy wracali do życia. Bill Laws na oślep, bezradnie wyciągał ręce, gdy zgromadzili się wokół niego pracownicy Czerwonego Krzyża o białych twarzach. Hałas, wrzaski, brzęczenie dzwonek alarmowych...

Dokuczliwy zgiełk prawdziwego świata. Gryzący dym palącego się, zniszczonego sprzętu elektronicznego. Niezręczne wysiłki udzielania pierwszej pomocy przez zdenerwowanych lekarzy i pielęgniarki.

– Wróciliśmy – powiedział Hamilton do żony. – Słyszysz mnie?

– Tak – potwierdziła Marsha. – Słyszę.

– Cieszysz się? – spytał.

– Tak – odparła. – Nie krzycz, kochanie. Bardzo się cieszę.

Cierpliwie, w milczeniu, pułkownik T.E. Edwards słuchał Hamiltona, gdy ten wygłaszał swoje oświadczenie. Po jego oskarżycielskiej wypowiedzi w długim pokoju konferencyjnym zapadła cisza. Słyszać było jedynie pykanie cygar i monotony stukot maszyny stenograficznej.

– Oskarżasz naszego szefa służby bezpieczeństwa o przynależność do Partii Komunistycznej – odezwał się Edwards po chwili zastanowienia. – Czy tak?

– Niezupełnie – powiedział Hamilton.

Drżał trochę, osłabiony po wypadku w bewatronie, który miał miejsce tydzień temu.

– Twierdzę, że McFeyffe jest zdyscyplinowanym komunistą, który wykorzystuje swoją pozycję, aby sprzyjać celom partii komunistycznej. Ale czy dyscyplinę narzuca mu ktoś z zewnątrz, czy wynika ona z wewnętrznych przekonań...

Zwracając się energicznie do McFeyffe'a, Edwards spytał:

– Co ty na to, Charlie?

– Powiedziałbym, że to są zupełnie bzdury – odparł McFeyffe nie podnosząc wzroku.

– Utrzymujesz, że Hamilton próbuje jedynie kwestionować motyw twojego postępowania...

– Tak jest – McFeyffe wyrzucił z siebie zdania. – Usiłuje podać w wątpliwość moje motyw. Zamiast bronić żony, atakuje mnie.

Pułkownik Edwards zwrócił się do Hamiltona:

– Obawiam się, że będę musiał przyznać mu rację. Twoja żona, a nie McFeyffe, jest tu pod ostrzałem. Trzymaj się tematu.

– Jak zdaje pan sobie sprawę – wyjaśnił Hamilton – nie mam żadnych możliwości, aby dowieść, że Marsha nie jest komunistką. Ale mogę pokazać, dlaczego McFeyffe spreparował to oskarżenie. Mogę wyjaśnić, co on robi i czego ta sprawa naprawdę dotyczy. Proszę spojrzeć, na jakim jest stanowisku. Kto go będzie podejrzewał? Ma wolny dostęp do kartotek bezpieczeństwa, może dostarczyć dowodów przeciw komu zechce... idealne miejsce dla

partyjnego rzezimieszka. Może wyrzucić każdego, kto nie spodoba się Partii, każdego, kto stanie na jej drodze. W ten sposób partia komunistyczna systematycznie eliminuje swoich przeciwników.

– Ale to wszystko jest pisane palcem na wodzie – stwierdził Edwards. – Logiczne co prawda, tylko gdzie masz na to dowody? Potrafisz dowieść, że Charlie jest czerwony? Jak sam powiedziałeś: nie jest członkiem Partii Komunistycznej.

– Nie jestem agencją detektywistyczną – powiedział Hamilton. – Nie jestem policjantem. Nie mam możliwości zgromadzenia materiału dowodowego przeciwko niemu. Domyślam się, że ma jakiś kontakt z Komunistyczną Partią USA albo z frontowymi organizacjami partyjnymi... musi gdzieś otrzymywać instrukcje. Jeśli FBI zacznie go inwigilować...

– Więc nie ma żadnych dowodów – przerwał Edwards, żując cygaro.

– Nie mam żadnych dowodów – przyznał Hamilton – na to, co dzieje się w umyśle Charliego McFeyffe'a. Podobnie jak on nie wie, co myśli moja żona.

– Ale ten cały materiał przeciw twojej żonie; petycje, które podpisała, wiece, na których się pokazywała. Wskaż mi jedną petycję, pod którą widnieje podpis Charliego. Jedno spotkanie, na którym się znalazł.

– Żaden prawdziwy komunista nie będzie wystawiał się na pokaz – odparł Hamilton i natychmiast zdał sobie sprawę, jak bezsensownie to zabrzmiało.

– Nie możemy tak po prostu wyrzucić Charliego na bruk. Nawet ty musisz zrozumieć, jak mało warte są twoje wywody. Wylać go, ponieważ nie chodzi na wiece? – Na twarzy Edwardsa pojawił się cień uśmiechu. – Przykro mi, Jack. Nie masz żadnego dowodu.

– Wiem – przyznał Hamilton.

– Wiesz? – Edwards był zdumiony. – Przyznajesz?

– Oczywiście, przyznaję, nigdy nie uważałem, że mam – wyjaśnił Hamilton bez emocji. – Myślałem tylko, że zwrócę uwagę...

Zasepiony McFeyffe wcisnął się w fotel i nie odzywał się. Splótł razem krótkie grube palce. Koncentrując się na nich, nie patrzył na Hamiltona.

– Chciałbym ci pomóc – odezwał się Edwards z zakłopotaniem. – Ale do diabła! Rozumując twoimi kategoriami, każdego obywatela tego kraju należałoby sklasyfikować jako niepewnego politycznie.

– Zrobisz, jak zechcesz. Chciałem waszą metodę zastosować do McFeyffe'a. Wstyd, że ktoś taki chodzi wolny.

– Uważam – oświadczył sztywno Edwards – że uczciwość i patriotyzm Charleya McFeyffe'a są poza dyskusją. Chyba wiesz, że to człowiek, który podczas wojny walczył w Siłach Powietrznych? Że jest wiernym katolikiem, członkiem Veterans of Foreign Wars?

– I prawdopodobnie harcerzem – dodał Hamilton – który co roku dekoruje choinkę.

– Chcesz powiedzieć, że katolicy i legioniści są nielojalni? – dopytywał się Edwards.

– Nie. Usiłuję wytłumaczyć, że człowiek może być tym wszystkim i jednocześnie niebezpiecznym wyrotowcem. I że pewna kobieta może podpisywać propozycje pokojowe, prenumerować „In Fact”, a jednocześnie kochać ten brud, który gnieździ się w kraju.

– Sądzę – oznajmił oziębło Edwards – że tracimy czas. To wierutne bzdury.

Hamilton wstał, odsuwając krzesło.

– Dziękuję za wysłuchanie mnie, pułkowniku.

– No cóż – powiedział niezręcznie Edwards. – Szkoda, że nie mogę nic więcej zrobić dla ciebie, chłopcze. Ale widzisz, w mojej sytuacji...

– To nie pana wina – zgodził się Hamilton. – Jestem nawet w pewien sposób zadowolony, że nie poświęcił pan uwagi moim wywodom. McFeyffe jest niewinny, dopóki nie zostanie udowodnione, że jest inaczej.

Spotkanie dobiegło końca. Dyrektorzy California Maintenance wyszli na korytarz, zadowoleni, że wracają do swych codziennych obowiązków. Wymuskana stenografka zabrała maszynę, papierosy i torebkę. McFeyffe obrzuciwszy Hamiltona niechętnym, ostrzegawczym spojrzeniem, wyminął go potracając i zniknął.

W drzwiach zatrzymał Hamiltona pułkownik Edwards.

– Co zamierzasz zrobić? – dopytywał się. – Pojechać na półwysep? Spróbować u Tillingforda? Przyjmie cię, wiesz. On i twój ojciec byli dobrymi przyjaciółmi.

Tu, w prawdziwym świecie, Hamilton nie był jeszcze u Tillingforda.

– Przyjmie mnie – powiedział w zamyśleniu – po części z tego powodu, a po części dlatego, że jestem wysoko kwalifikowanym elektronikiem.

Jakby odczuwając wyrzuty sumienia, Edwards zaczął się tłumaczyć.

– Przepraszam, chłopcze. Nie chciałem cię obrazić. Myślałem tylko, że...

– Wiem, co pan myślał.

Hamilton wzruszył ramionami, uważając na ściśnięte bandażem złamane zebro. Dwa przednie zęby w jego szczęce poluzowały się, nad prawym uchem na wygolonej części głowy widniały dwa szwy. Wypadek i przeżycia uczyniły zeń starego człowieka.

– Nie zamierzam wykorzystywać Tillingforda – stwierdził. – Mam zamiar sam czymś się zająć.

– Nie masz do nas żalu? – zapytał z wahaniem Edwards.

– Nie. Straciłem pracę, ale to nie ma znaczenia. Nawet ulżyło mi. Tkwiłbym tu pewnie do końca, gdyby tak się nie stało. Nie dręczony przez system bezpieczeństwa, niemal nieświadomy, że istnieje. A tak zostałem zmuszony stawić mu czoła. Musiałem, chcąc czy nie, ocknąć się.

– Teraz, Jack...

– Zawsze dobrze mi się wiodło. Moja rodzina miała dużo pieniędzy. Ojciec był znanym

naukowcem. Normalnie ludzi takich jak ja nie czepiają się typy pokroju McFeyffe'a. Ale czasy się zmieniają. Tacy McFeyffe'owie nachodzą nas, zaczynamy się na nich natykać. Zauważamy, że istnieją.

– Wszystko to bardzo piękne – powiedział Edwards. – Szlachetne i porywające. Ale przecież będziesz musiał zarabiać na życie, znaleźć jakąś pracę, utrzymywać rodzinę. Bez wyjaśnienia sytuacji nie znajdziesz zatrudnienia w zakładach zbrojeniowych, tutaj czy gdziekolwiek indziej. Nikt, kto realizuje rządowe zamówienia, nie zatrudni cię.

– Może i dobrze. Jestem trochę zmęczony konstruowaniem bomb.

– Monotonia?

– Raczej budzące się sumienie. To, co się wydarzyło, zmieniło mój sposób myślenia. Jak to się mówi... wstrząsnęło mną do głębi.

– O, tak – niewyraźnie wymamrotał Edwards. – Wypadek.

– Zobaczyłem wiele rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Mam inne spojrzenie na świat. Może trzeba przeżyć coś takiego, aby przebić się przez mur przyzwyczajenia. Jeśli tak, warto było.

Z korytarza za nim dobiegł ostry, urywany stukot obcasów. Nadbiegła promieniejąca Marsha. Nie mogąc złapać oddechu, chwyciła go za ramię i wysapała z radością:

– Jesteśmy gotowi.

– Ustaliłem też bardzo ważną rzecz – powiedział Hamilton do pułkownika Edwardsa. – Marsha mówiła prawdę, a to jest sprawa, na której mi zależało. Zawsze mogę znaleźć inną pracę, a żon nie ma znów tak wiele.

– Jak myślisz, co będziesz robił? – spytał Edwards, gdy ruszyli w dół korytarzem.

– Przyślę ci kartkę – mruknął przez ramię Hamilton. – Na papierze firmowym kompanii.

– Kochanie – odezwała się ożywiona Marsha, gdy zeszli po schodach budynku California Maintenance i ruszyli wzdłuż betonowej alejki. – Już przyjechały ciężarówki. Będą wyładowywać.

– W porządku – stwierdził zadowolony Hamilton. – Będzie dobrze wyglądało, gdy zabierzemy się do pracy z kopyta.

– Nie wyrażaj się w ten sposób – pouczyła go niezadowolona, ściskając za ramię. – Wstyd mi za ciebie.

Szczerząc zęby, Hamilton usadowił ją w samochodzie.

– Od tej chwili zamierzam być absolutnie uczciwy wobec wszystkich: mówić dokładnie to, co myślę, robić to, co czuję. Życie jest zbyt krótkie na cokolwiek innego.

Zirytowana Marsha zaczęła gderać.

– Ty i Bill... Zaczynam się zastanawiać, gdzie to nas zaprowadzi.

– Będziemy bogaci – odparł wesoło, gdy wjeżdżali na autostradę. – Zapamiętaj moje słowa.

Ty i kiciuś będziecie wypijać półmiski śmietany i spać na jedwabnych poduszkach.

Pół godziny później stali na niewielkim wzniesieniu, krytycznie przyglądając się małemu barakowi z falistej blachy, wydzierzawionemu przez Hamiltona i Lawsa. W ogromnym stosie skrzynek ze sklejki znajdowało się wyposażenie. Rząd ociężałe sunących ciężarówek ustawił się na skraju platformy wyładowniczej.

– Pewnego dnia – rozmarzył się Hamilton – małe, błyszczące kwadratowe pudełka z gałkami i zegarami zejda z tej taśmy. Ciężarówki będą zabierały materiał, a nie wyładowywały go.

Bill Laws zbliżył się do nich, kuląc na zimnym, jesiennym wietrze swe szczupłe ciało. W ustach trzymał nie zapalonego zmiętego papierosa, ręce wsunął głęboko do kieszeni.

– No... – zaczął sceptycznie – nie ma tego dużo, ale zabawy będzie co niemiara. Może nam się nie udać, lecz zabawimy się wspaniale.

– Jack właśnie powiedział, że będziemy bogaci – odezwała się rozczarowana Marsha, wykrzywiając usta w lekkim szyderstwie.

– To przyjdzie potem – wyjaśnił Laws. – Wtedy, kiedy będziemy zbyt starzy i zepsuci, by umieć się bawić.

– Czy pojawiła się Edith Pritchett? – spytał Hamilton.

– Kręci się gdzieś tutaj. – Laws wskazał ręką okolicę. – Widziałem jej cadillaca zaparkowanego przy drodze.

– Czy jest sprawdzony?

– O tak – zapewnił Laws – działa bardzo dobrze. Nie jesteśmy już w tamtym świecie.

Mały chłopiec, nie więcej niż jedenastoletni, przybiegł do nich z ciekawym.

– Co będziecie budować? – dopytywał się. – Rakiety?

– Nie – odparł Hamilton. – Gramofony, żeby ludzie mogli słuchać muzyki. W przyszłości.

– Ho, ho – wykrzyknął zainteresowany. – Rok temu zbudowałem odbiornik słuchawkowy na baterie.

– Dobry początek.

– A teraz buduję tuner TRF.

– Świetnie – powiedział Hamilton. – Może cię zatrudnimy. Zakładając oczywiście, że nie będziemy musieli drukować własnych pieniędzy.

Ostrożnie wybierając drogę na nie wyrównanym jeszcze terenie, nadeszła powoli pani Pritchett. Otulona w obszerne futro, w wyszukany kapeluszu na głowie, upomniała syna:

– Nie zawracaj panom głowy. Mają dostatecznie dużo problemów.

– Rozmawialiśmy o elektronice – tłumaczył się nadąsany Dawid.

– Kupiliście mnóstwo sprzętu – zauważyła z powątpiewaniem pani Pritchett.

– Będzie nam potrzebny – stwierdził Hamilton. – Nie zamierzamy montować wzmacniaczy z gotowych elementów, zaprojektujemy i zbudujemy własne, od kondensatora poczynając, na

transformatorze kończąc. Bill ma nowy projekt igły beztarciowej. To powinno wywołać szok na rynku hi-fi, gwarantuje całkowicie niez używanie się płyty.

– Degeneraci. – Marsha była najwyraźniej rozbawiona. – Zaspokajający potrzeby próżniaków.

– Sądzę – powiedział Hamilton – że muzyka ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Lecz samo posługiwanie się sprzętem stanie się sztuką. Zestawy, które wyprodukujemy, będą wymagały tyle samo umiejętności przy obsłudze, co przy konstruowaniu.

– Wyobrażam sobie. – Laws wyszczerzył zęby. – Młodzi, szczupli mężczyźni siedzący na podłogach swoich apartamentów w North Beach, gwałtownie naciskający wyłączniki, przekręcający gałki, gdy idealnie wierny ryk silników okrętowych, burz śnieżnych, ciężarówek wyładowujących złom i innych zarejestrowanych cudactw będzie wył wokół nich.

– Nie jestem pewna – powątpiewała pani Pritchett. – Wydajecie się zbyt ekscentryczni.

– To taka dziwaczna dziedzina – poinformował ją Hamilton. – Gorsza niż moda. Gorsza niż wieczorki kawalerskie. Ale ogromnie opłacalna.

– Ale czy możecie być pewni – dociekała pani Pritchett – że przedsięwzięcie będzie sukcesem finansowym? Nie lubię inwestować w niepewne interesy.

– Pani Pritchett – zauważył poważnie Hamilton – zdaje mi się, że kiedyś słyszałem, iż pragnie pani być mecenasem sztuki.

– O Boże – zapewniała pani Pritchett – nie ma nic bardziej niezbędnego dla społeczeństwa niż solidna opieka nad jego rozwojem kulturalnym. Życie bez wielkiego artystycznego dziedzictwa stworzonego przez pokolenie wielkich, natchnionych geniuszy...

– Więc uczyniła pani dobrze – stwierdził Hamilton. – Przyniosła pani swoje obrazki we właściwe miejsce.

– Moje...?

– Pani obraz, wizję sztuki – odezwał się Laws. – Przyniosła go pani tam, gdzie trzeba. Zajmujemy się przemysłem muzycznym, dzięki naszemu sprzętowi ludzie będą mogli słuchać idealnie odtwarzanej muzyki. Potężna moc, bez zniekształceń przy setkach watów, dziesiątkach kiloherców, z krzyżykami i bemołami. To rewolucja kulturalna.

Otoczając żonę ramieniem, Hamilton uściskał ją z entuzjazmem.

– Jak ci się to podoba, kochanie?

– Świetne – wysapała Marsha – ale uważaj na moje poparzenia.

– Jak sądzisz, czy powiesz się nam?

– Na pewno.

– To powinno usatysfakcjonować każdego – powiedział Hamilton uwalniając żonę z uścisku. – Prawda?

Ciągle pełna wątpliwości, Edith Pritchett szperała w swej obszernej torbie, szukając

książeczki czekowej.

– Tak, to wydaje się być dobrą inwestycją.

– No jasne – przytaknął Hamilton. – Jeśli nie zdobędziemy pieniędzy, nie będziemy mogli działać.

Pani Pritchett zatrzasnęła torebkę.

– Może lepiej byłoby, gdybym nie dała się w to wciągnąć?

– Proszę nie zwracać na nich uwagi – wtrąciła szybko Marsha. – Żaden z nich nie wie, co mówi.

– W porządku – zgodziła się pani Pritchett, wreszcie przekonana.

Uważnie i dokładnie wypisała czek na ich wstępne wydatki.

– Spodziewam się otrzymać tę sumę z powrotem – powiedziała surowo, wręczając czek Lawsowi – w terminie, jaki ustalimy.

– Otrzyma pani – zapewnił Laws.

Nagle podskoczył z bólu. Ściskając kostkę, pochylił się i zdusił w palcach coś małego i zwinnego.

– Co to? – spytał Hamilton.

– Skorek. Wspiał się po skarpetce i ugryzł mnie. – Krzywiąc się niespokojnie, dodał: – Po prostu zbieg okoliczności.

– Mamy nadzieję, że otrzyma pani swoje pieniądze z powrotem – tłumaczył pani Pritchett Hamilton uważając, by się nie narazić. – Nie możemy oczywiście obiecać. Ale postaramy się.

Czekał, ale nic go nie ugryzło ani nie ukłuło.

– Dzięki Bogu – odetchnęła Marsha, patrząc na nich. Ruszając z ożywieniem ku barakowi, Bill Laws krzyknął:

– Na co czekamy? Do pracy!